

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 2/19

1949



Z. FLORCZAK — Examen libre * St. GRYZIEWICZ — Gospodarstwo powojenne W. Brytanii ♦ St. VINCENZ — Rarytas
* A. KRAKOWIECKI — O Sieroszewskim na Kolymie ♦
W. A. Zbyszewski — Zmartwienia pesymisty ♦ ŚCIEŻKI:
M. WAŃKOWICZ — Spowiedź pokolenia ♦ ARKUSZE
POETYCKIE ♦ ARCHIWUM POLITYCZNE: Z. NAGÓRSKI, jr — Wywiad z Dymitrorem ♦ NAJNOWSZA
HISTORIA POLSKI ♦ KSIĄŻKI

P. HOSTOWIEC: NOWY DZIENNIK PODRÓŻY DO NIEMIEC

SPIS RZECZY

Zbigniew Florczak:	<i>Examen libre</i>	3
Paweł Hostowiec:	<i>Nowy dziennik podróży do Niemiec</i>	13
Stanisław Gryziewicz:	<i>Gospodarstwo powojenne W. Brytanii</i>	43

Stanisław Vincenz:	<i>Rarytas</i>	55
Anatol Krakowiecki:	<i>O Sieroszewskim na Kołymie</i> ..	68

W. A. Zbyszewski:	<i>Zmartwienia pesymisty</i>	75
-------------------	------------------------------------	----

ŚCIEŻKI

Melchior Wańkowicz:	<i>Spowiedź pokolenia</i>	85
---------------------	---------------------------------	----

ARKUSZE POETYCKIE

Kazimierz Wierzyński:	<i>Wiersz określający znaczenie lisa</i>	91
" "	<i>Patagonia</i>	92
" "	<i>Wyprawa do Abisynii</i>	93
Jerzy Dołęga - Kowalewski:	<i>Dr Smyk</i>	94
Bogumił Andrzejewski:	<i>Podróż sentymalna</i>	97

ARCHIWUM POLITYCZNE

Zygmunt Nagórski, jr:	<i>Wywiad z Dymitrowem</i>	100
-----------------------	----------------------------------	-----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Wł. Pobóg-Malinowski:	<i>Parę uwag o wojnie, której nie było</i>	108
Aleksander Korczyński:	<i>Zabiegi niemieckie u Paderewskiego</i>	115

KSIAŻKI

Michał Sokolnicki:	<i>O głupstwach ludzi dostojnych</i> ..	127
Zbigniew Jordan:	<i>Współczesna filozofia europejska</i>	138
Wiktor Weintraub:	<i>Shaw o sobie</i>	150
Wojciech Zaleski:	<i>Czy meteor?</i>	156

Wydawca: **EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »**
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: Roger Grosjean.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj - Mai

1949

INSTITUT



LITERACKI

Examen libre

Starajmy się wzbudzić u nas samych, bodaj na osobisty, prywatny użytek pewne szczątkowe właściwości podmiotu. Spróbujmy więc myśleć, choćby tylko myśleć, w tej sytuacji, która nam została narzucona.

— Zygmunt Nowakowski w „Wiadomościach”.

Nasz ruch nie zna większego wroga nad aktywność spekulacyjnych intelektualistów.

Karol Marks.

1.

Książka Janty „Wracam z Polski” podrażniła Polaków za granicą, ale dyskusji nie było. Janta nie określił swego stosunku politycznego do tego piekącego tematu, wyraził tylko ciekawość i chęć zbadania wszystkich dziedzin tamtego życia; w każdych innych warunkach taka dziennikarska postawa byłaby dozwolona, w polskich nie, tu trzeba się deklarować i stosunek do sprawy wyrazić pewną ilością epitetów. Co nie świadczy o słuszności tej zasady, a tylko świadczy, że klimat polski jest anormalny, kto wie czy nie równie nieszczęśliwy na emigracji, jak w kraju.

Można pominąć kwestię Janty w jego książce, bo najbardziej interesująca jest jej część obiektywna. Byłem w Polsce w tym samym czasie i mam sposobność, na tle reportażu Janty, przedstawienia moich własnych spostrzeżeń.

Z punktu widzenia dziennikarskiego Polska nie jest szaradą do odgadywania, tym bardziej dla pisarza polskiego, który zna naturę przedmiotu. Gdy Steinbeck pisał swój „Dziennik rosyjski” z podróży do Rosji sowieckiej, to widział tylko pewne golizny fresku, a resztę oblepioną tynkiem, czego już nie mógł odłupać. W Polsce nie trzeba w tym celu łamać paznokci. Zachowanie się ludzi jest tak nonszalanckie i spontaniczne, że już po kilku dniach poznaje się — nie pytając — ogólne żale i nadzieje. O wielu sprawach nie wolno pisać, ale wszyscy o tych sprawach mówią i wszyscy z nich drwią tym wspaniałym, warszawskim dowcipem, który w Polsce był zawsze śmielszy i bardziej ludzki niż ekspresje druku.

Poza tym Polska składa się nie tylko ze społeczeństwa, ale także z ludzi, którzy rządzą, a stanowią bardziej złożony, niż

IMPRIME EN FRANCE.

Tous droits de traduction et reproduction réservés pour tous pays.

Imprimerie S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20^e)

Dépôt légal: 2^e trimestre 1949.

się wyobraża, rodzaj przewodnika kierowniczej energii z zewnątrz: z Moskwy. Jest rzeczą widoczną, że ta energia zmienia się po drodze w sposób nieprzewidywany teorią, z przyczyn psychicznych i narodowych. Zmienia się minimalnie i to ma nieważne efekty końcowe, ale w każdym razie komplikuje ocenę ludzi siedzących w rządzie. Również społeczeństwo wymaga nowych, uważnych ocen: na jego przeobrażenia złożyły się i wojna i kolosalne rozczarowania i ruina i nowy rząd i nawet emigracja przyczyniła się do tej odmiany, zakładając na ubożu osobną parcelę ideową.

To wymaga ciągłych studiów. Janta dostarczył obfitego, jak na stan tutejszej wiedzy, materiału i za to go zwymyślano. Ale wykluczone, żeby z tą wielością życia i z zupełnym przetasowaniem sił ludzkich i mechanicznych — jakiś ognisty pisarz mógł się załatwić jak z płotem: podniosłszy zadnią łapę. Nie chodzi przecież o obrazę autora reportażu, a o szacunek do zagadnienia, które bądź co bądź nie jest indywidualnym zagadnieniem jakiegoś publicysty, ale mnóstwa ludzi tułających się na peryferiach życia, w większości prostych i żądających od literatury poważnych rozstrzygnięć.

Autor książki, która tak źle została przyjęta, wyszedł w swoim opisie z punktu widzenia ideału patriotycznego. Stara się każdą okoliczność sprowadzić do pytania: czy to dobrze czy źle dla interesu specyficznego Polski? Przecież mógł mieć inny ideał, marksistowski i oglądać Polskę, jako kraj, gdzie się dokonuje eksperyment rzekomo socjologiczny. Wówczas musiałby wszystko sprowadzić do kwestii: czy to dobrze czy źle z punktu widzenia międzynarodowego socjalizmu? Trudno zaprzeczyć, że taki kąć obserwacji jest możliwy, choć wiadomo, że jest mało możliwy w stosunkach polskich.

Zresztą może byli ludzie, którzy pojechali do Polski po to, aby sprawdzić czy tamtejszy marksizm jest istotnym postępem — czy sztyldem, który zawieszono na budzie najwulgarniejszego z imperializmów. Gdyby odpowiedź nie wypadła kategorycznie, że jest tylko sztyldem, może tacy ludzie zostaliby w Polsce mimo zabranego Wilna i Lwowa i innych upokorzeń narodowych. Bo w pewnym stopniu szczeroci socjologicznej upokorzenia i satysfakcje narodowe przestają być alfa i omega życia.

Intencje książki leżą na linii ogólnej przyjętego stanowiska, choć ją zwymyślano. Przy okazji tworzy się ciekawy paradoks: zdaje się, że w kraju przyjęto tę książkę ciepło, choć niemożliwe jest, żeby ją pozwolono czytać. Z punktu widzenia taktyki, od razu się połapano, że takiej książki nie można zbesztać, choćby dlatego, że próbowano ją konfiskować na emigracji. Zresztą jest to pierwsza rzecz zagranicą, która próbuje rozmawiać o sytuacji w kraju bez różnych buforowych „Apage satanas!” i przez to samo sprawę przybliża, i odbiera jej oficjalny satanizm. Można wyczuć, że reżimowców najbardziej ra-

duje ów patriotyczny kolor książki, który jednocześnie oburza pisarzy emigracji. Jest to o tyle charakterystyczne, że reżimowcy winni byli załatwić się z książką jak najkrócej a według probieża marksistowskiego: oceny Janty nie mają sensu i mijają problem z boku, ponieważ wszystko co się w Polsce robi, ma treść socjologiczną, a nie narodową. Nic podobnego nie odpowiedziano, bo w Polsce nie ma marksistów. Drobną okoliczność, ale oświetla nieszczeroci całej quasi-socjalnej sytuacji w Polsce. Od analizy tej horendalnej bujdy winna się zacząć każda krytyka tamtejszych stosunków. „Fikcyjne równanie i fałszywy wynik”, pisali komuniści francuscy o książce Koestlera. To samo da się powiedzieć o algebrze podawanej dziś do nauki w kraju: Socjalizm „radziecki” + rewolucja w Polsce = nowa szczęśliwa Polska. Winno być: bolszewizm + rewolucja w Polsce = postęp socjalizmu międzynarodowego a redukcja Polski w sensie narodowym. Ponieważ wynik jest świadomie błędny, wartości w równaniu pewnie też są zblagowane. I rzeczywiście, problem musiałby brzmieć inaczej: imperializm bolszewicki + opanowanie Polski = nie ma ani socjalizmu, ani Polski.

Pierwsze spostrzeżenie, jakie w kraju można zrobić to moda kokietowania formułami narodowymi społeczeństwa, które rzekomo leczy się z nacjonalizmu w celach postępowych. Od razu czuć szachrajstwo w kolosalnej skali. Więc Ziemię Zachodnie, więc odbudowa Warszawy i na każdym kroku: Polska, Polski, Polsce... Osmańczyk pisze książkę, która w krótkim czasie wychodzi w czwartym wydaniu, bo z żarliwym nacjonalizmem traktuje o „Sprawach Polaków”, jakby rzeczywiście na tych ziemiach o takie sprawy chodziło. Książka jest niezwykle ciekawa, bo wyklada cały iluzoryczny program krajowego społeczeństwa, wyobrażającego sobie, że można zagrozić kawał rzeki i zrobić akwarium. Przyjąwszy to abstrakcyjne założenie, można być przez chwilę pod urokiem chłopskiego, zaborczego patriotyzmu Osmańczyka. A gdy się z powrotem uświadomi, że osmańczykowskie akwarium jest pochłonięte nurtem otoczenia politycznego o niezmiernie sile egoizmu, całą książkę jest się zmuszonym uważać za głupstwo. Ale sęk w tym, że wyobrażenia społeczeństwa z tej fikcji nie może się wycofać, a raczej nie chce.

Emigracja, pisząca o stosunkach w kraju według łatwego szablonu, czyniąca dowcipne miny przy słowach „bezpieka” czy „przyjaźń radziecka”, zdaje się nie zdawać sprawy na czym polega to arcydzieło taktyki, którym jest „ludowa” Polska. Nie zdaje sobie sprawy do jakiego stopnia ta Polska żyje pozorami interesu narodowego, ile sił ludzkich w takim mirażu bez podstaw grzeźnie. Źle, że emigracja na ogół banalizuje obraz sytuacji w kraju; nie tylko dlatego, że szablon jest zawsze grzechem intelektualnym, ale głównie dlatego, że emigracja coraz bardziej przestaje rozumieć społeczeństwo, które rzekomo reprezentuje na wolnym świecie. Klisza Polski jest

poruszona, ma zarys co najmniej podwójny i jeżeli ma to być rysunek celu do którego się trafia — to utrudniamy sobie sprawę, robiąc coś w rodzaju sceny pijanego z dziurką od klucza.

By zacząć rozumieć specyficzną sytuację kraju, przede wszystkim umysłową — trzeba by odważnie połknąć wiadomość, że kraj bynajmniej nie uważa emigracji za swoją wolną ekspozyturę na zewnątrz, tak jak to było czasu okupacji. Kraj uważa, że jest dawno pozostawiony samemu sobie i dopracował się w tym położeniu swoistej filozofii życiowej, którą próbowałem nazwać kompleksem „fikcyjnego akwarium”. Na podstawie tej iluzorycznej filozofii ludzie w Polsce czują się nieskończenie daleko od emigracji i chętnie z niej pokpiwają. Sławną uchwałę literatów nie pisywania w kraju, społeczeństwo uważa za gest wymierzony nie przeciw reżimowi, ale przeciw niemu samemu. Tam się wydaje, że Polska jest mimo wszystko ciałem żyjącym, choć okrojonym, i że na jej terytorium można żywić a nawet realizować pewne ambicje; na emigracji przeciwnie, z wszelkiej roboty trzeba zrezygnować, a ambicje — przesypawszy naftaliną — powiesić do szafy, czy w najlepszym razie zmumifikować na drukowanym papierze. „Polska nie jest tylko idea, którą, wypisaną na sztandarach, wystarczy obnosić po całym świecie, Polska to ziemia i ludzie” — pisze Osmańczyk w rozdziale poświęconym „rozrachunkowi Kraju z Emigracją”.

Inaczej mówiąc, kraj wierzy w wartość programu minimalistycznego, polegającego na pozytywnej pracy dla własnego środowiska. Kiedy za plecami ma się wojnę i obrzydliwe rozczarowania, przed oczami bezkształtny zlepek świata politycznego — praca może być rodzajem moralnego lekarstwa. W tej dudniącej robocie krajowej jest pośpiech rekonwalescencji, który się ocknął ze złych wspomnień i chce miejsce dramatu przetrząsnąć świeżą ziemią. W każdym razie rozpęd organizującego się w Polsce życia jest urzekający i w pierwszym miesiącu po przyjeździe człowiek jest gotów zapomnieć o mieczach zasuwających się na głowę, do głowy klei się jakieś babie lato, pełną znowuż marzenia — i trzeba zejść na bok z tego rozgranego traktu żeby ogólniejsza świadomość mogła ostygnąć. Co jest najgorsze, że w Polsce zostawiono pewien luz na marzenia, a w Warszawie, na Ziemiach Zachodnich, na olbrzymim wybrzeżu morskim odgrodzono całe harcowskie marzeń, dzięki czemu życie ma silne pozory normalnego rozpędu. W kraju nie tylko nie ma tęsknoty za „wolnością” emigracyjną, ale odwrotnie: daje się zauważyć ostry element pychy właśnie z tego powodu, że siedzi się w kraju mimo rozczarowań, mimo Wilna, Lwowa i bezpieki.

Narodził się jakiś potworek warunkowego patriotyzmu, kasaający i drażliwy wobec zagranicy, specjalnie w stosunku do Anglii i do własnej emigracji. Na tym tle niepoważnie wygląda anheliczna zarozumiałość emigracji, przekonanej, że wyraża nastroje kraju. Te nastroje są nieoczekiwane inne, zresztą

widać, że oparte na założeniach księżycowych — ale nie ma sensu, żeby ze strony emigracji przymykano oczy na to, co rządzi realnie ludźmi i ich życiem, żeby wystrzygano z gazet takie wzorki publicystyczne, jak aksjomat o rzekomej „walce społeczeństwa z okupantem” itd. Rozmiar czynnego życia w kraju można odgadnąć choćby ze zdawkowych nowinek w gazetach i trzeba uwierzyć, że niektóre jego objawy zdradzają fugę wprost płomienną, charakteryzującą nastrój tego, jak mówię, warunkowego renesansu.

Zdaje się na emigracji, że tutaj nikt nie wierzy w szanse programu minimalistycznego, którego się uczeplił instynktownie kraj. Mam natrętne wrażenie, że jest odwrotnie i różnice między krajem a emigracją są innego gatunku. Emigracja nie zgadza się na ten plan, okrywa go pogardą i odpycha; ale jeżeli odpycha, to wierzy w jego możliwości. Podstawiłem tę wspólną kreskę, bo uwydatnia beznadziejną rozciągłość ewentualnego sporu, która z postaw, minimalistyczna czy bezkompromisowa, jest słuszniejsza? Obie są tragiczne, bo zgodnie z fatalną naturą rzeki, akwarium polskie będzie pochłonięte obcą konsystencją i nigdy nie utrzyma stanu swej odrębności, czemu także nie zaradzi akademicka polityka emigracji — jeżeli nie nastąpią zasadnicze przesunięcia w świecie.

Janta w swej książce nigdzie nie podaje w wątpliwość prawdziwości ideowej narzuconej Polsce rewolucji, bo najwidoczniej nie ma tych wątpliwości także co do Rosji; przyjmuje termin „komunizm” stosownie do napisu nad interesem, a nawet nazywa to „fanatycznym dogmatyzmem”. Według mnie jest to podstawowy błąd książki, bo przypisuje się w niej wartość semantyczną sloganom, którymi obóz sowiecki łudzi i minuje świat dla odwiecznych, brudnych zysków. Emigracja także ten błąd popełnia; jej odraza do Sowietów nie ma podłoża dogmatycznego, jest prostą kwestią politycznej krzywdy i dlatego prasa emigracyjna nieszczerze interesuje się istotą zjawiska sowieckiego. Z obcych studiów, które — jak np. koestlerowskie — dowodzą braku komunizmu w ustroju sowieckim, pożyczają ten argument dla wygody, ale zresztą walczyłyby równie z komunizmem prawdziwym jak nieprawdziwym, bo kieruje się przesłankami politycznymi, a nie światopoglądowymi.

Poza tym Janta robi pewne przypuszczenie, bardzo ryzykowne, zresztą interesujące. W zachowaniu się ludzi reżimu autor widzi coś podwójnego: jakby ci ludzie, grając w karty rozdane z Kremla, trzymali jednocześnie „na boczku” — jak się mówi w brydżu — mały hazard polski. I przejawiali tendencję załatwienia po drodze polskich interesów w jakiś sposób optymalny. Uboczny proceder, który liczyłby się nie jako wynik, ale jako intencja, charakteryzująca w ogóle psychikę polską.

Byłby to więc rodzaj spisku reżimu i społeczeństwa przeciw okrucieństwu historii. Trzeba przyznać, że w takim razie społec-

czeństwo nie zdaje sobie sprawy ze współnictwa z narzuconym sobie rządem. W swojej grze na oszukanie chwili jest samo. W ogóle czuje się samo, bo nie bierze na serio ani rządu warszawskiego, ani emigracyjnego. Ale czy reżim ma intencje, które mu przypisuje Janta? Jest w tym coś z prawdy, a przynajmniej jest w tym prawdopodobieństwo psychologiczne. Według mnie, są to w najlepszym razie prywatne sprawy tych ludzi, jakies wstydlive zagładanie do butelki, którego nawet pobyt w sanatorium nie zdołał wykorzenić. System nic podobnego nie przewiduje, słowem — do czasu dzban wodę nosi. Oczyszczanie kadr partyjnych za „nacjonalistyczne odchylenia” postępuje konsekwentnie (casus Gomułki). Nie dawno ze strony reżimu Tita oświadczone niedwuznacznie: nie ma żadnego doświadczenia w dziedzinie **współzycia** państw socjalistycznych i są to formy do wypracowania. Gdyby Jugosławia miała wspólną granicę z Sowietami Tito pewnie wypracowałyby te formy w więzieniu na Łubiance, albo kilka piędzi pod ziemią obok... Masaryka. Współzycie państw socjalistycznych na równych prawach będzie zagadnieniem rzeczywistym, ale to dopiero w nieokreślonym jutro, gdy przed społeczeństwem zacznie się stawiać zagadnienia a nie pięści, czego się nie można doczekać. Zresztą nie traćmi nadziei, le passé n'est que le prologue.

2.

Nie oceniono książki Janty, jako okazję do dyskusji widocznie wychodząc z założenia, że wszystko w głowach jest ustalone, proste i siedzi na ciepłym miejscu, z którego nie warto się ruszać. Dobrze, że książka przydała się w inny sposób, negatywny, macając te ciepłe, ortodoksyjne miejsca i — choć się tego autor nie spodziewał — odniosła pewien sukces pedagogiczny właśnie dlatego, że ją przemilczano. Nigdy się nie zna zbyt dobrze samego siebie, a książka oznaczyła granice na których nasz „zachodni” liberalizm się zatrzymuje i jakby ustaliła wyporność polskiej, zagranicznej wolnomyślności.

Cudna w duszy instytucja, którą Francuzi nazywają **Examen Libre**, proponuje człowiekowi rozpatrzenie aktów każdej sprawy, uznając, że przekonanie powstaje jako rezultat pewnego biegnięcia i zmęczenie myśli, a nigdy nie może powstać przez odgródnienie się od takiego wysiłku. Wolny egzamin jest przyjemnością i zwyczajem pojedynczych mózgow, działających chałupniczo, dla sztuki bardziej niż dla zysku. Nie znoszą tego kolektywy intelektualne, a więc partie polityczne, których zadaniem jest robić **przemysł** intelektów, organizować przekonania w pochody, meetingi i pucze. Każda namiętnie siebie czująca społeczność ma coś z partii i czuje się zmuszona wolny egzamin zastąpić systemem, bo system prowadzi do celu, a wolny egzamin pracuje, w zmęczeniu, na **ufundowanie** celu.

Byłaby w tym miejscu okazja na otworzenie mikroskopijnego przewencyjnego procesu publicystyki. Jak daleko wolny egzamin posunął się na drodze wypaczenia? Co minuje jego ruchy, który z autorytetów: narodowa pycha — poczucie krzywdy — ignorancja? Ignorancja okazuje się w dziejach nie-spodziewanie silnym autorytetem, motorem zdarzeń. Książka Janty będzie w takim procesie stosunkowo małym wypadkiem, zwykłym powodem. Idee książki mogą być słuszne, albo nie — ale jej ukazanie się i przyjęcie przez emigrację stało się **testem** ogólnej inteligencji.

Są wśród nas tacy, którzy sądzą, że słuszna sprawa wymaga nie tylko ofiar w życiu osobistym, ale również ofiar intelektualnych. Chcę się procesować z tymi do ostatniego grosza. Nie ma rzeczy aż tak dominującej etycznie, że miałaby prawo robić giętką trzecinę z pisarstwa. Sprawa, która aż takich zabiegów wymaga, żeby udowodnić swojej słuszności — nie może być słuszna. Powody moralne i myślowe pozostanie w negacji do rządu warszawskiego są zbyt ciężkie i gruntowne, aby **komunały** stawiać im na straży. Istnieją w tutejszej publicystyce elementy polemiczne, które są rodzajem żandarmerii myślowej. Od razu położono areszt na innych elementach, refleksyjnych i badawczych.

Powiedziano, że intelektualizm bez fanatycznej zaprawy równa się **brakowi stanowiska**. Ktoś przez to wyobraża sobie, że ludzie o wyartych nieszcześciem podstawach życiowych mogą sobie pozwolić na brak stanowiska! Głupstwo. Intelektualizm obiektywny jest przecież poszukiwaniem **jedynego** stanowiska, bo moralnego: moralność nie jest kwestią patriotyzmu, a prawdomówności.

Nie tylko Janta, a każdy, kto o naczelnym zagadnieniach stara się pisać krytycznie i zachować się w ogóle inaczej niż diak wybijający pokłony przed ikonostasem, zostanie tu — w zagranicznej filii Soplicowa — przyaresztowany przez specyficzną żandarmerię literacką. Tu obowiązuje metoda pisania nie intelektualna, ale inkwizycyjna, co wynika z tego, że nie uprawia się krytyki poglądów, ale ich **kult**. Atmosfera przesadnego kultu jest zawsze niemoralna.

Rok temu Andrzej Bobkowski wydrukował znakomity utwór pt. „Pożegnanie”. Rzadko kiedy czuje się w sformułowaniu myśli tyle rzetelności i samotnego męstwa. Rzadko pióro literackie czyni poszukiwania na tak dalekim planie wewnętrznym. Przyzwyczailiśmy się do rodzaju literackiego, który jest mniej czy więcej popisem stylu. Bobkowski dlatego dał się od razu zauważyć, bo mam wrażenie, że jego przyczyny twórcze leżą gdzieś nisko, w piersiach i w brzuchu i nie mają nic wspólnego z potrzebą popisu. Gdybyż o literaturze można było tak powiedzieć, jak Whitehead o religii: że jest tym, co człowiek czyni ze swoją samotnością! Po opublikowaniu „Pożegnania” natychmiast służba naszej żandarmerii poradziła „Kulturze”,

używając pogardliwego pluralis, aby „takich” Bobkowskich więcej nie drukowała.

I tak zawsze.

Chciałbym przytoczyć z aktów procesu to zdanie Zygmunta Nowakowskiego: „Starajmy się wzbudzić w nas samych, bodaj na osobisty, prywatny użytek pewne szczątkowe właściwości podmiotu. Spróbujmy więc myśleć, choćby tylko myśleć, w tej sytuacji, która nam została narzucona”. Proponuję to klasyczne zdanie jako dewizę dla emigracji, jeżeli się ona czuje całością. (Podług mnie, emigracja jest sprawą wyłącznie indywidualną). W każdym razie jest mało prawdopodobne, żeby emigracja zdołała ocalić swoje instytucje i swoje stany liczbowe. Za to jest pewne, że jako instytucja i liczba nigdy nie odegra roli proporcjonalnej do celów, które sobie nałożyła. Po prostu dlatego, że stosunek sił materialnych nie może być na emigracji problemem na serio; jeżeli jest tu jakiś problem, to tylko jakości, w najzarliwszym sensie słowa. Gdy na tym punkcie emigracja przegra, może się rozwiązać jako klub ideowy i założyć jakiś inny, choćby gry w brydża. Żeby jakość ocalić trzeba by głęboko wyzyskać pozostałe nam cechy podmiotu, jak proponuje Nowakowski, i nauczyć się myśleć.

Zresztą cytowane zdanie z artykułu Nowakowskiego zupełnie nie oddaje ducha publicystyki, typowo uwodzicielskiej, jaką uprawia ten pisarz.

Czyta się jego felietony ze czcią dla tej piorunowej kipiącej moralistyki, ale i z rozbawieniem wobec rozhuśtanego jak witka łozy słowa, które traci poczucie swego znaczenia. To styl taneczny z jakiejś fantazji rytualnej. Epitety, przenośnie, huśtawki, wyrzutnie i nerwowe pauzy — następują w uwodzącej muzycznie, czy ja wiem? — choreograficznie kadencji. Ale intelektualnego rytmu jest w tym nie więcej, niż w numerze tanecznym. Ani punkt wyjścia, ani argumentacja nie mają w sobie tej konsystencji myślowej, która bolący, smutny łeb człowieka otwiera nieraz jak okno naprzeciw nieba. Nic z tego, co poddaje człowiekowi pracę do wykonania, cele do osiągnięcia. Nowakowskiemu o merytoryczną cenę słowa nie chodzi, bo mu zależy na retorycznym rozkręceniu i roztańczeniu pióra.

I nieraz się zszasta na papierze, aż przykro. Pisząc o Jancie, nazwał go „płatką, która policzkuje samego siebie”. Gdy zabiera się do Iwaskiewicza, to zaczyna z miejsca taką licytację obelg, że już w trzecim zdaniu przestaje się przywiązywać do używanych epitetów jakiegokolwiek znaczenie wartościujące, a przyjmuje się je jedynie muzycznie, jak wysokość tonu. A w końcu, wyznaje, przestaje się do artykułów Nowakowskiego w ogóle przywiązywać jakąś wagę poznawczą, uważając je za „szkołę stylu”, co jest nonsensem, bo nie ma stylu dla stylu. Publiczność nasza godzi się zresztą z postawieniem takiej nonsensowej wartości. Wieleż razy coś się bąka u nas

o jakimś „wielkim styliscie, o wielkim temperamentie”. Artykuły, które każdy redaktor na zachodzie odesłałby autorowi jako nieporozumienie, radząc żeby lepiej pisał nuty na saksofon — u nas ceni się najpozytywniej w świecie.

Można się domyślić, jaki patent wystawił sobie Zygmunt Nowakowski: „budzika sumień” stojącego u barłogu ogólnego cynizmu. Tym nie mniej, obrazki, które podaje, są tak dziarsko uproszczone i sposób dorabiania się jakiejś pewności jest w ciągu artykułu tak radykalnie łatwy — aż rodzi się podejrzenie, że i sprawa sumienia jest łatwa. Wiemy dobrze, że tak nie jest.

Jeżeli to komu się wyda tylko żartem i aforyzmem, niech się przyjrzy metodzie naszych reakcji publicznych i wydzieli z niej pierwiastki myśli. Okaże się, że tutaj aktywnością pisarzy nie rządzą żadne rygory intelektualne, a za to wszystkie inne: liryckie, obywatelskie i partyjne. Jest w tym trochę z charakteru czasów, używających gwałtownych środków zabijania i gwałtownej reklamy. Rozpylone w wirujący kurz sprawy narodowe i klasowe przepoły atmosferę publicystyczną tak gruntowną stronniczością, że nawet jasne mózgi próbują głosu w tym klekocie. Ale nie ma zgody na to, żeby jakikolwiek stosunek uczuciowy ułatwił myśli drogę do wykrycia wiarogodnego stanu rzeczy. Nie poucza się i nie objaśnia, a straszy, wyrzeka, pociesza i wzrusza. I rzeczywiście, polską książką można się zawsze pokrzepić przed bitwą, w gronie kolegów; dobrze, aby przy tym była butelka wódki. Ale gdy z tą książką zamknie się człowiek w czterech ścianach, sam na sam z własnym sceptycyzmem i niedostatkiem, wtedy trudno się nasycić koszałkami-opałkami. Czyni się smutno, czyni się zimno i pusto w umyśle, bo jego naturą, i metafizycznym powołaniem jest prawda. A chcą mu sprzedać gestykulację, pantomimę i bengalskie ognie.

Tymczasem obawszy rozsądkiem nasze szczególne położenie, staje się wobec nęcącej możliwości. Nie żyjemy tu w okolicznościach jakiejś stypy pogrzebowej, a raczej w wyjątkowej okazji zastanowienia. Czymże, jakiego rodzaju sprawą może być emigracja, jeżeli nie stanie się refleksją poza tekstem dyktowanego życia w kraju? Nie wyjdzie na korzyść ani sumieniu, ani życiu praktycznemu, jeżeli pisarze wezmą na się rolę płaczków i deklamatorów.

Otwórzmy, jako zespół mózgow przekonanych o swej racji, margines uczciwej refleksji. Na działanie dyplomatyczne, mówiąc serio, emigracji nie stać. Za to nikt nam nie broni dobrze i głęboko o polityce myśleć. Tym bardziej, że stan moralny dzisiejszej dyplomacji nie odpowiada ani w przybliżeniu moralnemu poziomowi jednostki; trzeba się ratować krzyżową sztuką słowa publicznego, akcją wolnej analizy. Polityka w swoim założeniu humanistycznym jest rzeczą piękną, jest podsumowaniem wielu fakultetów ludzkich i tworzy dzieło

zbiorowego życia. Dopiero w zastosowaniu praktycznym stała się polityka skandalem. Na tym tle ostro się pisze rola literatów i myślicieli. Pamiętając o wszetecznej praktyce — jak się pamięta twarz wroga — muszą inną stroną umysłu o niej zapomnieć, a uprzytomnić naiwny kształt polityki w jakim to pojęcie przyszło na świat. Aby tworzyć rzeczy o wewnętrznej sile, trzeba, jak Descartes, zaczynać od elementów: od początku świata.

Zbigniew FLORCZAK.

Nowy dziennik podróży do Niemiec

I. PRZESTROGA DLA PODRÓŻNYCH

Niemcy powojenne były przez długi czas zamknięte dla obcych. Jedynym stałym źródłem wiadomości o nich pozostają skąpe komunikaty agencji prasowych państw okupacyjnych. Panująca w Niemczech anarchia pozwalała zrazu podróżować tam nielegalnie, nie pytając nikogo o pozwolenie. Ale i ta furtka — dostępna zresztą tylko dla bardziej doświadczonych podróżnych — zamknęła się w 1946.

Niemcy i odbywające się w nich przemiany wewnętrzne są jednym z głównych przedmiotów sporu między zwycięskimi mocarstwami. Ze sporu tego może wyniknąć konflikt obracający w ruinę połowę globu. Za jeden z paradoksów naszych czasów należy więc uważać fakt, że przedmiot tak groźnego w skutkach sporu jest zainteresowanym ludom niemal całkowicie nieznany i niedostępny. Znajomość jego pozostaje przywilejem wojskowych władz okupacyjnych. Dla tej zapewne przyczyny większość rządów i parlamentów Europy nie może się zdobyć w tej sprawie na żadną decyzję, opinia zaś publiczna pozostaje chwiejna i zdezorientowana. Kto bowiem zechce wypowiadać się i decydować w sprawie, której właściwy przedmiot leży poza zasięgiem jego wiadomości i doświadczenia?

Po reformie monetarnej przeprowadzonej latem 1948, obszar Niemiec Zachodnich został udostępniony dla turystów. Jadący musi jednak nadal przezwyciężyć znaczne przeszkody. Przepisy regulujące turystykę w Niemczech mają za główne zadanie odebranie podróżnym jak największej ilości walut obcych. Taki pogląd na turystykę jest dziś bardzo rozpowszechniony. *Cheval à phynances* zastąpił biblijnego złotego cielca, i nikt zdaje się nie brać pod uwagę, że posiadanie pewnej ilości osób znających świat zewnętrzny i mających o nim umotywowany sąd, może posiadać — zwłaszcza dla krajów o ustroju demokratycznym — większą wartość od papierowych rixdałów wydanych na podróże.

Na użytek przyszłych podróżnych zanotujemy tu parę niezbędnych dla nich wiadomości.

Nasamprzód jadący powinien uzyskać od władz okupacyjnych wizę czyli tzw. permit, którego otrzymanie pozostawione jest

jego domyślności. Doświadczeni twierdzą, że osoba duchowna lub profesor, zaproszeni w celu wygłoszenia kazania lub odczytu, uzyskują permit łatwiej niż np. kupiec, jadący w interesach. Można też dostać się do Niemiec przez udział w wycieczce zbiorowej, zorganizowanej przez American Express Co. Podróżowanie zbiorowo w autokarach jest niestety dość kosztowne i przypomina podróż Jonasza, który w brzuchu wieloryba jeździł daleko, ale widział nie wiele.

Strona finansowa podróży nastęrcza jeszcze większe trudności. Po Trzeciej Rzeszy okupanci odziedziczyli przepis, pozwalający podróżnemu wwieźć do Niemiec jedynie 10 marek niemieckich. Wszystkie więc koszty podróży i pobytu muszą być opłacone w walutach obcych, zanotowanych przy wjeździe na dokumencie podróży. Wewnątrz kraju wolno je zmienić jedynie w bankach po kursie oficjalnym, odpowiadającym trzem markom za dolara.

Teoretycznie obcym turystom wolno jest zatrzymywać się tylko w tzw. hotelach eksportowych, wystawiających rachunki w dolarach. Pobyt i utrzymanie w nich kosztują około 10 dolarów dziennie. W hotelu niemieckim te same koszty wynoszą koło 30 marek, co przy oficjalnym kursie stanowi też 10 dolarów.

Na rynku wolnym — wewnątrz kraju czy np. w Zurychu — kurs marki wynosił w grudniu 1948 około 20 marek za dolara. Posiadacz dolarów wolnych, tj. nie zanotowanych w paszporcie, mógł więc mieszkać w hotelu niemieckim za półtora dolara dziennie. Tak wielka różnica kosztów wystawia wielu podróżujących na pokusę przewiezienia części dolarów bez deklarowania ich na granicy. Niemieccy kontrolerzy finansowi są niezwykle uprzejmi, nie rozbierają podróżnych do naga, ani nie przetrząsają im kieszeni. Niemniej w pociągach dla turystów jadą też — dla uproszczenia sprawy — urzędnicy policji śledczej, zaopatrzeni w pióra i papier do spisywania protokołów. Posiadanie wolnych dolarów wewnątrz Niemiec może też prowadzić do różnych przykrości. Poza wypadkami niezbędnej konieczności, lepiej więc nie bawić się w kontrabandę dolarów, pozostawiając ją osobom, mającym do tego odpowiednie kwalifikacje.

Poprawne rozwiązanie zagadnienia finansowego polega na znalezieniu osoby posiadającej w Niemczech należności w markach. Przepisy, krępujące handel niemiecki są tak uciążliwe, że cudzoziemcy mający należności w markach, tracą często nadzieję na ich transferowanie i odступują je podróżnym po cenie bliskiej rynku wolnego. Znalezienie takiego partnera pozostawione jest oczywiście domyślności podróżnego. W początku 1949 takimi operacjami zaczęły się zajmować też niektóre banki prywatne. Bardzo użytecznie jest posiadać przy wjeździe 100 szylingów austriackich, które na wolnym rynku można nabyć bardzo tanio, a które w pociągach dla turystów mają oficjalną wartość 10 dolarów. Posiadanie większych kwot w szylingach może służyć tylko podróżującym za austriackimi dokumentami.

Nie wielu widocznie może sprostać warunkom, jakie stawia

podróż do Niemiec, bo liczba przekraczających granicę jest znikoma. W miarę zbliżania się do granicy, pociąg kurczy się do dwóch wagonów. Znajduje się w nich zazwyczaj jedna rodzina repatriowana z Niemiec lub do Niemiec i kilku milczących mężczyzn, podróżujących najwidoczniej służbowo na koszt różnych urzędów. Przekraczając granicę w jedną i drugą stronę, miałem wrażenie, że oba razy byłem w pociągu jedynym pasażerem, podróżującym prywatnie, na własny koszt.

Znalezienie mieszkania w zrujnowanych i przeludnionych miastach niemieckich nastęrcza stosunkowo najmniej trudności. W każdym większym mieście znajduje się koło dworca biuro miejskie posiadające ewidencję wolnych pokojów i przydzielające je bez żadnych formalności. Trudności mieszkaniowe powstają dopiero przy dłuższym pobycie, który wymaga zezwolenia władz komunalnych.

Interesującego się życiem umysłowym Niemiec czekają liczne rozczarowania. Źródłem ich jest parcelacja Niemiec na samodzielne i oderwane od siebie ośrodki. Nie mówiąc już o obłożonym Berlinie i zonie sowieckiej, Niemcy Zachodnie są też bardzo podzielone. Czasopisma ukazujące się w Stuttgarcie, Heidelbergu lub Frankfurcie są nieznanne w Monachium i odwrotnie, jakkolwiek wszystkie te miasta leżą w zonie amerykańskiej. To samo dotyczy książek. Firmy wydawnicze obsługują jedynie swój najbliższy ośrodek. Nawet gazety wychodzące w innym mieście można znaleźć tylko w paru najlepiej zaopatrzonych kioskach.

Aby zapoznać się z prądami nurtującymi Niemcy Zachodnie, trzeba kolejno odwiedzić główne ośrodki życia umysłowego i politycznego: Monachium, Stuttgart, Frankfurt, Baden-Baden, Heidelberg, Kolonię i Hamburg. Wojna przemieszała głęboko ludność kraju. Wszędzie prawie ludność napływowa, przybyła w ostatnich latach, stanowi trzecią część ogólnej liczby mieszkańców. Mimo to życie wewnętrzne głównych ośrodków zaczęło narastać od strony tradycji i instytucji lokalnych. Nawet najpobieżniejsze zapoznanie się z głównymi ośrodkami wymagałoby przynajmniej dwóch miesięcy czasu i dwóch tysięcy marek kosztów, nie mówiąc o pewnej uprzedniej znajomości spraw niemieckich. Dla tej przyczyny nawet czasopisma krajów walczących obecnie o posiadanie Niemiec przynoszą tak mało ciekawych relacji o obecnym życiu wewnętrznym tego kraju.

II. NIEMCY PRZED ICH ZAGADKĄ

Kiedy Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki podzieliły między siebie kontynent europejski, stało się jasne, że każde z tych mocarstw prędzej lub później będzie usiłowało przeciągnąć Niemcy na swoją stronę. Umieszczone w samym środku kontynentu, posiadające znaczny przemysł, bogactwa naturalne, ludność pracowitą i wyszkoloną wojskowo, Niemcy mogły za naszej pamięci dwukrotnie ubiegać się z bronią w rękę o hegemonię Euro-

py. Dla wielkiego mocarstwa pozaeuropejskiego wciągnięcie Niemiec w orbitę jego polityki równa się posiadaniu kontynentu europejskiego. Od trzech więc lat obie strony kuszą lud niemiecki obietnicami. Ameryka obiecuje swobody osobiste, wyższą stopę życiową i odbudowę gospodarczą kraju. Związek sowiecki kusi sprawiedliwością społeczną — w Niemczech to zagadnienie było zawsze aktualne — uderzając też w ton patriotyczny i ludząc nawet odbudową narodowej siły zbrojnej.

Zdawałoby się, że Niemcom pozostało tylko doczekać końca tej licytacji, aby oddać serce więcej dającym i drogą pokojową powrócić do sytuacji z 1939. Niektórzy politycy niemieccy ulegli nawet chwilowo takiemu złudzeniu.

Po pochłonięciu przez Związek Sowiecki dziesięciu państw Europy Wschodniej i doświadczeniach zrobionych przez ludność niemiecką na wschód od Elby, obietnice i kokieterie sowieckie utraciły rzecz prosta większą część swej wartości. Za wcześnie byłoby jednak mówić o ich całkowitej dewaluacji. Polityka niemiecka Moskwy ulegała już wielkim wahaniom i zawiera wciąż ogromną skalę możliwości. Aby ocenić je z punktu widzenia niemieckiego, nie należy zapominać, że stosunki niemiecko-sowieckie posiadają dwa różne aspekty: jeden historyczny, powstały z myśli i dążeń kilku pokoleń, drugi nowy, będący wynikiem wypadków ostatnich miesięcy.

Alians z Rosją był tradycyjną polityką Prus, opartą na podziale Polski i na wpływach niemieckich na dworze petersburskim. Republika Wejmarska, a w szczególności jej koła wojskowe, przejęły ten spadek po monarchii. Od traktatu w Rapallo do 1941 uchodziło za rzecz pewną, że Niemcy i Związek Sowiecki razem stanowiłyby największą potęgę wojskową, mogącą pretendować do władzy nad Europą i, być może, nad resztą globu. W ostatnich czasach ukazało się w Niemczech drukiem trochę wspomnień z okresu współpracy wojskowej niemiecko-sowieckiej. Ze wspomnień tych widać, jak silnie fascynowała wojskowych niemieckich wizja siły i władzy mogącej powstać z tej współpracy. W 1941 wojna ze Związkiem Sowieckim miała w armii niemieckiej wielu przeciwników. Z procesów moskiewskich można wnosić, że ten sen o potęgę zawrócił w głowie także niejednemu oficerowi sowieckiemu.

Główni protagoniści ówczesnej współpracy niemiecko-sowieckiej dziś nie żyją, myśl ich wszakże — przewijająca się zresztą przez całą historię Rosji i Prus — nie da się rozstrzelać ani wymazać z pamięci przez wyroki sądowe. Musiała sobie z tego dobrze zdawać sprawę propaganda sowiecka, tworząc armię Paulusa — o której nic pewnego nie wiadomo — i na pół żartem na pół serio starając się zbadać czy marzenia generała von Seeckta żyją jeszcze w głowach zdemobilizowanych oficerów niemieckich. Dyskretna kokieteria sowiecka nie ogranicza się do byłych wojskowych, lecz przy okazji zwraca się też do różnych resztek kół tzw. niemiecko-narodowych.

Czy w stosownej chwili — np. w razie konfliktu zbrojnego

między mocarstwami — władcy Kremla nie utworzą niemieckiego rządu narodowego i nie ofiarują mu znów tradycyjnego aliansu z perspektywą wspólnego panowania nad Europą? Doświadczenie wykazało, że z mniejszych jeszcze osób niż Paulus i von Seydlitz można zrobić rząd narodowy, dmący w patriotyczne puzony. W jakim stopniu propagandzie sowieckiej udało się przekonać opinię niemiecką o możliwości takiego biegu wypadków i obudzić związane z nim nadzieje?

Znajomi, z którymi poruszam te tematy, są bardzo sceptyczni. Ze swymi zburzonymi miastami i zdemontowanym przemysłem, Niemcy nie są więcej interesującym partnerem dla Moskwy. Tej ostatniej chodzi o wytrącenie Niemiec z gry amerykańskiej. Gdyby interwencja zbrojna sowiecka była spowodowana próbami ponownego uzbrojenia Niemiec, Moskwa szukałaby zapewne przeciw nowej groźbie zabezpieczeń realnych w postaci np. zdemontowania reszty fabryk i uprowadzenia młodzieży w głąb Rosji.

Zresztą wypadki 1948 stworzyły sytuację nową, nie mającą precedensu w historii stosunków niemiecko-rosyjskich.

Oblężenie Berlina wywołało wzdłuż linii demarkacyjnej napięcie, w wyniku którego siły zbrojne sowieckie we wschodniej części Niemiec zostały znacznie wzmocnione. Niemcy obliczają je na 40 do 45 dywizji. Okupanci zachodniej części kraju nie rozporządzają na miejscu siłami równorzędnymi, mogącymi zatrzymać armię sowiecką na linii demarkacyjnej. Nie widać również, aby Stany Zjednoczone lub Anglia kwapiły się z wysyłaniem żołnierzy do Niemiec. Tworzenie bloku zachodniego, uwieńczony ostatnio przez pakt atlantycki, wskazuje raczej na to, że mocarstwa anglosaskie — w razie ewentualnego konfliktu zamierzają bronić w Europie tylko przyczółka mostowego, sięgającego co najwyżej do Renu. Niemcy pozostałyby poza tym systemem obrony, skazane z góry na okupację sowiecką.

Demontowanie fabryk w strefie angielskiej i amerykańskiej ludność tłumaczy chęcią okupantów usunięcia obiektów przemysłowych z terenu, który według wszelkiego prawdopodobieństwa wpadnie od razu w ręce nieprzyjaciela. Robotnicy, których z racji zniesienia fabryk nowi okupanci nie mogliby zatrudnić na miejscu, byłiby z góry przeznaczeni do pracy za Uralem. W tej perspektywie demontowanie fabryk staje się zagadnieniem szczególnie drażliwym.

Jak reagują Niemcy na niewesołe wnioski, wynikające z żelazną konsekwencją z polityki mocarstw okupacyjnych?

Jeden z moich znajomych, z natury pogodny i zrównoważony, streszcza sytuację Niemiec w sposób następujący:

— Byłoby wielkim złudzeniem sądzić, że posiadamy możliwość wyboru między Wschodem i Zachodem. Jesteśmy tylko biernym przedmiotem sporu między mocarstwami. Do takiego lub innego załatwienia ich sporu nie możemy się niczym przyczynić. Dlatego nie ma przed nami dwóch, ale tylko jedna droga: uni-

kać zatargów i szukać modus vivendi z każdą armią, której wypadnie okupować nasz kraj. Możemy co najwyżej mieć nadzieję, że do konfliktu zbrojnego nie przyjdzie tak długo, jak długo Rosja będzie miała na kontynencie europejskim tak oczywistą przewagę.

Urzędnik miejski, walczący z codziennymi trudnościami egzystencji, formułuje swą myśl w słowach skrajnych i gorzkich:

— Mam żonę i dwoje dzieci, wobec których mam oczywiste obowiązki. Na pierwszą wiadomość o przekroczeniu przez Rosjan linii demarkacyjnej otwieram kurek od gazu. Żadnej innej drogi przed sobą nie widzę. Żony i dzieci w poniewierkę nie odam.

Nikt w Niemczech zachodnich nie chciałby zamienić okupacji anglo-amerykańskiej na sowiecką. W konflikcie ze Związkiem Sowieckim Ameryka wydaje się jednak Niemcom stroną słabszą, niezdolną lub nie mającą ochoty do bronienia Europy przed ewentualną inwazją sowiecką. W miarę zaostrzenia się „zimnej wojny” groźba okupacji sowieckiej stała się bliższa, widzialna niemal gołym okiem. Nawet dobroczynne skutki planu Marshalla, odczuwane przez każdego mieszkańca Niemiec Zachodnich, przyjmowane są z obawą, czy nie przyspieszą niepokojącego biegu wypadków.

Wenn die Russen kommen... Słowa te brzęczą jak muchy we wszystkich rozmowach. Słychać je na ulicach, w tramwajach, w kawiarniach. Od nich zaczynają się zazwyczaj refleksje dotyczące przyszłości. Nawet w amerykańskiej gazecie, wydawanej po niemiecku dla celów polityczno-wychowawczych, czytam, że w zonach zachodnich nieliczni tylko wątpią o przyjeździe Rosjan.

Jak zachowa się wówczas armia sowiecka? Z jaką formułą polityczną wejdzie do Niemiec Zachodnich? Czy zostawi możliwość ocalenia chociażby tylko nagiego życia aż do końca wojny? W obliczu tych pytań nawet upiór Paulusa przybiera pozory deski ratunku, staje się surogatem nadziei i jedyną alternatywą do kurka z gazem.

Czy zdecydowana polityka Amerykanów w Berlinie i postawa zajęta przez ludność miasta nie wywołały zmiany tych nastrojów? Pytanie to zadają wielu znajomym. W odpowiedzi słyszę różne, mniej lub więcej ostrożne i sceptyczne komentarze:

— Obłężenie Berlina uświadomiło wszystkim bliskość możliwego konfliktu, którego Niemcy byłyby pierwszą ofiarą.

— Niemcy nie są dziś — jak w 1945 — odcięte od reszty świata. Radio i gazety przynoszą co dzień wiadomości o nowych fluktuacjach polityki amerykańskiej i niepewności panującej na całym świecie. W tej perspektywie nie wiadomo więcej, jakie znaczenie przypisywać wypadkom berlińskim.

— Amerykanie musieli wypruć swej enklawy berlińskiej nie z wyboru, lecz z konieczności. Gdyby oddali Berlin bez oporu, cała ludność Niemiec Zachodnich musiałaby się przygotować do przyścia Rosjan, zmieniać skórę, zapisywać się do partii

itd. i armia amerykańska znalazłaby się w powietrzu, bez gruntu pod nogami.

— Berlińczycy są w sytuacji oddziałów stojących w pierwszej linii pod ostrzałem. Muszą myśleć o doraźnym ocaleniu i nie mają czasu stawiać sobie pytania czy wojna ta może być w ogóle wygrana. W Berlinie działają już tylko odruchy masy ludzkiej w niebezpieczeństwie.

Dzięki wielu kontaktom z władzami i żołnierzami sowieckimi w zonie wschodniej, Niemcy zdają sobie sprawę z trudności wewnętrznych Związku Sowieckiego. Wiedzą, że ludność jego obawia się wojny i nie chciałaby w niej brać bliższego udziału. Nawet groźne dywizje sowieckie stojące na linii demarkacyjnej skorzystają być może z pierwszej okazji, aby skapitulować. Ale i taka ewentualność wymagałaby ze strony Stanów Zjednoczonych jakiejś bardziej zdecydowanej postawy i odpowiedniej siły zbrojnej w Europie, aby żołnierze sowieccy, w celu złożenia broni, nie musieli gonić za Amerykanami aż do Pirenejów.

Sytuacja Niemiec między Wschodem i Zachodem nasuwa porównanie z Włochami, które są również bardzo eksponowane. Włochy posiadają własny rząd i wynikającą stąd możliwość manewrowania, układania się, wybierania mniejszego zła. Trudno powiedzieć, czy w razie zaostrzenia kryzysu ta swoboda działania im na coś się przyda. Na razie daje złudzenie względnego bezpieczeństwa i nadzieję na pomysłowość i przytomność własnych mężów stanu. Niemcy nie posiadają takich złudzeń i nadziei. Losy ich z całą oczywistością zależą od zmiennych procesów wewnętrznych, nurtujących odległą Amerykę i Eurazję i uchylających się od wpływów i nawet od wiadomości mieszkańców naszego kontynentu.

Niemcy dzisiejsi — podobni w tym do wielu innych mieszkańców Europy — stoją bezradni wobec przeznaczenia, i myśl ich obiega na próżno ściany pułapki. W kraju, gdzie od wielu pokoleń chwalono ponad wszystko energię i inicjatywę, grecka *apatheia* i *ataraxia* wydaje się wielu obywatelom najrozumniejszym sposobem zachowania się.

III. REMILITARYZACJA NIEMIEC ZACHODNICH

W opisanym wyżej stanie rzeczy mówi się w Niemczech coraz częściej o ewentualnym uzbrojeniu weteranów ostatniej wojny i stworzeniu niemieckiej siły zbrojnej, mogącej — wspólnie z armiami okupacyjnymi — stawić opór na linii demarkacyjnej. W Anglii i Ameryce taki rozwój wypadków wydaje się naturalnym uzupełnieniem bloku zachodniego. Winston Churchill i wielu innych gotowi są wyciągnąć rękę do wczorajszych wrogów i rehabilitować armię niemiecką.

Nawet najwięksi zwolennicy takiej inicjatywy nie zamykają zapewne oczu na trudność tego przedsięwzięcia. Nie dalej jak przed czterema laty wojska niemieckie okupowały cały niemal kontynent europejski, i wspomnienia tego niepodobna wy-

mazać z pamięci. Powołanie pod broń weteranów objęłoby z natury rzeczy przede wszystkim młodsze roczniki czyli niedawnych SS-manów. Być może i ich także Churchill gotów jest przycisnąć do swej brytyjskiej piersi, ale ponownego uzbrojenia SS-manów nie strawi opinia publiczna Francji, krajów Beneluxu i może nawet Włoch. Kto wie jak by się doń odniosła opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych? Ludność Europy środkowo-wschodniej i Związku Sowieckiego poczułaby się przez taki fakt zagrożona w swej egzystencji. Każdy krok na tej drodze grozi wywołaniem nieobliczalnych reakcji na całej przestrzeni naszego kontynentu.

Niemcy częściowo tylko zdają sobie sprawę z trudności zewnętrznych ewentualnej remilitaryzacji zon zachodnich. Wielu z nich myśli, że uda się im przewyciężyć w sobie właściwości, które zrobiły z nich postrach Europy i utrzymują wciąż aktualność wspomnień z czasów okupacji niemieckiej kontynentu. Próby przewyciężenia spadku po Hitlerze są obecnie jednym z najważniejszych zagadnień wewnętrznych Niemiec, do którego wrócimy niżej.

W konflikcie między Wschodem i Zachodem Niemcy są krajem najbardziej eksponowanym. „Zimna wojna” toczy się na ich terytorium, częściowo kosztem ludności niemieckiej. Znacznie bliżej i konkretniej, niż ludność Europy Zachodniej, widzą Niemcy nacisk sowiecki na linię demarkacyjną i grożące od tej strony niebezpieczeństwo. Stworzenie armii niemieckiej w rozmiarze pozwalającym jej stawić opór na linii demarkacyjnej nastęrczyłoby niemało trudności technicznych. Niemcy zostały sumiennie rozbrojone, ich przemysł wojenny zdemontowany, całe więc uzbrojenie należałoby przywieźć z za morza. Zdaniem specjalistów uzbrojenie 40 dywizji niemieckich wymagałoby około dwóch lat czasu.

Czy Moskwa, której siły stoją już na linii demarkacyjnej, zechce tak długo czekać?

Armia amerykańska, która tworzy się dopiero za morzami i — o ile w Waszyngtonie do tego czasu nie zmienia zdania — będzie gotowa za kilka lat, nie przedstawia dla Związku Sowieckiego groźby natychmiastowej. Inaczej być może patrzono by w Moskwie na armię niemiecką, będącą — według doświadczeń ostatniej wojny — bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Zajęcie przewencyjne całego obszaru Niemiec wydawałoby się prawdopodobną odpowiedzią Moskwy. Nikt nie może przewidzieć, jakie byłyby w tym wypadku reakcje innych krajów Europy Zachodniej.

Dla tych przyczyn znaczna część opinii publicznej w Niemczech Zachodnich odnosi się niechętnie do remilitaryzacji kraju. Próby tworzenia niemieckich sił zbrojnych mogłyby tylko przyspieszyć konflikt i nieuniknioną w obecnej fazie zbrojeń okupację sowiecką całych Niemiec. Ustosunkowanie się opinii do remilitaryzacji stało się widoczne podczas dyskusji wywołanych w końcu listopada 1948 przez tzw. deklarację Kogona.

Dr Eugen Kogon, były więzień obozów koncentracyjnych i autor książki *Der SS-Staat*, jest wydawcą cenionego miesięcznika *Frankfurter Hefte*. Korzystając z pobytu w Rzymie na kongresie Unii Europejskiej Federalistów, gdzie mógł mówić bez cenzury, Dr Kogon oświadczył, że władze okupacyjne angielskie przed 9 miesiącami i amerykańskie przed 3 miesiącami zaczęły szkolić żołnierzy niemieckich. Zdaniem Dra Kogona, siły niemieckie — o ile w ogóle mają powstać — powinny być tworzone jawnie i podlegać rządowi niemieckiemu.

Wiadomość ta, która zapewne obiegła już prasę innych krajów, ukazała się zrazu w amerykańskiej *Neue Zeitung* z 25 listopada w redakcji, która musiała zapewne zdziwić Dra Kogona i jego przyjaciół. Wynikało z niej, że cała Europa uważa ponowne uzbrojenie Niemiec w obecnej fazie wypadków za niezbędne, i że autorowi rzymskiej deklaracji chodziło jedynie o formalne uprawnienia rządów niemieckich w stosunku do tworzących się sił zbrojnych.

W takiej redakcji zwłaszcza, wiadomość ta musiała wywołać pewien zamęt. Następnego dnia brytyjskie władze okupacyjne zaprzeczyły twierdzeniom dra Kogona. Rząd bawarski podał do wiadomości, że rewelacje tego rodzaju mogą służyć jedynie propagandzie sowieckiej. Sam Dr Kogon ogłosił kilka wyjaśnień, z których wynikało, że nie jest bynajmniej zwolennikiem remilitaryzacji Niemiec i rewelacje swe zrobił jedynie w celu przestrzeżenia opinii przed taką ewentualnością.

Chcąc zrozumieć o co chodzi wśród tylu rozbieżnych komentarzy, zwróciłem się do znajomych Dra Kogona, od których pomyślałem takie mniej więcej objaśnienia:

— Tworzenie niemieckich sił zbrojnych w zonach zachodnich jest igraniem z ogniem. Anglicy i Amerykanie, którzy się tym bawią, robią politykę przekraczającą ich środki i mogącą mieć dla Niemiec tylko najgorsze następstwa. Taka ocena położenia jest bardzo rozpowszechniona, i byli oficerowie, mający jakieś poczucie odpowiedzialności, uchylają się na ogół od pozycji okupantów. Do posług u tych ostatnich zgłaszają się najmniej ciekawe resztki dawnej armii, osoby skompromitowane w okresie hitlerowszczyzny i poszukiwane przez sądy. W ostatnich miesiącach zwłaszcza powstało niebezpieczeństwo, że awanturnicy i byli nazi zostaną przez okupantów pasowani na rycerzy orientacji zachodniej i narzuceni krajowi jako samodzielny czynnik polityczny. Deklaracja Dra Kogona nie jest jego wystąpieniem osobistym. Stoi za nią znaczna część opinii publicznej widzącej niebezpieczeństwo i starającej się je odwrócić. W mniemaniu Dra Kogona i jego przyjaciół, wyniesienie całej sprawy na forum publiczne może zapobiec lub przynajmniej ograniczyć próby remilitaryzacji Niemiec Zachodnich.

IV. ORGANIZACJA TYMCZASOWOŚCI

Czy w opisanych wyżej warunkach jest miejsce na jakieś życie polityczne?

Podczas mego pobytu w Niemczech obradowała w Bonn komisja, wyłoniona przez parlamenty poszczególnych *Länder* i mająca za zadanie spisanie konstytucji dla Niemiec Zachodnich. Co kilka dni prasa podawała na pierwszych stronicach wiadomości o postępie tych prac, idących zresztą żółwim krokiem. Z rozmów przekonałem się, że czytelnicy roztargnionym okiem przeglądali depesze z Bonn, nie przywiązując do nich większej wagi i nie zatrzymując ich w pamięci. Istotnie, co może pomóc konstytucja krajowi znajdującemu się wobec tak dramatycznych ewentualności?

W ciągu ostatnich trzech lat w tzw. bizonie czyli pod okupacją angielską i amerykańską ukonstytuowały się parlamenty poszczególnych krajów niemieckich i odbyły się kilkakrotnie wybory do parlamentów i instytucji samorządowych. Do wyborów stanęły dawne stronnictwa Republiki Wejmarskiej. W głosowaniach wzięło udział 70 — 90% wyborców, oddając w ogromnej większości swe głosy stronnictwom odpowiadającym dawnemu Centrum i Socjalnej Demokracji. Komuniści uzyskali niewielką ilość głosów, topniejących przy każdym nowych wyborach.

Mimo to nie widać nigdzie powrotu do dawnego życia politycznego. W Republice Wejmarskiej każdy niemal przechodzień mógł wskazać adres biura okręgowego swego stronnictwa i wymienić tytuł jego miejscowej gazety. Dziś zainteresowania ludności polityką stronnictw musi być niewielkie, bo nigdzie nie dostrzegłem jego przejawów.

Bładość obecnego życia politycznego jest zrozumiała. W Republice Wejmarskiej każde z głównych stronnictw ofiarowało swym adherentom jakąś doktrynę i z mniejszą lub większą konsekwencją wysnuło z niej recepty na zagadnienia bieżące. Na najważniejsze zagadnienia stojące obecnie przed ludnością Niemiec stronnictwa nie posiadają żadnej recepty. W powszechnych głosowaniach ludność dała wyraz swej niechęci do systemu sowieckiego i w tym celu oddała swe głosy stronnictwom umiarkowanym, ale od stronnictw tych niczego na razie nie oczekuje. Niektórzy z moich znajomych wyrażali nawet wątpliwość, czy w obecnej sytuacji Niemcy Zachodnie byłyby w stanie wyłonić rząd parlamentarny, mogący z powodzeniem przejąć zadania władz okupacyjnych.

Według powszechnie przyjętego mniemania istniejące obecnie rządy krajowe mają za jedyne zadanie skuteczną współpracę z władzami okupacyjnymi i utrzymywanie obecnego modus vivendi. Wraz z zakończeniem okupacji zadanie ich będzie spełnione, i rządy obecne ustąpią miejsca innym, bardziej odpowiadającym warunkom życia kraju niepodległego. Między wyborcami, którymi interesy mają reprezentować, i władzami okupacyjnymi, które odstąpiły im część swej władzy, rola rządów krajowych nie musi być łatwa.

W 1948 jeden z ministrów bawarskich, imieniem Loritz, został uwikłany w afere spekulacyjną, i prokurator wydał pole-

cenie aresztowania go. Korzystając widocznie nadal z pewnego poparcia władz okupacyjnych, Loritz mógł miesiącami ukrywać się w Monachium. Widywano go w różnych miejscach, udzielał nawet wywiadów prasie, pozostając nieuchwytny dla policji bawarskiej. Dopiero podczas mego pobytu w Monachium Loritz, po kilkudniowym pościgu, w którym brało udział trzy tysiące policjantów, został aresztowany w parku publicznym.

Z tego *fait divers* można się domyślać, że osobistości oficjalne obecnych Niemiec czerpią znaczną część swego niewielkiego autorytetu — mało kto zna ich nazwiska — z uzdolnień do współpracy z okupantami. Wielu z nich doznało przesładowań w czasach Trzeciej Rzeszy, jest wśród nich na pewno wielu ludzi pełnych odwagi i dobrej woli. Nie ulega wątpliwości, że położyli ogromne zasługi przy złagodzeniu rygorów okupacji. Czy naród im te zasługi policzy? Zdaje się leżeć w porządku natury, że nawet najzasłużeńsi kolaboracjoniści spotykają się z niewdzięcznością, a w każdym razie schodzą ze sceny wraz z zakończeniem okupacji.

Kto przyjdzie po nich? Kogo wysuną na czoło Niemiec pierwsze wybory pookupacyjne? Nikt na to pytanie nie umiał mi dać odpowiedzi. Następcy obecnych ministrów czekają gdzieś zapewne swojej kolei, rozkładają pasjansę, czytają być może Machiavellego i Clausewitza. Nikt ich na razie nie zna z imienia. Im dłużej trwa oficjalność zorganizowana pod auspicjami wojskowych władz okupacyjnych, tym trudniej przewidzieć dalszy ciąg ewolucji politycznej kraju.

Bardziej stały i ciągły charakter posiada niemiecka administracja. Opanowanie przez nią chaosu powstałego po upadku cesarstwa w 1918 było dla obcych niespodzianką. Żywoćność swą administracja czerpie z istniejącej do 1933 autonomii krajów i miast niemieckich. Zmiany régime'u politycznego i związana z nimi dyskwalifikacja części urzędników nie tworzą w Niemczech niezastąpionych luk, bo instytucje samorządowe dostarczają natychmiast nowych zastępów wyszkolonych administratorów. Dzięki tym okolicznościom Niemcy nie miały dotąd do przezwyciężenia trudności, z jakimi spotkała się np. Polska w pierwszych latach niepodległości, i jakie powstają po przewrotach politycznych w krajach scentralizowanych.

I dziś obserwujemy w Niemczech szybkie odradzanie się aparatu administracyjnego. Od trzech lat władze okupacyjne przerzucają nań coraz trudniejsze zadania, przerastające siły administracji wojskowej. Do najtrudniejszych należy zagadnienie uchodźców z zony sowieckiej, których liczba dochodzi np. w Bawarii do trzeciej części ogólnej liczby mieszkańców. Wielu z nich wydestało się z zony sowieckiej tylko w koszulach i ka-lesonach. Tak ubranych uchodźców widziałem na ulicach w mroźne dni końca 1945. Rozmieszczenie, zaopatrzenie i częściowe przynajmniej zatrudnienie takiej masy uchodźców jest zadaniem na miarę Herkulesa. Zresztą liczba uchodźców wciąż wzrasta, i nic nie zapowiada końca exodu. Pojawienie się ar-

mii sowieckiej w środku Europy stworzyło zagadnienia, które z natury swej są być może nierozwiązalne w granicach pojęć i tradycji europejskich.

W każdym razie chaos i anarchia, jakie panowały w Niemczech w 1945 — 1946, zostały mniej więcej opanowane. W tej niewielkiej mierze, w jakiej miałem do czynienia z urzędami niemieckimi, musiałem stwierdzić sprawność ich personelu odróżniającego bystro sprawy istotne od nieistotnych i traktującego je bez formalistyki.

Jednym z najważniejszych osiągnięć okupacyjnych i niemieckich była reforma monetarna, przeprowadzona latem 1948. W ciągu trzech lat Niemcy znajdowały się w stanie anarchii pieniężnej. Miliardy banknotów pozostałych w spadku po Trzeciej Rzeszy i wędrujących z jednej zony do drugiej, nie miały określonej wartości. Posługiwano się nimi symbolicznie przy wykupywaniu przydzielonych na kartki artykułów spożywczych, brak jednak było wolnego rynku poza tzw. rynkiem czarnym. Ale i tam ceny obliczano raczej w papierosach niż w markach.

Pojawienie się w Niemczech Zachodnich nowego pieniądza stworzyło podstawę dla handlu wewnętrznego. Ukryte dotąd towary ukazały się na wolnym rynku. We wszystkich miastach widać wznoszone pośpiesznie budynki tymczasowe dla nowych przedsiębiorstw handlowych.

Losy nowej marki niemieckiej były przez dłuższy czas niepewne. W wolnych obrotach wartość jej spadła w ciągu pierwszych miesięcy z 3 na 20 marek za dolara. Od spotkanych w Niemczech kupców amerykańskich słyszałem, że nawet w Nowym Jorku można było nabyć marki po cenie wolnorynkowej. W listopadzie i grudniu 1948 marka przechodziła kryzys: ceny szły szybko w górę i towary zaczęły znów znikać z obrotu. W pierwszych miesiącach następnego roku dolar w wolnych obrotach spadł do 12, potem zaś do 8 marek. Ceny towarów mają tendencję do stabilizowania się na poziomie wspólnym dla całej zachodniej części naszego kontynentu.

Wahania się kursu marki niemieckiej zależą zapewne nie tylko od warunków gospodarczych — jak poziom produkcji — ale także od zaufania do niej ludności. *Wenn die Russen kommen*, marka zachodnia utraci wszelką wartość. Tak długo więc, jak ludność będzie musiała się liczyć z taką możliwością, nowa moneta posiadać będzie u niej jedynie kredyt warunkowy, tymczasowy.

Historia ostatniego trzydziestolecia w Europie, uczy, że inflacja zaostrza z reguły istniejące konflikty społeczne i polityczne. Ludność pracująca, otrzymując wynagrodzenie w topniejących w palcach papierkach, odnosi wrażenie, że jej stopa życiowa da się obronić tylko siłą, w drodze strajków, gróźb i zamachów, zmierzających do wzięcia w własne ręce maszyny do drukowania banknotów.

W Niemczech nie można było zauważyć tych normalnych skutków inflacji. Brak pieniądza o określonej wartości Niemcy

znosili przez trzy lata z stoicyzmem i rezygnacją, jaką trudno byłoby wyobrazić sobie we Francji lub Włoszech.

Z ust jednego z niemieckich przyjaciół usłyszałem na ten temat następującą refleksję:

— Amerykanie mieli niesłychane szczęście, obejmując w spadku po Hitlerze ludność bierną, miękką jak wosk, wyszkoloną jak żadna inna w słuchaniu i wykonywaniu najnieдорzeczniejszych nawet rozkazów.

Po długotrwałym poście, ludność Niemiec Zachodnich powitała początek nowego okresu gospodarki kapitalistycznej z uczuciem ulgi i zadowolenia, jakkolwiek w obecnych warunkach nowy pieniądz musi jej przynieść niejedną zawód i rozczarowanie.

V. NIEMCY WOBEC WŁASNEJ PRZESZŁOŚCI

Upadek Europy i podział jej między mocarstwa pozaeuropejskie, utrata przez Niemcy niepodległości i zapowiadająca się na długi czas okupacja ich przez obce siły zbrojne — taki wynik 27 lat polityki niemieckiej powinien, zdawałoby się, wywołać w Niemczech ogólny krytycyzm w stosunku do przeszłości i potrzebę ustalenia, kto za nią jest odpowiedzialny.

W tępieniu ludności i plądrowaniu krajów okupowanych przez siły zbrojne Trzeciej Rzeszy brała udział tak znaczna ilość osób, że wykrycie ich i ustalenie indywidualnej odpowiedzialności wydaje się rzeczą niemożliwą. W krajach, gdzie widziano przeciągające tysiące morderców i grabieżców niemieckich, rozwijających inicjatywę na różnych szczeblach hierarchii wojskowej i cywilnej, wytworzył się obraz narodu ogarniętego zbiorowym szaleństwem przestępczym. Z tego obrazu wyrosło obce skądinąd poczucie prawnemu Europejczyków pojęcie winy zbiorowej narodu niemieckiego.

Po upadku Trzeciej Rzeszy spodziewano się, że Niemcy — tak z pobudek wewnętrznych, jak w celu znalezienia wspólnego języka z okupantami i innymi ludami Europy — z własnej inicjatywy podejmą próbę jakiejś *catharsis*, procesu oczyszczającego. Niektórzy wyobrażali to sobie w mglistej formie jakiegoś zbiorowego wyznania winy i pokuty. Inni sądzili, że ludność Niemiec samorzutnie odróżni i odtrąci od siebie osoby, które w czasach Trzeciej Rzeszy zbyt jawnie deptały dziesięciorgo przykazań i kodeks karny.

Oczekiwania te w przeważnej mierze zawiodły. Według relacji pierwszych cudzoziemców, którzy po kapitulacji dostali się do Niemiec, ludność tamtejsza nie okazywała większej ochoty do oczyszczania się z ciężących na niej zarzutów. Dla innych przegranie wojny, spalenie miast i okupacja kraju były karą wyczerpującą całą sprawę. Inni wymawiali się nieznajomością faktów. Upadek dyktatur pociągnął zazwyczaj silne, wręcz krwawe reakcje ludności. Brak takiej reakcji w Niemczech, po upadku najbardziej barbarzyńskiej i krwawej dyktatury jaką

widziała Europa, wywołał wszędzie zdziwienie, konsternację, wreszcie nieufność.

Dopiero po upływie dłuższego czasu stały się widoczne główne zarysy tego złożonego zjawiska.

Samorzutnych reakcji ludności w Niemczech nie spodziewał się nikt, kto znał ten kraj z okresów poprzednich. Nawet w Republice Wejmarskiej, w której ścierało się z hałasem kilka doktryn politycznych, nieliczni tylko zdobywali się na własny sąd o zagadnieniach bieżących. Olbrzymia większość czekała przezornie na wskazówki sfer rządowych, kierownictw partyjnych i innych ośrodków dyspozycji politycznej. Brak samodzielnej i niezależnej opinii publicznej zdaje się być stałą chorobą państwa nowożytnego. Pod tym względem Niemcy wyprzedziły o ćwierć wieku inne ludy Zachodu, stojące dziś posłusznie za swymi rządami, z wyjątkiem grup czekających równie biernie na inspirację Kominformu. Zniknięcie rządu, stronnictw i prasy pozbawiło Niemcy z dnia na dzień organów, które dotąd miały tam największy wpływ na kształtowanie się opinii.

Zbiorowa reakcja i odtrącenie od siebie przez ludność byłych hitlerowców wymagały istnienia pewnej, z gruba chociażby powiązanej społeczności. Z pierwszej podróży powojennej do Niemiec, w końcu 1945, wyniosłem wrażenie, że w owym czasie ludność Niemiec była przemieszaną przez wypadki masą ludzką, wytraconą ze wszystkich więzi społecznych. Większa część przechodniów na ulicach stanowili obcy, przetrzuceni tu przez wypadki, oderwani od rodziny i stałego miejsca zamieszkania. Jakich reakcji politycznych lub moralnych można spodziewać się po tłumie, złożonym z osób sobie nieznanych lub znających się od wczoraj? Krytyczne spojrzenie na lata przeszłe wymaga nadto niewielkiej chociażby ilości wolnego czasu, oparcia głowy na rękę i chwili zamyślenia. Wśród płonących miast lub pokrytych pyłem ruin i wędrującej ludności niewielu tylko posiadało warunki do medytacji.

Poszukiwaniem winnych i ustalaniem ich odpowiedzialności zajęli się zresztą sami zwycięzcy, nie oglądając się na Niemców. Do procesów norymberskich przeciw dygnitarzom Trzeciej Rzeszy Niemcy zostali dopuszczeni tylko w charakterze obrońców. Ujemne strony sądenia hitlerowców wyłącznie przez obcych spostrzeżono dopiero poniewczasie, i sądom niemieckim przekazano drobniejsze ryby, osoby mniej winne, mniej zuchwałe, często zbiedzzone długim pobytom w więzieniu.

Efekt moralny sądenia Niemców przez zwycięzców był tym mniejszy, że już przed początkiem rozpraw norymberskich okupanci utracili autorytet moralny, jakiego oczekujemy od dziów powołanych do karania „przestępstw przeciw człowieczeństwu”. W zaraniu okupacji, obok polowania na nazich, rozpoczęło się w całych Niemczech polowanie na „trockistów”, Ukraińców, Kaukazyków i innych opozycjonistów sowieckich, którzy łapano i oddawano sowieckiej policji politycznej. Były

to pierwsze ofiary ludzkie oportunistom i amoralizmowi polityki anglo-amerykańskiej. Dla zaspokojenia ambicji wschodniego alianta, i utorowania drogi dla korzystnych interesów powojennych, demokraci Zachodu ofiarowywali władcom Kremla całe wyspy i lądy z ich ludnością, nie wahano się więc także przed oddaniem do rozstrzelania kilkudziesięciu czy nawet kilkuset tysięcy opozycjonistów. Kto miał sposobność zapoznać się ze szczegółami tych łapanek i ekstradycji, musiał doznać głębokiego wstrząsu moralnego. Polowania na ludzi odbywały się częściowo w biały dzień, i patrząca na nie ludność niemiecka wyciągała z tego spektaklu odpowiednie wnioski. W systemie zorganizowanej przemocy najczęstszym odruchem patrzącego jest chęć udzielenia pomocy uciekającemu od oprawców. Tak więc pierwsze kroki okupantów na terenie niemieckim stworzyły zamęt pojęć i uczuć, mało sprzyjający samodzielnym próbom Niemiec oderwania się od ich okropnej przeszłości.

Dzisiaj urzędowa puryfikacja Niemiec od resztek hitleryzmu czyli tzw. *Entnazifizierung* dobiega końca. Wszyscy Niemcy, z którymi na ten temat rozmawiałem, są zgodni w tym, że akcja ta chybiła celu, nie załatwiając. Większość moich rozmówców nie wahała się określać jej jako farsy. Wyraz ten nie wydaje się przesadny, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że po trzech przeszło latach okupacji znikoma tylko część byłych nazich została ukarana. Nikt nie wie, ilu morderców przechadza się po ulicach. Od osób doświadczonych słyszałem, że niejedyn z poszukiwanych przez sądy niemieckie znajduje się na służbie u okupantów, którzy bronią go od odpowiedzialności. Bardziej znani mają bezkarność tylko w porze nocnej, aby nie drażnić zbyt swą bezkarnością policji niemieckiej.

Zagadnienia oczyszczenia Niemiec z resztek hitleryzmu pozostaje zatem wciąż otwarte, niezakończone.

Poza granicami Niemiec sprawa ta będzie źródłem niezliczonych trudności przy wszystkich próbach wciągnięcia Niemiec do współpracy międzynarodowej. W początku 1949 znakomity pianista niemiecki, Walter Gieseking, wysiadając ze statku w Nowym Jorku, gdzie miał koncertować w Carnegie Hall, znalazł przed sobą tłum wrogich manifestantów, którzy nie dopuścili do koncertu i zmusili artystę do opuszczenia Ameryki. Wnosić stąd można, że nawet opinia amerykańska, niosąca też część odpowiedzialności za politykę niemiecką swego rządu, uważa sprawę „denazyfikacji” za niezakończoną i wyciąga stąd praktyczne wnioski, traktując wszystkich Niemców jako domniemych byłych hitlerowców.

Okupanci zdradzają tu dziwną niekonsekwencję: z jednej strony chcieliby odtworzyć armię niemiecką i wciągnąć Niemcy do bloku zachodniego, z drugiej zaś strony zaniebdują stworzenia niezbędnych do tego warunków wstępnych. Niekonsekwencja ta zdaje się mieć dwie przyczyny: nieznajomość i całkowite lekceważenie Europy oraz słabość samych władz okupacyjnych.

Użyteczność szybkiego oderwania się od upiora Trzeciej Rzeszy pierwsze rozpoznały niemieckie koła wojskowe. Droge do tego celu pokazała im w ostatnim roku wojny propaganda angielska, prowadzona przez fikcyjną radiostację „Atlantik-Sender” w imieniu rzekomej grupy opozycji wojskowej. Mit opozycji wojskowej był więc już gotowy, należało go rozwinąć i uzupełnić nowymi szczegółami. Tę rolę miały spełnić zagranicą ogłoszone w Szwajcarii wspomnienia Giseviusa i Schlabrendorffa o spiskach wojskowych w ostatnich latach Trzeciej Rzeszy.

Znacznie trudniej było utrzymać mit opozycji wojskowej w oczach czytelników niemieckich. Pod pozorami apolityczności armia niemiecka służyła po kolei wszystkim rządóm: socjaldemokratycznym, katolickim i hitlerowskim, ale tylko te ostatnie mogły dostarczyć ambitnym wojskowym możliwości rewanzu za 1918, władzy nad Europą i buław marszałkowskich. Dla tej przyczyny armia poddała się od razu rozkazom dyktatora, pokonując bez szemrania wszystkie upokorzenia. Nawet zamach z 20 lipca 1944 wskazuje, że opozycja wojskowa ograniczała się do niewielkiej, izolowanej grupy starszych wojskowych, zdolniejszych do zbiorowego samobójstwa niż do skutecznego działania. Ich samotna decyzja i tragiczny los zasługują na pamięć i szacunek, ale nie upoważniają do uogólnień. Rewelacje Giseviusa przyjęte zostały w Niemczech z największym krytycyzmem, Schlabrendorff zaś sam sprzeciwił się ponownemu wydaniu książki ogłoszonej z figlarnymi dodatkami pod jego nazwiskiem.

Polityka okupantów w stosunku do byłych wojskowych przedstawia zygzakowaną linię sprzecznych posunięć. Zwycięzcy spisali z generałami niemieckimi układ o kapitulacji, lecz wkrótce potem oddali ich pod sąd jako przestępców. Nie jest tajemnicą, że za kulisami sądu norymberskiego toczył się długotrwały spór o to, czy należy sądzić wojskowych. Samym zwycięzcom polityka ich wydawała się niekonsekwentna. Dziś, gdy mowa jest o uzbrojeniu Niemiec Zachodnich, okupanci zastanawiają się zapewne znów nad sprawą byłych wojskowych i nad warunkami, jakie im powinni ofiarować, jeżeli zechcą ich przeciwstawić oficerom niemieckim na służbie sowieckiej. Z którejkolwiek strony na nie spojrzeć, zagadnienie to przedstawia się bardzo zawile i dla polityków i wojskowych Zachodu musi stanowić prawdziwą łamigłówkę. Odhitleryzowanie kół wojskowych pozostaje więc też — zarówno dla obcych jak dla samych Niemiec — sprawą otwartą i niezakończoną.

Obok konsekwencji zewnętrzno-politycznych, bankructwo odhitleryzowania Niemiec posiada też swój aspekt wewnętrzny, na dłuższą metę najbardziej interesujący i doniosły w następstwie.

Podczas mego pobytu w Monachium odbył się tam proces pozwalający wejrzeć w nieoficjalne, podziemne, trwające wciąż zmaganie się Niemiec z resztkami hitleryzmu.

Podsądnym był małego wzrostu robotnik nazwiskiem Schiessl, oskarżony o zabójstwo więźnia politycznego. Ranny w rękę w

początku wojny, Schiessl został zwolniony z wojska. Dopiero w końcowej fazie wojny ubrano go ponownie w mundur i zatrudniono jako kucharza w obozie dla więźniów politycznych. Według jednomyślnych zeznań świadków, Schiessl głodził, maltretował i bił więźniów osłabionych pobytom w obozie i zmuszonych — w miarę zbliżania się frontu — iść pieszo coraz dalej w głąb kraju. Eskortę stanowiło paru starszych wiekiem podoficerów i pięciu chłopców, synów tychże podoficerów, należących do *Volkssturmu*. Chłopcy byli w wieku 14 do 16 lat; dwóch nosiło już mundury i rewolwery. Ojcowie wzięli ich ze sobą z myślą, że w ten sposób ochronią ich od bardziej niebezpiecznej służby.

W pewnej chwili jeden z więźniów idących w końcu konwoju usiłował uciec. Starsi członkowie eskorty nie mieli większej ochoty mu przeszkadzać, ale jeden z chłopaków nieumundurowanych zawołał:

— Panie wachmistrzu, tam jeden chce wiać!

Wachmistrz wystrzelił na alarm. Schiessl, idący w końcu konwoju, podszedł do więźnia i strzelił doń z rewolweru, po czym do leżącego strzelił jeszcze dwa razy. Ponieważ, według zeznań świadków, na głos pierwszego wystrzału uciekający sam wrócił był do szeregu, sąd skazał Schiessla na 6 lat więzienia.

Na swą obronę oskarżony twierdził, że więzień groził mu trzymanym w rękę ciężkim kołkiem wyrwanym z płota. W tym miejscu zeznania świadków są rozbieżne. Nikt ze starszych kołka nie widział; mają wrażenie, że w ówczesnym stanie wycieńczenia żaden z więźniów nie miałby siły takiego kołka z ziemi wyciągnąć. Najciekawszym szczegółem procesu są zeznania chłopców, którzy dziś mają po 17 do 19 lat i od 1945 byli zapewne już wielokrotnie przesłuchiwanie na ten temat. Dwaj chłopcy, którzy w 1945 nosili mundury i rewolwery, widzieli kołek w ręku więźnia. Żaden z nich jednak nie chciał stwierdzić tego pod przysięgą. Natomiast trzej chłopcy noszący wówczas cywilne ubranie kołka nie widzieli i stwierdzają to pod przysięgą. Najbardziej pewny i jasny w swych zeznaniach jest chłopiec, który pierwszy spostrzegł i zdradził uciekającego.

Postawa świadków dzieli ich wyraźnie na trzy grupy. Starsi, byli żołnierze wyszli ze stanu chłopskiego, wojują w granicach ustalonych obyczajów, oceniając trzeźwo każdą sytuację.

— Był to kwiecień 1945, nie trzeba więc już było się tak bać, mówi jeden z podoficerów, objaśniając czemu patrzył przez palce na ucieczkę więźnia.

Starsi należą do formacji przedhitlerowskiej. Obóz głodnych więźniów politycznych nie mieści się dobrze w ich pojęciach i stanowi przemieszanie zjawisko natury.

Dwaj młodzi, którzy widzieli kołek w ręku więźnia, ulegają wciąż halucynacji nacjonalistycznej. Niemcy są dla nich wciąż zagrożone prawdziwym czy urojonym kołkiem z płota, bronią się od wrogów, od żydów i masonów, walczą o życie. Znają tylko utylitarną moralność obleżonego miasta: wszystko jest dobre

co pozwala być silniejszym. Po co żyć politycznego przeciwnika? Czy miał kołek w ręku czy nie, jest sprawą drugorzędną. Kołek ten powinien być, musieli go więc widzieć. Chłopcy ci bawili się wówczas nie w żołnierzy, ale w gestapistów, nie w wojnę, ale w „robienie porządku”. Przed rzeczywistością cofają się na sądzie dopiero wówczas, kiedy chodzi o ich odpowiedzialność osobistą.

Chłopiec, który wydał uciekającego więźnia i zmusił wachmistrza do zrobienia alarmu, bawił się również w Gestapo. Dziś odpycha od siebie widmo ówczesnej halucynacji, nie zapiera się, zeznaje jasno, bierze na siebie odpowiedzialność. W ciągu trzech lat ostatnich chłopiec ten oczyścił się wewnętrznie od hitleryzmu, jest *entnazifiziert*.

Warto jest zatrzymać się na chwilę nad pytaniem: czy wypada wydać uciekającego więźnia? Przed 25 laty mało kto w Niemczech miał na to pytanie gotową i jasną odpowiedź. Dla oświetlenia tej złożonej sprawy, chciałbym przytoczyć, co słyszałem w 1932 od chłopów podwarszawskich.

Studia etnograficzne zaprowadziły mnie do powiatu grójeckiego, skąd chciałem pieszo znaleźć drogę do znanej z historii przeprawy przez Wisłę do leżącego na drugim brzegu Starego Otwocka. Zagmatwana w tej okolicy sieć ścieżek rolniczych zmusiła mnie do kilkakrotnego pytania o drogę. W pewnej chwili dopędził mnie wózek, na którym siedziało dwóch chłopców w wieku młodocianych świadków z procesu monachijskiego. Wózek zatrzymał się i chłopcy oświadczyli gotowość podwiezienia mnie do najbliższej wsi. Po chwili milczenia jeden z nich odezwał się:

— Niech się pan niczego nie boi. Skoro pan szuka przeprawy do drugiego powiatu, jest jasne, że ucieka pan od policji. Nie będziemy pytali dlaczego: to, że pan musi uciekać, wystarczy. Tu nikt pana nie wyda, każdy pomoże i ukryje.

Znacznie mniej jednolita była wówczas postawa młodzieży szkolonej, ale tradycja ludowa polska nie znała tu wątpliwości. Dwadzieścia lat granatowej policji minęły bez śladu.

Resztki takiej tradycji można zresztą znaleźć w każdym kraju chrześcijańskim, gdzie co rok przed Wielkanocą rozpamiętywana jest na nowo historia Jezusa i Judasza. Odnośne rozdziały Ewangelii utraciły swą bezpośrednią aktualność w krajach starej demokracji, gdzie policja reprezentuje ogólnie znane interesy materialne gminy czy miasta. Ale i tam pojawienie się jakiejś grupy prześladowanych tworzy natychmiast rysy w tym pięknym porządku.

W ciągu dwunastu lat istnienia Trzeciej Rzeszy część ludności Niemiec odnalazła w sobie nieomylną receptę na zachowanie się wobec uciekającego więźnia. Wielu moich znajomych zawdzięcza ocalenie osobom często nieznanym, które ich z narażeniem życia ukrywały lub wyprowadzały z sideł i potrzasków. Te przemiany wewnętrzne są jednak powolne i dalekie jeszcze od jednolitego obrazu.

Kiedy ostatni z młodocianych świadków z procesu monachijskiego odnajdzie w sobie pewność, że nie wypada zdradzać uciekającego więźnia politycznego, będzie to znakiem, że czasy prześladowań, „robienia porządku”, pogardy dla życia i godności człowieka minęły, i Niemcy zostały odhitleryzowane. Przemiany tej nie należy zapewne wyobrażać sobie w formie nagłej metamorfozy, lecz raczej jako proces powolny, rozwijający się nie tyle na forum publicznym, ile w trybie wieczornych rozmów i rachunków sumienia. Sama natura tego procesu objaśnia, czemu mocarstwa okupujące Niemcy niewiele tylko przyczyniły się do odhitleryzowania kraju.

Dyktatorzy nowożytni, przyzwyczajeni do rachowania w milionowych blokach ludów, klas społecznych i pokoleń, dorzucili niejedno do sposobów utrzymywania się przy władzy wymienionych u Machiavellego. Głównym ich wynalazkiem była deprawacja młodzieży, której z dnia na dzień ofiarowywali prawo życia i śmierci nad starszymi, wykonywane wśród gwałtów i ekscesów. Wystarczało krótkiego czasu, aby oderwać część młodzieży od reszty społeczeństwa, spalić za nią mosty i zrobić z niej grupę wykończonych nie mających innego wyboru jak dzielić do końca losy dyktatora. Szkolnictwo współczesne — nie zajmując się wychowaniem młodzieży — stworzyło do takich operacji doskonałe warunki. W Niemczech sprzyjały temu też inne okoliczności. Po okresie powszechnego przemysłowienia kraju, znaczna część mieszkańców Niemiec została oderwana od wspólnych europejskich tradycji ludności rolniczej, nie nabymy jeszcze na to miejsce żadnych innych.

Ruch narodowo-socjalistyczny opierał się głównie na młodzieży, na pokoleniu mającym obecnie 20 — 40 lat. Znaczna część jego zginęła na wojnie. Część oparła się zbiorowej hipnozje totalitarnego nacjonalizmu. Część jednak pozostała oderwana od starszego pokolenia, nie znajdując swego miejsca. Konflikt pokoleń wywołał niezliczone dramaty wewnątrz rodzin. Nie wszyscy rodzice powitali z otwartymi rękami wracającego po kłesze SS-manna, który przez kilka lat był dla nich źródłem codziennej udręki moralnej. Równie liczni są młodzi, którzy wstydzą się wracać i nie chcą widzieć swych rodziców. Wypadki takie muszą być liczne, bo słyszałem o nich od różnych osób, starszych i młodszych. Hitleryzm zostawił po sobie rany, na które nie widać lekarstwa. Od wciąż jeszcze aktualnej i jątrzącej się przeszłości każdy zapewne chciałby się jak najprędzej oderwać, nikt jednak nie zna na to skutecznej recepty. Przeszłość można, być może w sobie przezwyciężyć, ale zadanie takie wymaga czasu, wysiłku woli i sprzyjających okoliczności.

Leży przede mną egzemplarz sztuki traktującej obecny konflikt pokoleń w formie dramatycznej. Autorem jej jest Herrmann Mostar, jeden z nielicznych dziś pisarzy „młodych”, urodzony w 1901. Akcja jego dramatu *Meier Helmbrecht* przeniesiona jest do wieków średnich, aluzje jednak do 1947 — roku

ukazania się sztuki — są aż nazbyt przejrzyste. Oto w krótkich słowach jego treść:

Zamożny chłop Meier Helmbrecht wysłał do szkół jedyne go syna, który wraca przejęty zachwytem dla stanu rycerskiego i sławy wojennej. W okolicy pojawia się właśnie kilku awanturników, zajętych nie tyle wojną co grabieżą. Młody Helmbrecht znika z domu i przystaje do wędrownych rycerzy, którzy plądrują wsie, zabijają sędziego i terroryzują ludność. Po wielu klęskach, uzbrojeni chłopcy zabijają głównych awanturników i biorą do niewoli młodego Helmbrechta. Wykolejeniec staje przed sądem ludowym, któremu przewodniczy jego ojciec, wybrany przedtem na sędziego. Sąd daje się ponieść różnym uczuciom skazuje młodego Helmbrechta na śmierć, ale — ówczesnym zwyczajem — darowuje mu życie, kiedy znajduje się młoda dziewczyna gotowa go poślubić. W następnym odruchu sąd wraca do surowości i skazuje go na pozbawienie wzroku i odrąbanie obu rąk. Młody ślepiec wędruje odtąd po jarmarkach, układając pieśni o sławie i swobodnym życiu Raubritterów. Dzieci przysłuchują się jego pieśniom. Rozgoryczeni chłopcy, spotkawszy go w odludnym miejscu, zabijają wreszcie bezbronno.

Melodramat Mostara jest pełen tyrad i łez, w których łatwo rozpoznać echa dręczących dziś Niemcy od wewnątrz kompleksów. Obcemu trudno jest zdać sobie sprawę z tego co odczuwać mogą widzowie, patrząc na dramat toczący się — chociażby wierszem — tak strasznie blisko rzeczywistości. Być może — wobec stojących przed nimi zagadnień — nawet taka okrutna i toporna *catharsis* przynosi im ulgę i odprężenie.

Wśród najprzykrzejszych wspomnień z niedawnej przeszłości szczególne miejsce musi zajmować Polska. W gospodarce narodowo-socjalistycznej na ziemiach okupowanej Polski brały udział dziesiątki tysięcy Niemców, nie tylko SS-mannów, ale ludzi różnych stanów i zawodów. Olbrzymia większość ich wróciła po klęsce do Niemiec. W Polsce znajdowały się sławne dziś na cały świat miejsca kaźni, dokąd zwożono ofiary z całej okupowanej Europy. Tam Trzecia Rzesza ukazała najlepiej swe bestialskie oblicze. Żaden zapewne szczegół okupacji niemieckiej w Polsce nie jest dla przeciętnego mieszkańca Niemiec Zachodnich tajemnicą. Można się domyślać, że najważniejsze dla świadomości Niemiec szczególnie przelikowały nie w formie druków i filmów, ale w formie ukrywanych być może długo zwierzeń osobistych świadków i uczestników.

Polskiego podróżnika interesuje oczywiście, jakie miejsce wspomnienia z Warthegau i General-Gouvernement zajmują w podziemnym zmaganiu się Niemiec z ich niedawną przeszłością. Niewidzialna obecność ich wyczuwa się w wielu rozmowach.

— W więzieniu i obozie koncentracyjnym poznałem wielu Polaków. Ich odwaga i niezłomna postawa zrobiły na mnie niezatarte wrażenie. Wspólna walka wytworzyła między nami poczucie solidarności i przyjaźni, które pozostanie mi na całe życie.

Słyszając takie zdanie od znajomego, którego szczerze szanuję,

mam wrażenie, że wymawiając szybko te słowa oddala od siebie jakieś wspomnienie. Szczęśliwy jest ten, kto może je oddalić przy pomocy zręcznej formuły słownej. Przeglądam wydany w Niemczech irlandzki dramat O'Casey'a i na pierwszej stronicy wpada mi w oczy następująca omyłka druku: *Wohnzimmer in einem LUBLINER Mietshaus*. Co powiedziałyby o niej Siegmund Freud? Jakież długo ukrywane w mroku wspomnienie z General-Gouvernement zdaje się w niej torować sobie drogę do światła.

Urodzony w Berlinie wybitny malarz zwierza mi się, że według swego przekonania pochodzić musi ze Słowian mieszkających nad brzegami Odry. Nagromadzone w jego pracowni obrazy wskazują istotnie na ogromną drogę, odbytą samotnie w celu oddalenia się od germańskiej społeczności.

Trafiam także na utwory literackie, w których kompleks polski i towarzyszące mu zjawiska kompensacyjne znajdują jaszkrawy i przemyślany wyraz. Elisabeth Langgässer w opowiadaniu pt. *Wiedergeburt* dostarcza uderzającej próby opanowania tego kompleksu. Znajdujemy tam historię kobiety, która wykrada Polaka z obozu koncentracyjnego. Każdy nowy etap jej czynu jest krokiem do jej własnego odrodzenia moralnego. Jakkolwiek pisane delikatną ręką kobiety, opowiadanie toczy się tak blisko rzeczywistości, zawiera tak przejmujące świadectwo postawy chrześcijańskiej, że czytelnik nie odważa się przykładać doń kryteriów artystycznych. Uwaga ta odnosi się zresztą do znacznej części dzisiejszej literatury niemieckiej.

Rozrachunek z przeszłością odbywa się nie tylko w formie przezwyciężenia kompleksów i urazów psychicznych, ale toczy się też w dziedzinie myśli niemieckiej. Niespodziana w swych rozmiarach klęska pozostawiła otwarte wciąż pytania: Jak doszło do katastrofy? Od jak dawna Historia Niemiec toczy się po równi pochyłej, na której końcu znajdował się rozgrom i utrata niepodległości? Kiedy popełniono rozstrzygające błędy?

Pytania te zastały Niemcy nieprzygotowane. W okresie wielkich badań historycznych wszyscy ulegali wrażeniu, że od Fryderyka II potęga wojskowa, polityczna i gospodarcza Niemiec wzrastała nieustannie. *Alles was wirklich ist, ist vernünftig*, twierdził Hegel, historia Niemiec nie nastęrczała zatem żadnych zagadek. Każde pokolenie zdawało się wywiązywać poprawnie z zadań prowadzących do imponującego wyniku ogólnego. Nawet powracającej co pewien czas psychozie okrażenia nie dawano wiary, uważając ją nie bez racji za wytwór propagandy.

Nic prawie nie pozostało z tego tradycyjnego obrazu przeszłości. Jest dziś jasne, że rozstrzygające błędy popełnione zostały w Prusach, na wschodniej granicy, gdzie też i klęska przybrała największe rozmiary. W świetle wypadków ostatnich lat pruska polityka ekspansji terytorialnej miała w sobie coś z wiejskiego machiawelizmu zapatrzzonego w ziemię i ślepego na wszystkie inne elementy polityki. Od XVIII wieku partnerem Prus — jako aliant lub wróg — była Rosja. Po każdym przesu-

nięciu granic Prusy dostawały kawał gruntu pod kartofle, w ręce Rosji zaś wpadały olbrzymie obszary, zamieszkujące je ludy, brzegi mórz, zdobycze otwierające przepastne perspektywy na kontynenty i oceany. Utrzymanie tych zdobyczy wymagało od Rosji największego skoncentrowania władzy politycznej i siły wojskowej, zamykając jej drogę do tentowanej kilka razy ewolucji liberalnej w stylu zachodnim. Proporcja sił między partnerami ulegała ciągłym przesunięciom na niekorzyść Niemiec.

Wziąwszy udział w rozbudowie potęgi politycznej i militarnej Rosji, Niemcy wpadły już dawno w zależność od niej, utraciły swobodę ruchów i zmuszone były szukać aliansu z białym czy czerwonym cąratem za cenę konfliktu ze wszystkimi siłami o dążeniach przeciwnych. Upadek Mikołaja II kosztował Niemcy utratę wszystkich wpływów politycznych na wschód od polskiej granicy. Znikła potężna kamarylla niemiecka na dworze petersburskim, znikły uniwersytety niemieckie w Dorpacie i Czerniowcach. Następny konflikt z Rosją odebrał Niemcom wszystkie terytoria zdobyte na wschodniej granicy od wieków średnich i zakończył się okupacją sowiecką nie tylko Berlina, ale także Drezna i Wejmaru.

Co pewien czas podnosiły się nieśmiałe głosy, ostrzegające przed niebezpieczeństwem. Przytoczymy tu chociażby refleksje Heinego z 1831: „Kiedy piszę te słowa, wydaje mi się, że krew z Warszawy bryzga aż na mój papier, i że słyszę wiwaty berlińskich oficerów i dyplomatów. Czy nie zawcześnie wiwatuja? Nie wiem tego, ale i mnie i nas wszystkich ogarnia strach przed rosyjskim wilkiem. Obawiam się, że Niemiec Czerwone Kaputki zapoznają się niebawem z długimi rękami i wielką paszczą rosyjskiej babci”. Nieśmiałe głosy krytyki rozwiewały się wobec pełnych autorytetu opinii generałów i profesorów.

Okoliczności nie sprzyjają obecnie metodycznej pracy historyków, myśl jednak zdaje się wszędzie pracować nad rewizją obrazu przeszłości. Myśl krytyczna jest często pełna goryczy i szybka w osądzie wczorajszych bogów. Spośród rewizji historycznych, jakie miałem sposobność czytać w Niemczech, najbardziej zrównoważony i subtelny wydał mi się szkic, jaki Otto Heinrich von der Gablentz ogłosił w 1946 w *Deutsche Rundschau* pt. *Die Tragik des Preussentums*. Zwłaszcza dla polskiego czytelnika ten rachunek pruskiego sumienia — od krzyżaków i Fryderyka II do zamachu 20 lipca 1944 — jest szczególnie interesującą i pouczającą lekturą. Według Gablentza Prusy były tworem pośrednim germańsko-słowiańskim, którego kierownicy nie rozpoznali i docenili sił narastających na jego wschodniej granicy. Seria zbieżności i podobieństw kończy się apologią bohaterskiej, chociażby beznadziejnej ofiary, jaką dla części szlachty pruskiej był spisek z 20 lipca 1944.

Cały ten, w znacznej mierze niewidzialny proces przezwyciężania przeszłości niesiony jest — jak wszystkie tego rodzaju zjawiska — przez pewną tylko, zapewne mniejszą część spo-

łeczeństwa niemieckiego. Co można sądzić o jej liczebności?

Przed obróceniem w niewolę ludności krajów okupowanych, Hitler i jego towarzysze zaczęli deptać obu nogami własnych podanych. Liczba ofiar ich rządów wewnątrz kraju nie jest dokładnie znana, lecz wydaje się niemała; obejmuje osoby należące do wszystkich grup społecznych, od robotników i chłopów do najwyższej arystokracji. Więźniowie obozów koncentracyjnych, którzy dożyli końca wojny, tworzą związek zapewnający swym członkom różne przywileje u władz okupacyjnych.

Prócz tych dyplomowanych niejako ofiar znajduje się w Niemczech liczniejsza jeszcze kategoria osób, które w ten lub inny sposób były przez władze Trzeciej Rzeszy prześladowane, upokorzane, krępowane, pozbawiane praw czy korzyści materialnych, żyjące w długotrwałym strachu i zmuszone do zabezpieczania się od jeszcze gorszych ewentualności. Jest wreszcie bardziej interesująca kategoria osób, które praktyki narodowo-socjalistyczne obraziły w ich uczuciach moralnych i religijnych.

Ilu jest tych dawnych wrogów narodowego socjalizmu? Trudno to stwierdzić. Jeżeli niektórzy chwają się dziś doznany prześladowaniami, nikt chętnie nie przyznaje się do upokorzeń i strachu. Z rozmów i kontaktów osobistych wyniosłem wrażenie, że liczba w ten czy inny sposób dotkniętych i obrażonych przez rządy hitlerowskie jest znaczna i w każdym razie stanowi poważną część ludności.

Takie wrażenia posiadają dla obserwatora wartość tylko wtedy, kiedy może je porównać z wrażeniami z okresu poprzedniego. Porównuję więc je z tym, co widziałem i słyszałem w 1936, podczas krótkiego pobytu w Berlinie, gdzie miałem jeszcze wielu znajomych z czasów Republiki Wejmarskiej. Wszyscy czuli już wówczas zbliżającą się wojnę, i ilość zwolenników Hitlera musiała być zmniejszyć się bardzo od wyborów z 1933. W samym Berlinie liczba ich wydawała się bardzo niewielka. Ówczesne nastroje wewnątrz Niemiec znane były zresztą zagranicą, ale zamiast pobudzić mocarstwa do energicznego działania, usypiały je fałszywymi pozorami bezpieczeństwa. To, co powszechnie wiadomo o Trzeciej Rzeszy, każe przypuszczać, że poza kołami partyjnymi, armią i grupą fruktyfikatorów doraźnych, régime hitlerowski — zwłaszcza w fazie końcowej — dawał mało powodów do szczerego entuzjazmu. Od chwili wybuchu wojny spoistość wewnętrzną Niemiec utrzymywał uzasadniony strach przed skutkami przegranej i żywiołową nienawiścią podeptanych ludów sąsiednich.

Istnieje więc w Niemczech liczna kategoria osób, które na podstawie doświadczeń osobistych ustosunkowały się już dawniej wrogo do narodowego socjalizmu, dziś zaś muszą życzyć sobie przezyciężenia tego rodzaju prądów i obawiać się ich powrotu. Do nich należy dodać wszystkich tych, którzy wyciągnęli wnioski z klęski, jaką przyniósł Niemcom nacjonalizm totalitarny.

Zagadnienie odhitleryzowania Niemiec nie polega dziś na zapobieżeniu powrotowi do władzy partii narodowo-socjalistycznej. Klęska zmyła ją całkowicie z powierzchni życia. Pozostali w ukryciu jej ostatni zwolennicy nie stanowią żadnej zorganizowanej siły i nie mają do powiedzenia nic, co by mogło pociągnąć za sobą ludność nauczoną 12-tu latami doświadczeń. Przypuszczam, że nawet zjednoczone wysiłki wszystkich mocarstw okupacyjnych nie potrafiłyby narzucić Niemcom ponownie rządów nazistowskich. Chodzi więc właściwie o to, czy możliwy jest w Niemczech powrót psychozy obłożonego miasta z jego utylitarną moralnością, z której mógłby narodzić się jakiś nowy nacjonalizm totalitarny.

Jeden z moich niemieckich znajomych zauważył, że obecny bezpieczeństwaowy stan kraju nie pozwala na wytworzenie się w nim żadnego ustroju totalitarnego.

Nikt wszakże nie potrafi przewidzieć, czy odbywający się dziś wewnątrz Niemiec proces powolnego przezwyciężenia resztek fanatycznego nacjonalizmu natrafi na pomyślne warunki. Nad Europą wisi groźba nowej totalnej wojny i mobilizacji.

W ciągu moich podróży do Niemiec powojennych wszędzie znajdowałem rozmówców chętnie i swobodnie dyskutujących te drażliwe tematy. Wydaje mi się, że każdy cudzoziemiec biorący na serio sprawę niemieckie zrobiłby podobne doświadczenie.

VI. NIEMCY I OKUPANCI

Niemcy Zachodnie podzielone są na trzy strefy. Ilekroć jednak Niemcy myślą o najważniejszych dla nich zagadnieniach — o wojnie i pokoju ze Związkiem Sowieckim, o groźbie sowieckiej okupacji, o remilitaryzacji kraju i innych ważniejszych zmianach obecnego régime'u okupacyjnego — wzrok ich zwraca się zawsze ku Amerykanom, w których ręku znajdują się wszystkie zasadnicze decyzje.

Niemcom — jak i innym mieszkańcom starego świata — amerykańska *vacillation policy* wydaje się nieobliczalna i zawierająca wiele sprzecznych możliwości. W stosunku do Związku Sowieckiego możliwości te rozciągają się od jałtańskiego bratania się i podziału łupów aż do wojny atomowej włącznie. W stosunku do Niemiec wachlarz możliwości zdaje się wciąż jeszcze obejmować wszystkie odcienie leżące między planem Morgenthaua i planem Marshalla.

Jasne jest tylko to, że dla różnych przyczyn Amerykanie nie czują się w Europie związani z żadnym systemem politycznym ani rodzajem cywilizacji i usiłują w miarę możliwości zachować tradycyjną *aloofness*. Od izolacjonizmu poprzedniego okresu powojennego ich obecna polityka różni się głównie przez to, że tym razem Stany Zjednoczone posiadają potężnego antagonistę, nie zostawiającego im ani chwili spokoju i zmuszającego je do coraz nowych posunięć defensywnych.

Dla tej przyczyny, w przypadku jej z podziału połowie globu,

Ameryka nie posiada żadnych niemal trwałych wpływów, mimo ogromu jej możliwości, ofiar i świadczeń. Podobnie jak jej własna polityka, jej wpływy w Europie są koniunkturalne, zależne od polityki Waszyngtonu i w konsekwencji równie niepewne.

Jest rzeczą zrozumiałą, że wszystkie te okoliczności stawiają armię amerykańską w Niemczech w trudną sytuację, zmuszając ją do szukania na własną rękę dróg najmniejszego oporu.

Kiedy amerykańscy mężowie stanu namyślali się, robili wybory, brali urlopy i rozwiązywali krzyżówki, miały lata i bieg ich stwarzał nowe fakty i sytuacje. Nikt wprawdzie nie wie, jaką rolę Waszyngton wyznaczy w swej polityce Niemcom Zachodnim, w oczekiwaniu decyzji armia amerykańska w Niemczech musiała żywić ludność i rozwiązywać każdego dnia bieżące zagadnienia powstałe z okupacji kraju.

W ciągu trzech lat ostatnich régime okupacyjny uległ głębokim przemianom. Na ulicach miast nie widać więcej żołnierzy i policji wojskowej zatrzymującej przechodniów i przetrząsającej kieszenie. Miejsce jej zajęli wyszkoleni policjanci niemieccy, usiłujący być równie uprzejmi, jak poprzednicy ich byli brutalni. Aprowizacja kraju jest zadawalająca, system racjonowania elastyczny i nie krępujący. Codzienne upokorzenia ludności przez władze okupacyjne należą do przeszłości. Tu i owdzie widać zaledwie ich ślady. W Stuttgarcie stoją jeszcze na ulicach budki tramwajowe z napisem „tylko dla żołnierzy amerykańskich”, ale żołnierzy tych więcej na ulicach nie widać. Régime okupacyjny przybrał charakter *occupation invisible*.

Nieco więcej żołnierzy widać w porze wieczorowej dokoła instytucji rozrywkowych. Każdemu z nich towarzyszy jego niemiecka Gretchen. Niemcy posiadają jednak tak wielką nadwyżkę ludności żeńskiej, że „problem kobiecy” zdaje się nie wywoływać żadnych konfliktów.

Bardziej drażniąca, być może, jest sprawa papierosów. W ubóstwie i niepewności jutra trudno powstrzymać się od palenia. Żołnierze okupacyjni kupują w swych składach papierosy po bardzo niższej cenie. Niemiec może znaleźć (te same) papierosy tylko na czarnym rynku, w ograniczonej ilości, po cenie 10-krotnie wyższej. Amerykanie żywią Niemców, zamierzają zrobić z nich towarzyszy broni, ale tytoń mają tylko dla siebie. Z tego szczegółu widać, jak nawet najlepiej zorganizowana okupacja stwarza po drodze mnóstwo drażniących imponderabiliów.

Główne punkty tarcia między Niemcami i władzami okupacyjnymi przeniosły się do biur administracji niemieckiej, kontrolowanej szczegółowo przez wojskowych amerykańskich. Główną przyczyną powstających tam kontrowersji zdaje się być ogromna różnica pojęć o zadaniach administracji publicznej. Cała np. istniejąca w Europie od wieków średnich i nawet cesarstwa rzymskiego organizacja i reglamentacja pracy przez cechy, korporacje i inne organizacje zawodowe jest nieznaną

Nowemu światu, który — być może nie bez racji — uważa ją za istotne ograniczenie wolności osobistej. Gdyby przed Niemcami stała otwarta perspektywa wejścia do jakiejś wspólnej organizacji obejmującej stary i nowy świat lub chociażby możliwości emigrowania do Ameryki jak w XIX wieku, ludność niemiecka przyjąłaby zapewne bez oporu pojęcia amerykańskie. W obecnym stanie rzeczy, na uwagi i życzenia amerykańskie skłonna jest raczej patrzeć jak na fanaberie okupantów.

Gazety, periodyki i książki drukowane były dotąd na podstawie licencji władz okupacyjnych. Krytyka okupantów jest teoretycznie dozwolona, lecz prasa jest pod względem bardzo powściągliwa. Redaktor jednego z większych pism streścił mi swą sytuację w sposób następujący:

— Jestem z głębokiego przekonania zwolennikiem najściślejszej współpracy z Amerykanami. Praktyka wykazała, że takie stanowisko źle wpływa na debit pisma. Dlatego muszę co pewien czas poruszać różne drażniące tematy.

W tych okolicznościach trudno osądzić, czy prasa może wyrażać czyjakolwiek opinię. Jej lojalność i nawet jej opozycyjność są tylko tworamiz cenzury i fałszywej sytuacji między ludnością i władzami okupacyjnymi. W zwierciadle prasy okupanci mogą widzieć tak lub inaczej zdeformowane, ale zawsze tylko własne oblicze. Życie stronnictw politycznych, istniejących również na podstawie licencji, nie dostarcza też autentycznego obrazu nastrojów, myśli i nadziei ludności. Czy te ostatnie dadzą się w ogóle ująć w jakiś jasny obraz? Po powolnym upadku Republiki Wejmarskiej, pod dwunastu latach Trzeciej Rzeszy i blisko czterech latach okupacji, ludność niemiecka jest w przeważnej części politycznie bierna i przez to mało obliczalna.

Okupanci widzą więc przed sobą kilkadziesiąt milionów ludności pracowitej, uzdolnionej, inteligentnej, posłusznej, lecz trwającej w wyczekującym milczeniu. W ich eksponowanej sytuacji, władze okupacyjne badają zapewne uważnie sypyki i niepewny grunt, na którym stoją. Wyniki badań można częściowo czytać w *Die Neue Zeitung*, organie amerykańskim dla czytelników niemieckich. Pismo to posiada rubrykę przypominającą opracowania angielskiej *Mass Observation* i zawierającą w luźnej formie fragmenty rozmów słyszanych na kolejach, w poczekalniach, na ulicach, w kawiarniach itd. Oto kilka przykładów podsłuchanych rozmów:

— „To czego nam najbardziej brak, to kilka dywizji SS-manów. Ci już potrafiliby na swój sposób uwolnić nas od tej świńskiej bandy”. Zdanie to wyszło z ust byłego oficera, który w niewoli amerykańskiej przeszedł w Fort Eustice kurs „przeszkolenia demokratycznego” i w 1946 powrócił do kraju. „Bajali mi tam o swojej demokracji”, dodaje. „Wówczas milczałem, aby jak najprędzej wrócić do kraju. Teraz im pokażę, co myślę o ich całej zafajdanej demokracji”.

— „Hitler kradł i grabił wszystko, co mu wpadło w ręce. De-

mokracje nie są ani o włos lepsze”, powiada inny rozmówca kolejowy.

Dwaj żołnierze amerykańscy w stanie nietrzeźwym wjechali autobusem na latarnię. Z otaczającego ich tłumu pada komentarz: „Poczekajcie aż przyjdą Rosjanie i wszystkich takich wywieszają”.

Z listu do redakcji kronikarz wyjmuje taki passus: „Do niedawna starałem się szczerze być demokratą w waszym stylu. Po trzech latach okupacji muszę stwierdzić, że nasz ostatni rząd miał przecież rację. Wyście dali Stalinowi władzę, której mu nikt teraz nie potrafi odebrać”.

Czytając, że Hjalmar Schacht został zwolniony z więzienia i napisał tam książkę, na którą znalazł 300.000 subskrybentów, bawarski chłop powiada: „I ja byłem przez 3 lata internowany. Mnie się też zdawało, że Hitler będzie dla nas odpowiednim człowiekiem. Za tę omyłkę musiałem drogo zapłacić. Znacznie drożej niż Schacht! Czy to jest sprawiedliwe?”

Inny simplex servus Dei powiada głośno na ulicy: „Amerykanie, Anglicy i Francuzi są takimi samymi oszustami jak bolszewicy, tylko robią to trochę delikatniej. Teraz jesteśmy wylęczeni z wszystkich orientacji politycznych”.

Takie i podobne, zawsze niezadowolone, zrzędne, niecierpliwe lub zrezygnowane wypowiedzi ciągną się przez całe szpalty amerykańskiej gazety. Podobne rozmowy notuje zresztą nie tylko podsłuch amerykański. W tomie opowiadań H. J. Soehringa, opisującego z przerażającym realizmem różne środowiska dzisiejszych Niemiec, znajduję taką scenę: Grupa osób na zburzonej stacji czeka zimową nocą w wagonie towarowym i widzi przejeżdżający pociąg dla Amerykanów, siedzących na miękkich ławkach w jasno oświetlonych wagonach.

— „Dawniej, zaskrzeczał głos pełen nienawiści, siadywali tam bonzowie partyjni, teraz Amerykanie. My jesteśmy wciąż w tym samym miejscu. Dostyc, człowiecze, dostyc! Mam tego potąd! Chciałbym, aby wreszcie przyszli Rosjanie.

— Wówczas też nie będziesz jeździł D-cugiem, odezwał się ktoś z głębi wagonu.

— Wcale też nie chcę jeździć, ale wówczas tych luksusowych pociągów w ogóle nie będzie”.

Jakie wnioski wyciągnąć można z tych notatek amerykańskiego podsłuchu i obserwacji nowelisty?

Tam, gdzie istnieją parlamenty, stronnictwa i niezależna prasa, gdzie życie posiada pewną stałość i ciągłość, tam myśl polityczna przenika z góry na dół do przeważnej części potencjalnych wyborców. W kawiarniach i na ulicach słychać echa argumentów wysuwanych przez stronnictwa i prasę. Gdzie tych warunków brak, tam myśl polityczna nie wychodzi poza nieliczne koła inteligencji. Jeżeli ludność posiada — jak w Niemczech — istotne powody do niezadowolenia, na ulicach słychać jedynie narzekania, przekleństwa i inne nieopanowane myśla odruchy. Wyniki amerykańskiej *Mass Observation* przynoszą

więc obraz, którego — przy tych założeniach — można domyślić się nie wychodząc ze swego pokoju. Obraz ten jest jednostronny, bo uwzględnia wszystkie odruchy klnących na głos, pomija natomiast całą, najczęściej milczącą pracę myśli.

W swej trudnej i eksponowanej pozycji władze okupacyjne zdają się przeceniać odgłosy niezadowolonej ulicy. Wnioski, jakie z nich wyciągają, nie są tajemnicą, bo można je przeczytać w cytowanej już *Die Neue Zeitung*. Gazeta ta wygląda tak, jak gdyby matką jej była moskiewska *Prawda*, ojcem zaś dawny berliński *Lokal-Anzeiger*. Nie zawiera kroniki, rzadko komentuje miejscowe wypadki; nie można się zeń wiele dowiedzieć o Niemczech, jest bowiem solową partią tenora okupacyjnego. Tym więcej daje do myślenia jej ton. Jest on antysowiecki, antyfrancuski, antypolski, antyczeski, taki mniej więcej, w jaki za czasów Republiki Wejmarskiej uderzała prasa niemiecko-narodowa.

Ten niespodziany ton pisma amerykańskiego nie ogranicza się tylko do działu politycznego, ale przenika także felietony gazety. W jednym z pierwszych czytanych numerów zwróciła moją uwagę namiętna diatryba niemieckiego psychologa przeciw pesymizmowi jako postawie antyspołecznej. Artykuł ten mógłby doskonale figurować w jakimś miesięczniku narodowo-socjalistycznym lub sowieckim.

Co też myślą o tej propagandzie optymizmu i energii narodowej Niemcy czytelnicy gazety? Od znajomych dowiaduję się, że w pierwszym koresie okupacji *Die Neue Zeitung* cieszyła się ogromną poczytnością i liczyła do dwóch milionów czytelników. Wszyscy byli ciekawi czego chcą od nich Amerykanie i co mają im do powiedzenia. Pogrobowy głos Hugenberga, jaki posłyszeli z ust amerykańskich, rozczarował czytelników. Liczba ich miała spaść do 280.000. Od dłuższego czasu kierunek polityczny pisma budził z różnych stron zastrzeżenia i w początku 1949 przeprowadził do kryzysu redakcyjnego. N. Z. ma wejść na nowe tory.

Nie trudno domyślić się, co skłoniło władze okupacyjne do zaträgienia w róg niemiecko-narodowy. Mając przed sobą potężne siły sowieckie, oddalona o tysiące kilometrów od kraju, zredukowana do nieznaczących rozmiarów i w wielu najważniejszych sprawach pozostawiona prawdopodobnie własnej domyślności, armia amerykańska usiłowała przede wszystkim umocnić swą własną pozycję w kraju okupowanym, zapewniając sobie życzliwość ludności. W krótkim więc czasie Amerykanie zrzucili za burtę wszystkie drażniące lub uciążliwe impedimenta, jak odhitleryzowanie i próby „wychowania politycznego” Niemiec. Jakim językiem można się z Niemcami najprędzej porozumieć i przelicytować propagandę sowiecką, jeżeli nie tradycyjnym językiem niemieckiego nacjonalizmu? Tak zapewne rozmawiali wydawcy pisma i stojące za nimi władze okupacyjne.

W latach, które spędziłem w Niemczech w czasach Republiki

Wejmarskiej, spotykałem tam wielu Anglików i Amerykanów. Już wówczas zastanawiały mnie ich koneksje i sympatie niemieckie. Bez względu na to czym przyjezdni Anglosasi byli w własnym kraju, nawet, gdy wychodzili ze środowisk lewicowych i socjalistycznych, jakaś irracjonalna wspólnota łączyła ich od razu z uczuciową i niecierpliwą, a jednocześnie oportunistyczną formacją duchową niemieckich nacjonalistów. Stąd zapewne pochodziła niejasna postawa Anglików wobec narodowego-socjalizmu, która przyprowadziła do upadku Europy.

Irracjonalne sympatie i idiosynkrazje, grające wybitną rolę w ich sądach, sprawiają, że Anglicy i Amerykanie nie znali nigdy dobrze spraw niemieckich i — wbrew pozorom — w żadnym okresie czasu nie posiadali w Niemczech trwałych i politycznie użytecznych stosunków, nawet wśród sympatycznych im nacjonalistów. Prowadząc na przestrzeni długich lat politykę germanofilską kosztem innych państw kontynentalnych, Anglia nie zdobyła w Niemczech żadnych wpływów i nie potrafiła nie zrobić dla odwrócenia konfliktów, które dwukrotnie zaprowadziły ją na brzeg przepaści.

W 1925 zapytałem jednego z berlińskich znajomych, w jaki sposób człowiek tak głupi i zły jak Hugenberg może odgrywać wybitną rolę w Republice Wejmarskiej. Mój znajomy zastanawiał się przez chwilę, jak gdyby także olśniony dziwnością tego zjawiska.

— Z Hugenbergiem musimy się liczyć ze względu na Anglików. Dla nieznanym nikomu przyczyn Anglicy darzą go największym zaufaniem. Hugenberg jest niezmiernie popularny w City i może tam zawsze pożyczyć pieniędzy. Niemcy są w tej chwili zbyt ubogie, aby nawet socjaldemokraci mogli nie liczyć się z Hugenbergiem.

Po 25-ciu latach rozmowa ta nie utraciła nic ze swej aktualności. Od moich nowych znajomych niemieckich słyszę dziś bardzo podobne refleksje. Słuchając ich trudno oprzeć się uczuciu smutku i zniechęcenia. Dwukrotnie, kosztem olbrzymich ofiar, mocarstwa anglosaskie łamały siły zbrojne niemieckiego nacjonalizmu, aby potem patronować jego ponownemu odrodzeniu. Wydaje się mało prawdopodobne, aby wpływy, jakie Stany Zjednoczone i Anglia posiadały tam z tytułu okupacji, mogły przyczynić się do uzdrowienia Niemiec z nacjonalizmu zagrażającemu pozostałej Europie oraz do odrodzenia normalnego i kulturalnego kraju. Mocarstwa te walczą w tej chwili o władzę nad światem i posiadanie kluczowej pozycji Niemiec — wszystko jedno jakich, chociażby hitlerowskich — wydaje się im sprawą najpilniejszą. Niemcy, którzy chcieliby oderwać się od ponurej przeszłości i wejść na jakieś nowe drogi, zdani są przede wszystkim na własne siły.

Jeden mały kraj, należący również do cywilizacji germańskiej, posiada obecnie w Niemczech wielką pozycję moralną i mógłby wywrzeć pewien wpływ na ich ewolucję wewnętrzną. Jest to Szwajcaria, będąca jedynym sąsiadem, z którym Niem-

cy nie prowadziły wojen i nie mają rozrachunków okupacyjnych. Pozycję swą Szwajcarię wzmocniła w ostatnich latach przez swą poprawną postawę wobec obywateli niemieckich posiadających należności w Szwajcarii i przez swą akcję pomocy, opierającą się częściowo na inicjatywie prywatnej.

Przyjeżdżając do Niemiec po dłuższym pobycie w Szwajcarii, byłem przez wszystkich, nawet przypadkowych rozmówców zasypany pytaniami na ten temat. Bardzo wielu Niemców zna Szwajcarię z okresu przedwojennego, przeważnie powierzchownie, jako teren turystyczny. Z zadawanych mi pytań wnoszę, że obecne zainteresowania niemieckie idą w innym kierunku. Najczęściej pytano mnie o instytucje polityczne Szwajcarii, o jej federalizm, o funkcjonowanie jej konserwatywnej i tradycjonalistycznej demokracji. Wzory amerykańskie i angielskie wydają się niepraktyczne dla Niemiec rozparcelowanych znów na dawne *Länder*. Wspólność cywilizacji i stałość instytucji szwajcarskich, które wytrzymały próbę czasu i zamętu pojęć ostatniej doby, sprawiły, że wzory helweckie wydają się Niemcom znacznie bliższe.

Robotnicy pytali mnie o poziom zarobków, o sytuację gospodarczą i społeczną Szwajcarii. Zwłaszcza pytania tych ostatnich uświadomiły mi doniosłą rolę, jaką stara demokracja alpejska mogłaby odegrać w ewolucji wewnętrznej świata germańskiego.

Do tego jednak, aby Szwajcarię mogła się stać dla Niemiec jednym z ośrodków ich ruchu politycznego i kulturalnego, brak jej kilku istotnych warunków, a mianowicie dostępu do zamkniętych wciąż Niemiec, przede wszystkim zaś powołania. Otoczona w ciągu długich lat przez kraje przechodzące najgłębszy kryzys polityczny i moralny, konfederacja helwecka zamknęła się w sobie, odkryła swe lokalne tradycje, otoczyła się nieprzepuszczalnymi granicami i pozostaje jednym z najbardziej izolowanych krajów naszego kontynentu. Wypadki i prądy zewnętrzne zdają się nie grać żadnej roli w życiu własnym Szwajcarii, i zadania przechodzące wewnętrzne potrzeby kraju nie interesują jej obywateli. Obok odmienności zainteresowań, różnica poziomu zarobków i stopy życiowej wytworzyła między Szwajcarią i Niemcami barierę jeszcze trudniejszą do przeskoków od wiz, permitów i szykan dewizowych.

(C. d. n.)

Paweł HOSTOWIEC.

Gospodarstwo powojenne Wielkiej Brytanii

1. Tło programu rządu

Bardzo jest łatwo o odchylenie od obiektywnej oceny sytuacji gospodarczej Wielkiej Brytanii i od obiektywnej oceny polityki ekonomicznej rządu. Partia konserwatywna niezmiernie ostro walczy z rządem. Obecny rząd nazywany jest najbardziej nieudolnym rządem Wielkiej Brytanii, rządem doktrynerskim, nie liczącym się z interesami kraju i marnującym dorobek pokoleń. Co więcej, obecny rząd nazywany jest największą klęską, jaka spotkała Wielką Brytanię. Ponieważ konserwatyści rozporządzają prasą, bardzo łatwo ulec sugestii, że rzeczywiście rząd jest grabarzem Wielkiej Brytanii. Rząd dysponuje tylko jednym jedynym dziennikiem porannym w Londynie, którym jest **Daily Herald** i który ma bardzo wielostronne zadania do spełnienia. Opozycja posiada mnóstwo dzienników, które codziennie oskarżają rząd o rzeczy zawinione i niezawinione, a nawet takie, za które opozycja powinna heroicznie oskarżyć samą siebie, więc za politykę gospodarczą, prowadzoną właśnie przez siebie niemal bez przerwy pomiędzy dwiema wojnami. Na przykład milionowe, chroniczne bezrobocie, dopuszczenie do względnego upadku sił wytwórczych kraju, zaniedbanie gospodarki w koloniach itp., są to pozycje przedwojennej gospodarki konserwatywnej. Obecny rząd stara się zlikwidować te ujemne pozycje, względnie nie dopuścić, by pojawiły się one ponownie. Robi to w warunkach bardzo trudnych, ponieważ ostatnia wojna poczyniła olbrzymie wyrwy w strukturze gospodarstwa brytyjskiego, a również warunki międzynarodowe — polityczne i gospodarcze — są wyjątkowo niesprzyjające.

Program rządu jest wynikiem doświadczeń przedwojennych i odpowiedzią na sytuację, jaka wytworzyła się po wojnie. Powiedziałbym, że program rządu jest przede wszystkim reakcją humanistyczną i ekonomiczną na swego rodzaju bezdusność i małą wydajność systemu społeczno-gospodarczego Wielkiej Brytanii, jaki istniał przed wojną. Program socjalistów brytyjskich wyrasta z rzeczywistości brytyjskiej, nie jest on nato-

miast jedynie powtórzeniem uniwersalnej doktryny. Dlatego nie w dziełach teoretyków socjalizmu, a w analizie rzeczywistości brytyjskiej należy szukać zrozumienia programu i działalności rządu Labour Party. Tradycjonalizm, wrogi stosunek do idei walki klasowej, wysuwanie zasad moralności chrześcijańskiej — są cechami charakterystycznymi stanowiska większości czołowych przywódców Labour Party. W szczególności, o ile chodzi o walkę klasową, to reformy Labour Party są prawie zupełnie pozbawione dekoracji walki klasowej, pomimo pokus, jakie stwarzają konserwatyści. Na przykład milionowy fundusz Lorda Wooltona do walki z socjalistami, na który opodatkowali swoje obroty przemysłowcy, kupcy, finansisci itp. jest właściwie wyzwaniem, rzuconym przez tzw. sfery kapitalistyczne, do walki klasowej.

Jak zobaczymy później, główne przesłanki upaństwowienia, które ma torować drogę gospodarce planowej, są produktem ekonomii burżuazyjnej, a wcale nie wynikają z założeń czystej doktryny socjalistycznej.

Jak również zobaczymy później, zarzut, że socjaliści nie czekali z realizacją swego programu na tzw. unormowanie się stosunków powojennych jest nielogiczny i nieuzasadniony. Program, obecnie realizowany, jest w swojej istocie środkiem unormowania stosunków powojennych. Spadek wydajności, — co najmniej względny, to znaczy w porównaniu do innych krajów przemysłowych — jest rezultatem zaniedbań przedwojennych w zakresie nowych inwestycji, odnawiania urządzeń wytwórczych, modernizacji itp. Nie można mieć zaufania, że problem ten byłby należycie rozwiązywany obecnie w ramach dawnego systemu społeczno-ekonomicznego. Nie był rozwiązywany dawniej, gdy warunki były bardziej sprzyjające, dlaczego miałyby to nastąpić obecnie? A od rozwiązania tego problemu zależy przyszłość Wielkiej Brytanii — i tych, co są za upaństwowieniem i tych, którzy z nim walczą.

Nie sposób rozpatrzeć wszystkich elementów, składających się na tło polityki ekonomicznej rządu. Poprzestanę tylko na niektórych. Zwrócę uwagę na przedwojenne bezrobocie, na zaniedbania w dziedzinie wzrostu wydajności i zaniedbanie gospodarki kolonialnej. Do tego dodam wzmiankę o problemie załamania się równowagi w obrotach płatniczych z zagranicą, jako rezultatu skonsumowania podczas wojny znacznej części inwestycji zagranicznych i wzrostu zadłużenia zagranicznego.

Chroniczne bezrobocie było cechą charakterystyczną nieinterwencjonistycznej gospodarki brytyjskiej już w XIX-tym stuleciu. Pomiedzy dwiema wojnami nie tylko jeszcze bardziej utrwalił się chroniczny charakter bezrobocia, lecz — co więcej — stało się ono chronicznie olbrzymie. Na przykład w okresie 1930-1938 raz tylko wynosiło ono ponad 1,5 miliona (w 1937 r.), a przeważnie wahało się od prawie 2 milionów do prawie 3 milionów. W okresie dobrej koniunktury — w roku 1923 — liczba bezrobotnych wynosiła 1.255 tysięcy. W stosunku do liczby

ubezpieczonych, liczba bezrobotnych przekraczała 22%, nie była mniejsza od 10%, przeciętnie wynosiła kilkanaście procent. W ciągu całego okresu przedwojennego polityka gospodarcza Wielkiej Brytanii nie właściwie nie zrobiała, aby przynajmniej zmniejszyć monstrialność chronicznego bezrobocia.

Przechodzę obecnie do sprawy wydajności. W wielu podstawowych dziedzinach produkcji ogólna tendencja rozwoju wydajności była znacznie słabsza, aniżeli w wielu krajach, produkujących taki sam artykuł. Typowym przykładem jest produkcja węgla. Jeśli weźmiemy za 100 przeciętne wydobycie węgla na robotnika i zmianę (tzw. OMS, tj. Output per Man-Shift) w 1929 r., to otrzymamy następujące wskaźniki dla 1936 r.: Niemcy — 129,4, Belgia — 137,8, Francja — 120,5, Holandia — 134,1, Polska — 145,5, Czechosłowacja — 130,3 i Wielka Brytania — 108,5. W szeregu krajów europejskich, wydobywających węgiel, Wielka Brytania szła na końcu o ile chodzi o postęp wydajności. Trzeba równocześnie dodać, że Wielka Brytania posiadała największe możliwości inwestycyjne wśród wymienionych krajów. Wydobycie węgla w tonach na robotnika i zmianę wynosiło w 1937 r. w Wielkiej Brytanii 1,2, gdy tymczasem w Ruhrze — 1,6, w Holandii — 1,7 oraz w Polsce — 1,8. Innym aspektem tego zagadnienia jest produkcja przypadająca na kopalnię. W Wielkiej Brytanii przypadało w 1938 r. — 113 tys. ton, w Holandii — 1.200 tys. ton, w Polsce — 600 tys. ton. W Ruhrze przypadało w tym samym mniej więcej czasie, bo w 1938 r., — 778 tys. ton.

Biorę inny przykład: wydajność w przemyśle bawełnianym. Produkcja na robotnika i godzinę w amerykańskim przemyśle przedzalniczym stanowiła 161-165% oraz w amerykańskim przemyśle tkackim 261-270% odnośnej produkcji brytyjskiej. Wydajność w amerykańskim przemyśle bawełnianym, wziętym jako całość, bez rozróżniania przedzalnictwa i tkactwa, stanowiła 211-220% wydajności brytyjskiej.

Tego rodzaju przykładów, wskazujących na to, że brytyjska wytwórczość była w stanie zacofania w porównaniu do stanu, w jakim znajdowała się wytwórczość w wielu innych krajach — można dać bardzo wiele. Główną przyczyną tego zacofania był brak odpowiednich inwestycji, podnoszących wydajność.

Ponieważ robotnik gdzie indziej był wyposażony w lepsze narzędzia produkcji, jego wydajność była większa, aniżeli robotnika brytyjskiego. Ale niewątpliwie i wysiłek robotnika brytyjskiego był mniejszy aniżeli robotników w innych krajach. Przyczyną tego było przekonanie całego świata robotniczego w Wielkiej Brytanii, występujące na tle zjawiska chronicznego bezrobocia, że zwiększanie wysiłku nie jest potrzebne. Słowem, spadku wydajności — niezależnego od względnego zacofania technicznego — nie można odrywać od poczucia braku użyteczności wysiłku, jakie wytworzyło chroniczne bezrobocie.

Konsekwencje bezrobocia i stosunkowego zacofania pod

względem wydajności są niezmiernie pouczające. Mogą one być następująco uogólnione.

Bezrobocie wyrządza olbrzymie spustoszenie w życiu człowieka. Nie chodzi tylko o stronę materialną problemu, lecz również o stronę moralną i psychiczną. Bezrobocie krzywdzi człowieka, nawet, jeśli pobiera on zasiłek, który mu zupełnie wystarcza na utrzymanie. Bezrobocie dewastuje materiał ludzki, stwarza w człowieku poczucie bezużyteczności społecznej, odzwyczajają od wysiłku, niszczy to zdyscyplinowanie wewnętrzne, jakie daje praca i codzienny wysiłek. W okresie rządów konserwatywnych uważano, że już wystarczającą satysfakcję daje bezrobotnemu zasiłek. W tym antyhumanistycznym podejściu do sprawy, bezrobotny był po prostu próżnującym czynnikiem produkcji i tyle. Zasiłek pozwalał na zachowanie materiału fizycznego, który mógł przydać się w przyszłości, gdyby powstały odpowiednie warunki rentowności, oceniane na podstawie kryteriów gospodarki prywatno-kapitalistycznej. Okazało się jednak, że zlekceważenie strony moralnej i psychicznej problemu bezrobocia wydało również fatalne skutki w dziedzinie materialnej, a mianowicie — wydajności. Trzeba, by przez dłuższy czas istniała inna atmosfera w gospodarce, by możliwości psychiczne robotnika w dziedzinie zwiększenia wysiłku mogły ulec zmianie. Te rzeczy nie zmieniają się za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. W każdym razie — warto o tym wspomnieć — że względnie małą wydajność pracy robotnika brytyjskiego, która jest konsekwencją systemu przedwojennego, nie można przypisywać temu, jak czynią to niektórzy, że przestał działać przedwojenny „bicz ekonomiczny”, w postaci nieustannego zagrożenia robotnika, że straci pracę. O ile chodzi o wysiłek pracy robotnika (wydajność, niezależną od stanu wyposażenia w narzędzia pracy), to już dziś jest on większy, aniżeli był przed wojną, chociaż względnie nowy system ekonomiczny trwa za ledwie parę lat. Warto również wspomnieć, że wysuwane ostatnio przeciwstawienie idei pełnego zatrudnienia — idei dużej wydajności — nie jest słuszne. Dopiero pełne zatrudnienie stwarza właściwą atmosferę społeczną dla maksymalizacji wysiłku.

Niewystarczające inwestycje przed wojną w różnych dziedzinach gospodarki, jak w górnictwie węglowym, przemyśle przetwórczym, kolejnictwie itp., były uzasadnione z punktu widzenia prywatno-kapitalistycznego. Po prostu nie opłacało się inwestować z punktu widzenia rentowności prywatno-gospodarczej. Ponieważ brak rentowności tak pojętej był do pełnego stopnia zjawiskiem chronicznym pomiędzy dwiema wojnami, zjawiskiem chronicznym były również zaniedbania inwestycyjne. Ostatnia wojna stała się tylko katalizatorem, który przyspieszył proces, występujący już przed wojną, zwiększania się dysproporcji pomiędzy wydajnością brytyjską a na przykład amerykańską. Wyobraźmy sobie, że brak rentowności — w sensie prywatno-gospodarczym — jest zjawiskiem długotrwałym, będącym konsekwencją niekorzystnego, długotrwałego

układu międzynarodowych stosunków ekonomicznych, którego to układu dany kraj nie jest w stanie zmienić. Jeśli, w tym stanie rzeczy inwestycje będą kształtowały się w zależności od prywatno-gospodarczych ocen ich rentowności, to po pewnym czasie może nastąpić upadek sił wytwórczych kraju. Czy wolno ryzykować tego rodzaju fatalizm, który naraża dobrobyt całego społeczeństwa, a nawet może narazić na ciężką próbę istnienia państwa? Doświadczenie brytyjskie sprzed wojny dało podstawę do odpowiedzi negatywnej.

Socjaliści brytyjscy wcale nie mają zamiaru wyrzec się imperium kolonialnego. Labour Party nie tylko w tej dziedzinie, lecz niemal w każdej innej, chce utrzymać dorobek pokoleń, nie chce burzyć, by budować wszystko od nowa. W wypadku problemów kolonialnych chodzi o to, że zasady, na których była dotąd oparta polityka kolonialna, okazały się niewystarczające w świetle doświadczeń z ostatnich lat kilkudziesięciu.

Gdy zastanawiam się nad stosunkiem socjalistów brytyjskich do problemu kolonialnego, przypomina mi się historia, jaką opowiadają o wielkim kolonizatorze, Cecil Rhodes. Po zwiedzeniu kiedyś londyńskiej dzielnicy nędzarzy, miał on powiedzieć, że dopiero teraz widzi pełne uzasadnienie swojej polityki kolonialnej: kolonie są potrzebne Wielkiej Brytanii dla dobrobytu jej świata pracy najemnej.

Wydaje się, że główny zarzut pod adresem dawnej polityki kolonialnej polegał na tym, że nie przeciwdziałała ona dość gruntownie zagrożeniu brytyjskiego kolonialnego stanu posiadania. Zaniedbanie gospodarki w koloniach, w szczególności gospodarczego powiązania kolonii z metropolią, stwarza swego rodzaju pustkę, której nie znoszą stosunki międzynarodowe. Znajdą się tacy, którzy sięgną po kolonie. Niebezpieczeństwo pustki kolonialnej dla brytyjskiego kolonialnego stanu posiadania staje przed opinią brytyjską już od lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia i było podkreślane przez wielu autorów i polityków. Wystarczy przypomnieć rolę Józefa Chamberlaina w tej dziedzinie.

Po ostatniej wojny polityka brytyjska nie zdobyła się na wyraźny kierunek planowego zagospodarowywania kolonii z wyraźnie zaakcentowaną tendencją interwencjonistyczną. Imperium należy zawdzięczać inicjatywie prywatnej. To prawda. Ale czy można utrzymać imperium głównie dzięki inicjatywie prywatnej? Oto dzisiejszy problem.

Inicjatywa Chamberlaina w końcu ubiegłego stulecia przyniosła w rezultacie pewne wzmoczenie interwencjonizmu w sprawach kolonialnych. Swego programu nie zdołał on jednak zrealizować. Po pierwszej Wojnie Światowej nastąpiło dalsze zaakcentowanie interwencjonizmu w polityce kolonialnej. Tym nie mniej do drugiej Wojny Światowej kolonie były nadal raczej słabo związane ekonomicznie z Wielką Brytanią. Udział kolonii w imporcie brytyjskim przed wojną wynosił 5%, w eksporcie — 8%. Mam tu na myśli posiadłości afrykańskie (z wy-

jątkiem Unii Południowo-Afrykańskiej, która jest dominium), Indie Zachodnie i Malaje. Nie biorę więc pod uwagę dominiów oraz Indii, Burmy i Cejlonu. Kolonie brytyjskie, wymienione powyżej, stanowią około 26% obszaru Commonwealth of Nations. W stosunku do obszaru świata stanowią one około 7%. W porównaniu do ogółu inwestycji zagranicznych (w latach trzydziestych) Wielkiej Brytanii, inwestycje na terenach kolonialnych (jw.) stanowiły 6,4% i wynosiły wszystkiego 250 milionów funtów.

Problem zwiększenia wydajności, którego rozwiązaniu ma sprzyjać gospodarka planowa i upaństwowienie niektórych dziedzin wytwórczości, występuje szczególnie jaskrawo na tle powojennych kłopotów płatniczych w stosunkach z zagranicą. Wspomnę o tym bardzo ogólnie.

Przed wojną nadwyżka przywozu nad wywozem wynosiła mniej więcej 388 milionów funtów. Deficyt ten był pokrywany dochodami z usług, świadczonych zagranicą w zakresie transportu morskiego, ubezpieczeń itp., lecz głównie dochodami z inwestycji zagranicznych. Dochody te wynosiły około 203 miliony funtów rocznie. Podczas wojny inwestycje zmalały o ca. 1.100 milionów funtów (przed wojną wynosiły ca. 3.700 milionów funtów), a zobowiązania wobec zagranicy wzrosły o ca. 2.880 milionów funtów. Ponadto, rezerwa złota i dolarów Stanów Zjednoczonych stopniała o ca. 152 miliony. Wytworzyła się olbrzymia luka w możliwościach płatniczych wobec zagranicy, zagrażająca podstawowemu zaopatrzeniu Wielkiej Brytanii w żywność i surowce. Deficyt płatniczy w 1946 r. wyniósł 450 milionów funtów. Został on pokryty przy pomocy pożyczki amerykańskiej.

Dobry pogląd na sytuację płatniczą Wielkiej Brytanii w stosunkach z zagranicą daje porównanie pozycji bilansu płatniczego w 1938 r. i w 1946 r.:

	1938 r.	1946 r.
	(w milionach £)	
Płatności:		
Import	826	1.100
Wydatki rządu	13	300
	839	1.400
Wpływy:		
Eksport i reeksport	533	900
Procenty, zyski, dywidendy	175	60
Inne wpływy	61	— 10
	769	950
Deficyt	70	450

Rozwiązanie powyższego problemu zależy przede wszystkim od olbrzymiego zwiększenia eksportu. Zwiększenie eksportu

wymaga zwiększenia wydajności brytyjskiego aparatu wytwórczego. A tego znów nie osiągnie się bez nakładów i fantastycznego wysiłku organizacyjnego. W ten sposób linia gospodarki planowej i nacjonalizacji zbiega się z linią wysiłków wyjścia z trudności powojennych. Zwolennicy programu rządowego twierdzą, że nie sposób jest przewyciężyć tych trudności w dość szybkim czasie bez zmiany systemu ekonomicznego.

2. Główne założenia polityki rządu

Główne założenia programowe rządu w okresie dojścia do władzy można określić następująco (nb. uważam za celowe częściowe powtórzenie niektórych, już scharakteryzowanych, elementów).

Przez podniesienie wydajności gospodarki rozporządza się większym dochodem społecznym do podziału pomiędzy najszerze warstwy społeczeństwa. Podniesienie wydajności gospodarczej wymaga, z jednej strony — podnoszenia stanu i modernizacji wyposażenia inwestycyjnego kraju, z drugiej zaś — realizacji pełnego zatrudnienia. Nacjonalizacja jest jednym ze środków na drodze do podniesienia stanu i modernizacji wyposażenia inwestycyjnego oraz realizacji pełnego zatrudnienia.

Muszą być spełnione trzy główne warunki, by walka z depresjami i bezrobociem, a więc o pełne zatrudnienie sił wytwórczych kraju, była możliwa: a) globalna suma wydatków na dobra i usługi nie może spadać do poziomu, przy którym pojawia się generalne bezrobocie; b) płace i ceny muszą być racjonalnie utrzymywane na stałym poziomie; c) musi istnieć dostateczna przesuwalność i ruchliwość czynnika pracy pomiędzy poszczególnymi zawodami i terenami.

Realizacja trzeciego warunku jest sprawą środków polityki gospodarczej, zmierzającej do organizacji rynku pracy. Do środków tej kategorii należy na przykład szkolenie i przeszkalanie zawodowe, należyta organizacja służby pośrednictwa pracy itp. Środki tej kategorii są środkami pomocniczymi. Nie są one w stanie wywołać ogólnego popytu na pracę, ale są w stanie zapobiec, by — przy istniejącym popycie — nie występowały dwa równoległe zjawiska — niezaspokojonego popytu i niewchłoniętej podaży. Zjawiska te mogą, na przykład, wystąpić równoległe, gdy istnieją różnice rodzajowe pomiędzy danym popytem a daną podażą.

Warunek drugi może być tylko częściowo zrealizowany na drodze bezpośredniego interwencjonizmu w dziedzinie płac i cen. Jego wykonanie wymaga użycia bardzo różnorodnych środków. Wchodzą tu w grę omówione przed chwilą środki — bezpośredniego interwencjonizmu na rynku pracy, a ponadto środki ogólnego oddziaływania na gospodarkę, tj. pieniężne i kredytowe, środki reglamentacji obrotów towarowych z zagranicą oraz środki bezpośredniego oddziaływania na produkcję. Sprawność posługiwania się wymienionymi dodatkowo katego-

riami środków jest jednym z motywów nacjonalizacji. Motyw ten występuje jeszcze silniej przy traktowaniu problemu utrzymania globalnej sumy wydatków na dobra i usługi na odpowiednim poziomie, czyli przy traktowaniu zagadnienia realizacji pierwszego warunku.

Przy tego rodzaju strukturze gospodarki narodowej, jak angielska, rolę centralną w polityce gospodarczej, zmierzającej do utrzymania ożywienia, odgrywa instytucja emisyjna. Ponieważ rząd chce dysponować pełnymi możliwościami oddziaływania na gospodarkę narodową, pierwszym jego krokiem było upaństwowienie Banku Anglii. Pozostały aparat bankowy jest nadal w rękach prywatnych. Bank Anglii nie mógłby jednak spełniać swojej roli oddziaływania na gospodarkę jako całość, gdyby nie współpracowały z nim inne ogniwa aparatu bankowego. To współdziałanie zostało zapewnione w ten sposób, że Bank Anglii może udzielać instrukcji bankom akcyjnym, a sam, z kolei, otrzymuje instrukcje od Treasury.

Powracam do tezy, że utrzymanie pełnego zatrudnienia wymaga, aby globalne wydatki na dobra i usługi nie spadły poniżej pewnego poziomu. Wydatki te mogą składać się z wydatków następujących kategorii: a) na prywatne spożycie, b) wydatków publicznych na usługi (np. oświata i obrona), c) prywatnych inwestycji, d) publicznych inwestycji oraz e) pozycji bilansu handlowego.

Środki, które zostały wymienione, a zwłaszcza środki interwencjonizmu instytucji emisyjnej, prowadzą różnymi drogami do utrzymania takiego lub innego poziomu wspomnianych przed chwilą wydatków. Środki te mogą jednak nie wystarczyć.

Przy pomocy środków interwencjonizmu instytucji emisyjnej można pobudzać lub hamować prywatne inwestycje. Postanowienia o kontroli inwestycji dają podstawy odpowiedniego harmonizowania ruchu inwestycyjnego i nadawania temu ruchowi właściwego kierunku. Jeśli zarząd publiczny obejmie takie dziedziny wytwórczości, jak węgiel, żelazo i stal, polityka gospodarcza, a w szczególności polityka kierowanych inwestycji, zyskuje dodatkowe, potężne środki działania. Po pierwsze — inwestując w takich dziedzinach wytwórczości, jak węgiel, żelazo i stal, otrzymuje się wtórne fale wydatków w gospodarstwie narodowym. Po drugie — stan inwestycji w dziedzinie wytwórczości węgla, żelaza i stali posiada olbrzymie znaczenie z punktu widzenia produkcji i inwestycji w ogóle. Polityka gospodarcza, która chce utrzymać w kraju wysoki poziom wytwórczości i inwestycji, nie może dopuszczać do dezinvestycji i do demodernizacji w przemyśle węglowym, żelaznym i stalowym, o ile, oczywiście, krajowy przemysł w danych dziedzinach stanowi podstawę krajowego zaopatrzenia w danym zakresie. Pragnienie posiadania pewności, że zdolność wytwórcza przemysłu węglowego, żelaznego i stalowego będzie ulegała poprawie, a co najmniej nie będzie ulegała pogorszeniu — stanowi główny

motyw rozciągnięcia zasady nacjonalizacji na te właśnie dziedziny.

Tak mniej więcej da się streścić tok rozumowania przywódców Labour Party. Na specjalne podkreślenie zasługuje sposób podejścia do zmian w ustroju własności, będących środkiem do podniesienia sprawności i wydajności gospodarki. Niemal każda ze zmian ustroju własności jest poprzedzona wszechstronną analizą sytuacji w danej dziedzinie gospodarki.

Przypominam jeszcze raz: upaństwowienie ma zapewnić niezbędne środki realizacji celów gospodarki planowej.

W pierwszym roku rządów Labour Party upaństwowiono przemysł węglowy, lotnictwo cywilne oraz „Cables and Wireless”; w drugim roku — przemysł transportowy, zaopatrzenie w prąd elektryczny oraz import bawełny; obecnie jest w toku upaństwowienie przemysłu stalowego. Według zapowiedzi rządu, w chwili, gdy obejmował on władzę, po wykonaniu programu upaństwowienia pozostanie w rękach prywatnych około 80% przemysłu. O ile chodzi o liczbę zatrudnionych w instytucjach prywatnych i publicznych, to ocenia się, że w 1950 r. około 14 milionów osób będzie zatrudnionych w gospodarce prywatnej i około 6 milionów — w gospodarce publicznej. Ta ostatnia liczba obejmuje również siły zbrojne, całą administrację państwową a nawet spółdzielczość.

Instrumentem gospodarki planowej w zakresie przedsiębiorstw prywatnych są tzw. „Workings Parties”. Składają się one z przedstawicieli, przedsiębiorców i pracowników w danej gałęzi wytwórczości, z przedstawicieli rządu i specjalistów. Ich celem jest opracowywanie programu modernizacji i poprawy warunków pracy. Pierwszym planem, który został opracowany, był plan rozwoju przemysłu bawełnianego, zawarty w raporcie odośnej „Working Party”. Przewidywał on powołanie centralnej organizacji, tzw. „Cotton Council”, składającej się z pracodawców i pracowników. Zadaniem tej organizacji byłaby realizacja programu ulepszeń w przemyśle bawełnianym, zaleconego przez wspomniany raport.

Ponieważ obecny rząd objął władzę natychmiast po zakończeniu wojny, miał on do dyspozycji cały system reglamentacji, występującej w latach gospodarki wojennej. Dzięki temu, mógł on uniknąć walki o zdobycie środków reglamentacji, które byłyby potrzebne do prowadzenia pokojowej gospodarki planowej. Wystarczyło utrzymanie niektórych środków reglamentacji wojennej; nie wszystkich, oczywiście, ponieważ nie wszystkie były potrzebne.

Nie można chyba uważać, że system brytyjskiej gospodarki planowej jest już ostatecznie ukształtowany. Na ten temat prowadzone są ciągle ożywione dyskusje w łonie Labour Party. Już w początkowych rozważaniach w tej sprawie zdecydowano, że brytyjska gospodarka planowa musi być bardzo daleka od wzoru sowieckiego i hitlerowskiego. Wielka Brytania musi zbudować nowy, swój własny system gospodarki planowej, opartej

na utrzymaniu zasady własności prywatnej, jako dominującej w ustroju własności kraju, na utrzymaniu bardzo szerokiego zakresu swobody indywidualnej oraz na utrzymaniu szerokiego zakresu współpracy ekonomicznej z zagranicą. Przy tego rodzaju założeniach, zadania gospodarki planowej nie mogą być formułowane w sposób kategoriyczny. Są to raczej zadania orientacyjne. W gospodarce planowej tego typu muszą być w znacznej mierze utrzymane te środki realizacji, które są właściwe gospodarce, opartej na prywatnym władaniu środkami produkcji, na swobodzie inicjatywy przedsiębiorcy i na swobodzie decyzji konsumenta.

Przechodzę obecnie do krótkiej charakterystyki planu czteroletniego.

W myśl planu czteroletniego, obecny deficyt płatniczy Wielkiej Brytanii w stosunkach ze światem w wysokości 280 milionów funtów, zostanie zastąpiony nadwyżką płatniczą w wysokości 100 milionów funtów w 1953 r. Tak pomyślany stan równowagi ma być osiągnięty mniej więcej następująco.

Wielka Brytania zamierza prowadzić w najbliższych latach stosunkowo restrykcyjną politykę importową. Przywóz wzrośnie do 1953 r. tylko o 15% ponad poziom dzisiejszy, będzie on natomiast niższy od poziomu przedwojennego o 11%. Zapotrzebowanie, które przed wojną było pokrywane zagranicą, będzie na przyszłość w znaczniejszym stopniu pokrywane w kraju i w koloniach. Wielkim osiągnięciem stanie się zwiększenie krajowej produkcji żywności: produkcja zbożowa ma wzrosnąć o 21%, a produkcja mięsa — o 50%. Dzięki wzrostowi krajowej produkcji, import żywności zostanie zmniejszony do połowy importu przedwojennego. Dostawy surowców z kolonii, których wartość wynosiła 150 milionów funtów w 1947 r., wzrosną do 238 milionów funtów w 1953 r. Dużą rolę w rozwoju dostaw kolonialnych odegra słynny „Groundnuts-Scheme”, o którym jeszcze powiem.

Eksport ma być większy w 1953 r. o 32% w porównaniu do obecnego poziomu eksportu. Z drugiej strony, należy pamiętać, że pod koniec 1948 r. Wielka Brytania osiągała 150% eksportu przedwojennego.

Obecna produkcja węgla, wynosząca 240 milionów ton w stosunku rocznym, ma wzrosnąć do 283 milionów ton w 1953 r. Produkcja przedwojenna wynosiła 230 milionów ton. Ten projektowany wzrost produkcji węgla oznacza, że wydajność na robotnika musi wzrosnąć o 5% w stosunku do wydajności bieżącej. Po osiągnięciu w 1953 r. zamierzonej produkcji węgla, Wielka Brytania będzie mogła całkowicie zastąpić dotychczasowy eksport amerykański na rynek europejski.

Produkcja przemysłowa wzrośnie o 22% w stosunku do obecnego stanu. Wzrost ten ma nastąpić przede wszystkim w dziedzinie przemysłów eksportowych. Warto wspomnieć, że wskaźnik produkcji przemysłu przetwórczego dochodził do 118 w 1948 r. (1937 r.=100).

Jeśli plan czteroletni zostanie wykonany, będzie to wielkim osiągnięciem. Zrealizowanie planu jest trudne głównie dlatego, że w bardzo poważnym stopniu zależne od zagranicy — od partnerów zagranicznych i sytuacji międzynarodowej w ogóle. Na przykład, jeśli wybuchnie kryzys w Stanach Zjednoczonych, odzyskanie równowagi przez Wielką Brytanię może być co najmniej bardzo opóźnione.

Do najważniejszych konsekwencji planu należy to, że — w razie jego wykonania — zmieni on bardzo istotnie charakter ekonomiczny Wielkiej Brytanii w stosunku do tego charakteru, jaki posiadała ona przed wojną. Przystanie ona być nadal tak poważnym rynkiem zbytu dla artykułów zagranicznych, jakim była przed wojną. W szczególności, skurczy się bardzo poważnie pojemność rynku brytyjskiego na zagraniczne artykuły żywnościowe. Równocześnie, znacznie wzrośnie, w stosunku do stanu przedwojennego, konkurencja brytyjska na rynkach zagranicznych. Na tych przekształceniach gospodarki brytyjskiej ucierpi przede wszystkim Europa kontynentalna, dla której Wielka Brytania była najpoważniejszym rynkiem zbytu przed wojną. Nadwyżka eksportowa Europy zachodniej w obrotach z W. Brytanią wynosiła przed wojną 150 milionów funtów. Następnie, ta sama Europa Zachodnia ucierpi na konkurencji brytyjskiej na rynkach zagranicznych, na które wywozi swoje towary. Mogą ucierpieć również Stany Zjednoczone, które spotkają się ze wzmożoną konkurencją brytyjską na rynkach międzynarodowych.

Na zakończenie scharakteryzuję nową politykę kolonialną.

W 1945 r. ukazał się Colonial Development and Welfare Act, który przewiduje, że w ciągu dziesięciu lat zostanie wydanych 120 milionów funtów na rozwój kolonii. Nie jest to pierwszy krok w kierunku planowego zagospodarowania kolonii, jest to jednak krok decydujący. Kwoty, przewidziane poprzednio na inwestycje kolonialne, były stosunkowo niewielkie.

Akt z 1945 r. wprowadza zasadę, że administracja każdej posiadłości kolonialnej ma przedstawić dziesięcioletni plan rozwoju ekonomicznego. Plany są częściowo — a często głównie — finansowane ze źródeł miejscowych, a częściowo z wspomnianego funduszu. Każdy plan ma być zatwierdzony przez Colonial Economic and Development Council w Londynie. Ogólna liczba planów kolonialnych wynosi około 40. Ich zakres jest bardzo różny. Obejmują one takie zagadnienia, jak: zdrowie publiczne, oświata, budownictwo mieszkaniowe, walka z chorobami tropikalnymi, z erozją, ze szkodnikami roślin, poszukiwania geologiczne itp.

Prawie wszystkie kolonie brytyjskie oparte są na prymitywnym rolnictwie. Rolnik kolonialny żyje w warunkach bardzo nędznych. Lepsze metody uprawy, prowadzące do wyższej produkcji na głowę i do poprawy dobrobytu, nie mogą być osiągnięte bez podniesienia poziomu oświaty i stanu zdrowotności. Podniesienie poziomu oświaty i stanu zdrowotności wymaga od-

powiednich środków. Otóż, istniała zasada w dotychczasowej polityce kolonialnej, że wszelkie ulepszenia ogólnogospodarcze i ogólnospołeczne w koloniach muszą być finansowane wyłącznie ze źródeł miejscowych. Zasada ta stwarzała swego rodzaju błędne koło w dziedzinie problematyki rozwoju kolonialnego: od wzrostu produkcji zależały środki na inwestycje publiczne, a wzrost produkcji był zależny od inwestycji publicznych. Akt z 1945 r. umożliwił wyjście z tego błędnego koła, przewidując znaczną pomoc inwestycyjną z zewnątrz.

East African Groundnuts Scheme jest pierwszym wielkim przedsięwzięciem najnowszej polityki kolonialnej. Od realizacji tego projektu oczekuje się bardzo wiele — zarówno z punktu widzenia wyników bezpośrednich, jak i z punktu widzenia doświadczeń, które mogłyby dać wskazówkę, w jaki sposób należy postępować na innych terenach kolonialnych. Koncepcja organizacji produkcji orzechów ziemnych na wielką skalę na terenach Afryki Wschodniej powstała w 1947 r. Orzechy ziemne są cennym produktem tropikalnym o bardzo dużej zawartości tłuszczu. Projekt uruchomienia na wielką skalę produkcji orzechów ziemnych w Afryce Wschodniej jest wysunięty w okresie wielkiego deficytu tłuszczowego w skali światowej. Plan przewiduje wzięcie pod uprawę orzechów ziemnych ponad 3 milionów akrów (około 1,3 miliona hektarów). Roczna produkcja w przyszłości — po wykonaniu planu — ma wynieść 800 tys. ton. W stosunku do obecnego światowego deficytu tłuszczowego będzie to stanowiło pokrycie w 53-64%. Wśród wielu korzyści, które osiągnie Wielka Brytania dzięki rozwojowi omawianej produkcji kolonialnej, warto wspomnieć o rozwiązaniu problemu zaopatrzenia rolnictwa brytyjskiego w paszę dla bydła. Odpadki przy wyłaczaniu oleju z orzechów ziemnych służą do wyrobu makuchów, cennej paszy dla bydła. Dzięki rozwiązaniu problemu zaopatrzenia w paszę, przewiduje się bardzo znaczne podniesienie produkcji mleka w Brytanii.

Reasumując, wydaje mi się, że przemian społeczno-gospodarczych w Wielkiej Brytanii nie można rozpatrywać jako czystego eksperymentu socjalistycznego. Są one raczej rezultatem konieczności, które powstały na tle nowych stosunków w Zjednoczonym Królestwie, w Imperium i w świecie. Wielka Brytania poszukuje nowych dróg rozwoju, tak jak poszukiwała ich pod koniec XVIII-go stulecia, a następnie po Wojnach Napoleońskich w pierwszej połowie XIX-go wieku. Mam wątpliwości czy można by znaleźć w chwili obecnej inne, nowe drogi rozwoju, aniżeli te, które wybrał obecny rząd. Jest zupełnie prawdopodobne, że gdyby przy władzy był dzisiaj rząd konserwatywny, realizowałby on szereg postulatów, które zostały wysunięte przez Labour Party. Powtórzyłyby się doświadczenie Wellingtona i Peela z pierwszej połowy ubiegłego stulecia.

Stanisław GRYZIEWICZ.

Rarytas

Przed weselem wypełniła się karczma jaworowska. Przeróżne wehikuły i konie mieściły się jeden obok drugiego, nie tylko na brukowanym zajeździe lecz także na podwórzu, w stajniach, w wozowniach i szopach. Drewniane galeryjki, biegnące wokół domu, obszerne gościnne izby, a nawet mniejsze prywatne, roily się od ludzi. Rozdział klas gości nie utrzymywał się zbyt dokładnie. Prawie połowę stanowili przeróżni weselni woźnice i muzykanci żydowscy. Jedną z izb dużych zajęła właśnie muzyka kołomyjska wraz z pasażerami pojazdów bałagulskich. Tu już próbowano tańczyć. W rezultacie goście, unikający zbytniego rozgardiaszu, usunęli się do ogródka za domem, gdzie w cieniu wielkich buków stały ławeczki i stoliki.

Mimo przepiecenia, obsługiwano znakomicie, jak zawsze. Stary Wildhorn milcząc stał przy klatce szynkwasowej i prawie bez słów kierował przedsiębiorstwem. Rodzina jego uwijała się po pokojach, po izbach i ogródkach. Goście doborowi otrzymywali na żądanie różne przysmaki i marynaty z głowacizn czere-moszowych, pstrągi z Rybniicy, wodę burkucką z malinowymi konfiturami, ciemny miód w plastrach i kawę ze śmietanką. Woźnice pili piwo, zakąsywali świeżą bryndzę. Do wszystkich wciąż sypały się białe bułki, niewyczerpane bułki, bułki. W całym domu pachniało bułkami, a na powietrzu pachniało otawą.

Nastrój był beztroski, wesele już tu się zaczynało. Oprócz samych gospodarzy karczmy każdy tu był gościem. Ten i ów był trochę zajęty, — trochę tak jak bywają zajęte dzieci zabawą. Ten dospytywał koniom obroku, ów sposobił się do dalszej drogi, a że czasu było dość, więc jeszcze czekali na dokończenie gawędy i wyglądano nowych gości, którzy wciąż przybywali ze strony Kosowa.

Było południe. Wiatr nie ustawał. Jednak w ciepłym zakącie, pod samą górą mało dawał się we znaki. Szumiał sobie tylko w koronach tęgich wysokich buków i jaworów. Co jakiś czas dosypywał liści jasnych, tęczyliści jesiennych.

Na ciepłym, osłoniętym ze wszystkich stron podwórzu, na wysokim brzegu potoku zwanego Rybnica, siedział na ławce na swojej baranicy znany nam, stary bałaguła Bjumen. Znalazł się między samymi „panami”. Znali go wszyscy. Co chwila ktoś

(Z tomu drugiego „Na Wysokiej Połoninie”)

na nowo wchodzący witał go i zagadnął. A może znów jaki żart dobry palnie, jakąś powiastkę wytrzasnie.

— Co to za rarytas ten nasz Bjumen — powiedział głośno któryś z młodych studentów, siedzących przy piwie. Powiedział tak, aby Bjumen słyszał.

Bjumen figlarnie śmiał się nad bombą piwa.

— Rarytas? Teraz takimi rarytasami wszystkie gościńce zasypane i wszystkie chałaty wypchane. Ale wiecie państwo, ha, ha, ha Bjumen raz zaczepiony od razu wchodził w swój ton — ja znam taką historię prawdziwą, nie bajkę, jak biedny żydek był naprawdę rarytasem. Kto mi da piwa, to mu opowiem.

— Piwa, piwa, piwa! — rozległy się zewsząd zbyt głośne wołania.

— Nie tak dużo — mitygował Bjumen — to nie trzeba. Tylko jedną bombę. Tak, fajnie!

— Niech żyje Bjumen! Opowiadaj!

I Bjumen opowiadał:

— To było dawno — ale to prawda. I to jest opowiadanie, nad którym nie jedna mądra głowa się kiwała. To było wtedy, jak — co tu mówić, kiedy państwo sami chrześcijanie, a ja znów ten rarytas — ha — ha — ha! I bałagula robi się mądrzejszy od panów, no. — To było wtedy, gdy żył wielki Rabin w Ostrej — jest takie miasteczko gdzieś pod Krakowem — nu, może dwieście lat temu. O tym Rabinie samym to ja niegodny opowiedzieć. Proszę spytać sobie o to kogoś lepszego, staruszka Bercunia — a prawda, już nie żyje, — no, to samego pana Rabina, albo ot tu pana Wildhorna. Ale tak na osobności, bo to nie jest gadanie dla karczmy i do piwa. I ten wielki człowiek ma akuratnie tyle wspólnego z tą całą historią, co sam Pan Bóg. Nakręcił ją sobie od niechcenia i z ukrycia, jak zegarmistrz zegar. Ha — ha! I Boże mój, co mu tam to wszystko szkodziło.

Rzecz w tym, że w tej Ostrej był sobie jeden mały, cichy żydek. Krawiec zwany Pinkas. Pinkas wierzył w Rabina, Pinkas radził bo się ciągle, wypytywał dokładnie o różne przepisy na każdy szabas, aby szabas był ważny. Nieraz nudził nawet Rabina. Ale to z bogobojności, więc wielki Rabin był cierpliwy. Odpowiadał Pinkasowi: tak — nie, nie — tak. Głowy od książki nie podnosił.

Pinkas chodził ze swej uliczki codziennie na zamek do dworu pańskiego i z powrotem. Chodził szyć do jaśnie pana grafa. W sobotę chodził aż do końca uliczki — na spacer. A nie powiedziałem jeszcze, że w Ostrej był też taki dziedzic, jaśnie pan graf, jak powiadają. Pinkas był właśnie krawcem jaśnie pana grafa. Pan graf był dobry pan i zadowolony z Pinkasa. Chwalił go i pożyczal go nawet innym panom. Potem już przestał pożyczać, chciał go mieć tylko dla siebie.

Pinkasowi powodziło się — co Żydowi ma się powodzić? — Miał żonę, miał sporo dzieci, a myślał wciąż tylko o swojej robocie, wciąż sztuderał: z czego, jak i co ma zrobić. Gdy mu się udał garnitur — kontusz czy bekieszka, czy jak się to

nazywało, wtedy — był taki wesoły, jakby nie wiem jakie szczęście go spotkało. Szedł sobie do domu śpiewający. I prawie tańczyć zaczynał, ale tymczasem już był w swojej chatce, w sztibale, między bachorkami.

Pinkas także był zadowolony ze swego grafa. Co znaczy „zadowolony”? To mało. Miał go tylko dla siebie, nie martwił się, że pan pójdzie sobie do innego krawca. A co najważniejsze: ten jego graf własny to był istny model krawiecki. Złoto nie model! Wysoki, prosty, figura śliczna, przepisowa dla krawca. Pinkas cmokał po cichu, kiedy brał miarę i przymierzał ubrania na swoim grafie.

I kiedy tak przymierzał, pan graf — taki marzyciel trochę — pytał czasem grzeecznie: Mój Pinkasie, a może by tak — niemiecki krój? A może by — hiszpańskie bufy? A może by?

Pinkas odpowiadał krótko: Tak — nie, nie — tak. — Głowy od kroju nie podnosił.

Graph rozumiał: majster, to majster.

I można tak powiedzieć, że byli to przyjaciele, choć jeden pan, a drugi kapcan. Jeden szył pilnie, jak potrzeba — dzień i noc. Drugi chodził, jeździł, tańczył, także pilnie, trzeba czy nie trzeba, dzień i noc. A zawsze wystrojony! Co znaczy wystrojony? Świecił się od elegancji, paradował po Krakowie, chwalił się strojami także po obcych krajach, aż siawa poszła o tym po świecie: „taki strojny jak graf z Ostrej”.

A skąd to wszystko? Trzeba tu powiedzieć jedną ważną rzecz: Pinkas nie tylko był pilny. Miał on takie szczególne, takie bystre oko dla składki. Gdzie jaka fałda, składka, choćby zmarszczka malutka zrobiła się na sukni, natychmiast ją wysledził i już wiedział jak naprawić. Toteż suknie jego były jak ulane.

A ten graf, jak to panowie, wszędzie miał krewnych. Nawet cesarz, który, jak tam w książce stoi, mieszkał sobie wtedy gdzieś aż w Hiszpanii, był jego krewny.

I co się dzieje. Pisze raz pan cesarz do jaśnie pana grafa. Posyła przez umyślnego posłańca:

„Kochany Kuzynie, Bóg z tobą! Mam do ciebie wielką prośbę. Chodzą tu wieści, że ty masz u siebie żyda, prawdziwego żyda! Nie wiem czy to prawda i coś mi się nie zdaje, ale zapewniam tu, że tak sam mówię jednemu z moich panów. Jeśli to zatem prawda, przywieź go ze sobą, a będę ci bardzo wdzięczny. Dla mnie, dla wszystkich moich poddanych to bardzo ważne, to będzie wielki rarytas. U nas od dawna już nie ma żyda na lekarstwo, a jest nam właśnie potrzebny. Zatem i na twego żyda spadnie niejedna łaska pańska, otrzyma niejeden podarek. Bóg z tobą” — tak pisał pan cesarz aż z Hiszpanii.

Turkot nowych pojazdów i poruszenie w całej karczmie przebrały opowiadanie Bjumena. Przyjechali goście od dawna oczekiwani. Do ogrodu wyspało się dużo młodych panów, przeważnie bracia, kuzyni pana młodego i ich przyjaciele. Pośród nich rej widział brat pana Euzebiusza, praktykant sędziowski, tak zwany

Karolcio. Inni patrzyli nań, czekali co powie, łowili wprost jego słowa, potrosze rozpieszczali go.

Pan Karolcio był to młodzian o ciemnych oczach, ostrych ry-sach, śmiałym wyrazie twarzy. Zawsze z poważną miną, niby zrzedząc, sztydził lub sypał dowcipami bez przerwy. Tak sobie już życie urządził i wówczas i później jeszcze bardziej, że dow-cip, humor i anegdota towarzyszyły mu wszędzie bez przerwy. Zmuszał innych do takiej postawy, zmieniał swych towarzyszy w orszak szyderców i dowcipnisiów. Nawet u przełożonych wy-robił sobie przywilej odpowiadania anegdotami i załatwiania spraw dowcipami. Z kolei jego kompanowie i znajomi, czeka-jąc na żarty, utrzymywali go w tym, prawie zmuszali do dow-cipu. Z Bjumenem witali się, jak starzy znajomi. Jeszcze za czasów szkolnych pan Karolcio jeździł nieraz w Bjumenem do Kosowa i wysłuchiwał jego opowiadań.

Przybysze otrzymywali natychmiast dymiącą, wonną kawę, konfitury malinowe. I znów białe bułki, dużo białych bułek. Gdy rozglądali się po ogródku, gdy odpowiedzieli to i owo z drogi, zmiarkowali, że obecni czekają na dalszy ciąg opowiadania Bjumena.

— A co tam opowiada dziś Bjumenko? — zapytał pan Karolcio.

— Ha — ha — ha — dudnił Bjumen — nie mam szczęścia, panie Karolciu — ale to może już trzeba mówić panie adiunk-cie? Za darmo wypilem to piwo, bo pan to lepiej zna ode mnie. Już mi pan nieraz nowe kawałki opowiadał o tym rarytasie. Wie pan co? Niech pan zakończy. Bo o tych panach różnych, jak go przyjmowali, to pan naprawdę powie lepiej. Właśnie do-jechałem do tego, jak cesarz napisał do pana grafa list, aby mu przywiózł żyda.

— Proszę opowiadać, Karolciu, wiwat pan Karolciu! Niech ży-je pan adiunkt! — wołali goście od stolików.

Te okrzyki ściągnęły nowych słuchaczy, ogródek napemniał się coraz bardziej. Pan Karolcio, nie kończąc kawy, dał się wcią-gnąć i opowiadał:

— Moim zdaniem, w tej historii, którą po raz pierwszy przed laty usłyszałem od Bjumenka — ale później rozpytywałem o nią różnych znawców tej „literatury”, bo jest taka — zastanawia-jące jest nie tyle, jak rzeczce Bjumenko, że żyd raz był rarytasem. Chodzi tu raczej o coś zupełnie innego, o to, że istnieją jednostki niemile, ba, dokuczliwe, nieznośne, wprost złe, których sama obecność zmusza innych do tylu opanowań, do ciągłego łykania goryczy, do trawienia przykrości, że ci, którzy to znoszą, stają się niemal święci. Tak właśnie wyobrażał sobie ów cesarz i całe jego rycerstwo — żyda. Roilo się im, że żyd — to musi być jakaś istota straszna, jakiś potwór. Potrzebowali go dla umartwienia.

Bo posłuchajmy, co dalej mówi historia. Więc gdzie jesteście? Aha! Cesarz napisał do grafa. Ten „graf” to był sobie po prostu polski szlachcic. Bo po co Polakowi być grafem? I tak — równy panującym. Chyba, że dostał później tytuł od cesarza: może za

to, że przywiózł mu żyda. Więc przyklepił sobie odtąd nędzny strzęp, jako ozdobę, do swoich strojów. Księgi nazywają go gra-fem... Gdy przeczytał list cesarski, był zadowolony. Był prawie szczęśliwy:

Zatem już nawet cesarz chrześcijański, zatem i całe jego ry-cerstwo wie o Pinkasie. Ha! Zapewne daleko rozeszła się sława jego wspaniałych strojów! Teraz będzie miał sposobność pokazać się przed światem.

Wzywa pośpiesznie i o porze niezwyklej Pinkasa do dworu. — Mój Pinkasie, — powiada — posłuchaj, jedziemy pojutrze razem do Hiszpanii. Zaprasza mnie pan cesarz i bardzo mnie prosił, bym przywiózł ciebie. Przeglądnij raz jeszcze moje stroje, sam przygotuj się do drogi. A teraz bywał zdrów!

Pinkas osłupiał. Bładł i czerwienił się na przemian. Chciał coś mówić, ale szlachcic skinął mu głową i odszedł. Nogi uginały się pod Pinkasem. Nie wiele myśląc, niesiony strachem jak na fali, pędzi do rabina.

— I jak to dalej, Bjumenku?

— Jak to? Teraz mówi „On”. I tak dalej opowiadają księgi stare.

— Aha: „On”, to jest wielki Rabin, wiedział już wszystko. Nie oderwał głowy od książki, uśmiechnął się i rzekł: jedź!

Pinkas wpadł w rozpacz: jakżeż jechać? między obcych, mię-dzy samych niewiernych? I jeść cały czas nieczyste razem z nie-czystymi? I do Hiszpanii? Któż nie wie, co to znaczy Hiszpania? Jak tam dręczono, wyniszczano żydów — mam małe dzieci...

„On” przerwał Pinkasowi: Weź ze sobą śmiertelną koszulę! — Dał znak ręką, zanurzył się w książkę. Pinkas odszedł ledwie żywy.

W końcu opowiedział wszystko żonie, pożegnał się z rodziną. Płakali razem całą noc, pewni, że już się nigdy nie zobaczą.

Szlachcic wyruszył ze świetnym orszakiem. Tuż za karocą pańską jechał furgon, zapakowany z pomocą Pinkasa, starannie okryty płachtami, wiósł same stroje, wszystko roboty samego Pinkasa. I gdzieś tam na samym końcu orszaku, na trajkocącej furce, razem z ciurami, jechał żydek, krawczyzna Pinkas. Co-dziennie kazał go wzywać szlachcic aby sprawdził, czy nie ma broń Boże jakiejś skladecki, jakiej zmarszczki lub rysy na jego sukniach, czy nie należy czego poprawić. O nic więcej się nie troszczył.

Trzeba by to opisać, a trudno nam nawet wyobrazić sobie, jak było na duszy Pinkasowi. Czym była dlań ta podróż przez obce kraje, przez góry, a nawet, strach powiedzieć — przez wo-dy, przez tonie morskie. Nigdy przecież w życiu nie wyjechał poza Ostrą, nigdzie nie był poza uliczką żydowską i dworem jaśnie pana, a tylko raz na tydzień w sobotę dochodził do końca uliczki.

Po wielu tygodniach jazdy uciążliwej, po przeprawie przez morze, przybyli do Hiszpanii. Brzegi przepełnione były ludźmi, zewsząd powiewały chorągwie. Panowała zupełna cisza. Na brze-

gu czekał na tronie sam cesarz w atlasach i złocie, w otoczeniu duchowieństwa, rycerzy i dam. Szlachcic odziany w najlepsze szaty, podszedł do cesarza w ukłonach. Tuż za nim dreptał Pinkas. Nikt nie witał szlachcica, nikt nie zwracał nań uwagi. A cesarz zaniepokojony, wśród milczenia powszechnego, zapytał tylko głucho: a gdzie jest żyd? Odwrócił się szlachcic i wskazał na Pinkasa.

— O, to jest właśnie mój krawiec, Pinkas, żyd.

— Ach, to jest żyd? — Cesarz prędko wstał z tronu i podszedł do Pinkasa.

Patrzył nań, patrzył długo. Wreszcie odwrócił wzrok, cały przemieniony, szczęśliwy. Przywitał się wtedy łaskawie z szlachcicem.

— Rozumiesz teraz, kuzynie? Oddałeś nam nieocenioną przysługę dla zbawienia naszych dusz. Wiadomo ci chyba, że żydzi są największymi wrogami nas chrześcijan. A wiara święta nakazuje nam kochać nieprzyjaciół nasze. Lecz skąd ich wziąć? Teraz popatrzyłem nań, teraz pokochałem go, czuję, że będę zbawiony. A ty, kochany nasz żydzie — powiedz, powiedz, czego chcesz za to?

Zgnębiony Pinkas nie wiedział, co się doń mówi. Z początku tkwił, jak słup w ziemi, potem kiwał się i kłaniał się bez przerwy. A raczej szastał to lewą, to prawą nogą. Tymczasem cesarz osobiście zawiesił mu na szyi sznur pereł, rozkazał odmierzyć dużo miar dukatów. Przyprowadzili dlań wielbłądy i konie osiodlane rzędami drogocennymi, prócz tego kazał mu przynieść postawy sukna, złotogłowiu i Bóg wie jeszcze co za wspaniałości.

Za cesarzem stali w pogotowiu w szeregach dostojnicy kościelni i świeccy. Naprzód przystąpił do Pinkasa arcybiskup Hiszpanii, po czym arcybiskupi poszczególnych prowincji, po czym magnaci hiszpańscy, po czym ministrowie i dostojnicy dworu cesarskiego i rządcy krajów cesarskich, przystępowali za porządkiem, podług sławności rodu i podług dostojności. Każdy z kolei spoglądał długo na zmęczonego Pinkasa. I każdy tajał powoli. Jak śnieg w górach taje na wiosnę. Tajał, jakby od słońca, od ciepła, które promieniowało z miłości powszechnej. I od swego własnego prądu miłości, który wysyłał przez oczy. Każdy odchodził podniesiony, uszczęśliwiony. Potem każdy darzył Pinkasa czym mógł. Zasypano go darami. Już sporządzono specjalne ogrodzenie, by w nim zgromadzić wszystkie podarki i skarby, które Pinkas otrzymał w tak krótkim czasie. Mimo powszechnej miłości, postawiono przy nim uzbrojone warty.

Lecz biedny Pinkas także tajał na oczach. Upadał ze zmęczenia. Ślaniał się, ślaniał coraz bardziej, wreszcie zemdlał. Wówczas nastąpił popłoch ogólny. Przywołano lekarzy, przygotowano nosze, zaniesiono go na łożo do pałacu cesarskiego. Zrozumiano wreszcie, że żyd po prostu zmęczony podróżą i tak wyczerpany, że ledwie żyje. Ponura trwoga zaciążyła nad rzeszą. A już zdało się, że szczęście tak bliskie!... Cóż będzie — gdy umrze żyd?

Atoli Pinkas pod troskliwą opieką lekarzy, a także pod dozorem cesarzowej i dam dworskich, które czuwały nad nim dzień i noc, przychodził z wolna do siebie. Gdy wreszcie zupełnie wyzdrowiał, radość opanowała całe miasto. Później rozszerzała się, jak luna, na całą Hiszpanię. Zaprzestano pracy, świętowano nieustannie. Coś jakby zaraza radości ogarnęło wszystkie strony i przeleciało przez cały kraj. Pielgrzymki z całego kraju sływały się do przybrzeżnego miasta: by zobaczyć żyda, by pokochać żyda, by być pewnym zbawienia.

Gdy wyzdrowiał zupełnie Pinkas, odziano go bogato i pokazywano odtąd na trybunie cesarskiej tuż obok tronu. Jednak oszczędzano jego zdrowie. Szlachta, mieszczenie, rzemieślnicy, żołnierze, tłumy chłopów i biedaków, także cyganie i włóczędzy, defilowali przed żydem. Ludziska wpatrywali się weń z miłością, umacniali się w poczuciu zbawienia. Odchodzili rozrzuwieni, rozpromienieni. Dla przechowania podarków, które nieustannie płynęły doń z całej Hiszpanii, подарowano mu jeden z największych pałaców w mieście.

W tym czasie nasz szlachcic oglądał sobie dokładnie stroje co pierwszych i przedniejszych magnatów, księży i bogaczy hiszpańskich. Uśmiechnął się pod wąsem. Wszystkie one razem, owszem, nowiutkie, wystawne, nawet przeładowane aksamitami, złotem, bogactwem. Ale nadęte jakieś i nie umyły się nawet do prac Pinkasa co do kroju, smaku, gładkości, co do pomysłów i fantazji. Tymczasem tu nikt nie domyślał się nawet, co wart Pinkas. I po co było się fatygować! Żyda zachciało im się. Cóż za naród bez smaku! bez dowcipu!

Tymczasem wieść o tym wszystkim dotarła do sąsiednich krajów. Dotarła w końcu i do Rzymu. Papież wysłuchał dokładnie relacji. Zaniepokoił się widocznie. Pośpieszył osobiście do Hiszpanii. Otoczony najświetniejszym orszakiem, wśród bicia dzwonów i strzałów armatnich przystąpił do Pinkasa. W rękę miał czarowny ametyst, przed którym wszyscy chyliłi głowy. Patrzył czarnymi, ostrymi oczami tak przenikliwie, aż Pinkasa zakłuło coś poniżej wątroby.

— I to ma być żyd?! — zapytał głosem suchym, ostrym.

Twardy dźwięk tych słów nagle przypomniał Pinkasowi dzieci, żonę i matkę, jakby je zobaczył tu przed sobą.

Jednak wkrótce i Papież rozchmurzył się. Przystąpił do Pinkasa i podarował mu ametyst. Wtedy głowy wszystkich pochyliły się przed Pinkasem.

Dotąd siedział Pinkas wciąż zasmucony, zagryziony, duchem nieobecny. Wówczas rozweselił się także Pinkas. I uśmiechnął się, niewiedomo dlaczego: czy mu śmiesznie było z tych hono-
rów? Czy też rad był, że ów potężny, groźny Papież — der Pojbst — jak go nazywają stare żydowskie księgi — także udobruchał się i że już może koniec tym udęczeniom. Po raz pierwszy uśmiechnął się Pinkas i po raz ostatni. Bo wtedy znów zachmurzył się Papież. Namysłał się i ważył coś długo. Zawołał w końcu:

— Stójcie chrześcijanie! To nie jest żaden żyd! To zwyczajny

drapichrust, to pewnie oszust, a raczej cymbał zuchwały, który zakpił sobie z was i z waszego zbawienia. Wasze zbawienie zagrożone! To nie sztuka pokochać takiego, jak ten. Gdybyście zobaczyli żyda prawdziwego, prawdziwego wroga, wtedy zrozumielibyście, co to znaczy kochać nieprzyjaciół. A ty nieboraku, za to żeś śmiało narażał zbawienie tyłu dusz chrześcijańskich, zginiesz niezwłocznie na stosie.

Zakotłowały tłumy jękiem grozy. Ujęto Pinkasa, związano go. On, pomny słów „Jego” (to jest rabina z Ostrej) zawsze — także pod nowymi strojami — nosił śmiertelną koszulę. Teraz zrozumiał po co. Wówczas odezwał się po raz pierwszy. Zaklinał się, że on żyd najprawdziwszy, że przecież to można sprawdzić. Ale w Hiszpanii nikt żydów nie znał, nikt nie pamiętał żydów. Sprawdzić nie było komu. Odprowadzono Pinkasa do wieży, czekały go męki, a potem stos.

Cesarz łagodzić chciał, nawet kręcił się zakłopotany, jakby nie był panem u siebie, ale nie wiedział co robić. Ostatecznie nikt się za nim nie ujął. Skoro niepewne czy żyd — to . . . Jeden tylko nasz szlachcic ciskał się: Jeśli jego człowiekowi, jego własnemu krawcowi coś się stanie, to Ostra z całym kluczem przejdzie na kalwinizm! Potem dalej jeszcze groził, że jego krewni podniosą alarm na sejmie Rzeczypospolitej, iż jego, szlachcica polskiego, zwabiono podstępnie. Gdy to wszystko nie pomagało, rozjątrzył się ostatecznie i zapowiedział, że ze swym poczem odbije krawca, a nie on będzie wtedy winien przelaniu krwi chrześcijańskiej — z powodu żyda. Może był pewny poparcia cesarza, swego kuzyna.

Tymczasem tłumy ludzi, co biedniejsi, zaczęły się zbierać, szemrać, w końcu nawet wzburzyły się nie na żarty: żyda, żyda nam oddajcie! chcemy żyda, chcemy zbawienia!!! —

Jak uderzenie wałów morskich, głosy te docierały do dostojników. Może pod wpływem tego wszystkiego panowie podzielili się na dwa obozy. Zatem i duchowni co wyżsi prosili Papieża o łaskę. Papież rozmyślił się, kazał przyprowadzić Pinkasa z wieży i tak mu powiedział:

— Człowiecze, daję ci ostatnią sposobność. Możesz udowodnić, że jesteś żydem. Stąd o mil trzydzieści na zachód słońca jest góra bardzo wysoka, a na tej górze jeszcze jedna góra. Musisz wyjść na pierwszą górę, a potem wdrapać się na drugą, ale na sam szczyt, to sobie zapamiętaj! Jeżeli wrócisz stamtąd zdrów i opowiesz prawdę, coś tam widział, toś żyd, to wszystko w porządku. Idź z Bogiem — jeśliś żyd. — Tak mówił Papież.

Wkrótce potem, gdy Pinkas już wyruszył w drogę, przybiegli lekarze, którym powierzono jego zdrowie. Ostrzegali usilnie, że nie wytrzyma takiej uciążliwej wędrówki. Lekarzy wysłmano: co innego, gdyby był żydem. Teraz zagrożone nie ciało, lecz dusze chrześcijańskie. Wam nic do tego.

Pan Karol przerwał i kazał sobie jeszcze dogrzać mocnej, świeżej kawy. Tymczasem przez przepełniony gości mi ogródek

Przecisnął się doń starszy, czcigodny rzemieślnik, garncarz z Pistynia, zwany Januńcio. Ubrany był w odświętną ciemnoszarą czamare szamerowaną, jakie nosiła szlachta zagrodowa. Bo choć nazwisko miał zwyczajne, wiejskie, po matce był szlachcicem. Uważał się za szlachcica.

Mimo poważny wiek, nasz majster sam jeszcze lepiał swe czerepy, a co najważniejsze, w tajemnicy przed wszystkimi, osobliwym, jemu tylko znanym sposobem, barwił pomysłowe i fantastyczne ich wzory. Czytywał czasami gazety, stale czytał żywoty świętych, senniki, lecz także zbiory pieśni ludowych. Miał kilka grubych ksiąg na własność. W codziennym życiu skąpy w słowa, stawał się rozmowny w niedzielę. Chętnie wtedy filozofował z wnukami. Podróż weselna widocznie była dlań świętem. A może wówczas nawet rozszerzył swe rodzinne uczucia.

Przez okulary, oprawione w stary tandetny drut, co ledwie trzymał się kupy, siwe, głęboko osadzone oczy Januńcia patrzyły uważnie i badawczo. Piękną, długą głowę zdobiło wypukłe, mało porysowane czoło. A szlachetności dodawał obliczu śmiały i ostro zarysowany, choć wcale nie wąski nos. I wreszcie z nieoczekiwana wśród tego spokoju fantazja, tęgi wąs rozmachnął się w górę. Gdy miał przemawiać Januńcio, na twarzy jego, na tle niepokalanej naiwności, ujawniało się coś, jakby bolesny wysiłek samodzielnego myślenia. Pana Karolcia znał od dziecka, lecz miał w zachowaniu godność.

— Proszę-ja — mówił wolno i bardzo wyraźnie — i przepraszam w honorze pana sędziego (a był to zwyczaj galicyjski w rozmowie podwyższać rangi i tytuły). Pan sędzia nam to rozpowiada ślicznie, jak panowie-hiszpanowie kłopotali się o zbawienie. A nas by jeszcze od strony krawca koczyło wiedzieć. Co myślał sobie krawiec, ten za przeproszeniem — takie przezwisko trudno jakieś — zawstydził się Januńcio.

— Rarytas — odpowiedział pan Karolcio.

— Za przeproszeniem i proszę w honor-że pana sędziego, rarytas, — powtórzył z poddaniem Januńcio, — panie sędzio, panie radco, kiedy mnie garnek się uda, to bardzo piękne imię fasuje u mnie i u moich dzieci, a kiedy nie daj Boże się nie uda, to my go wcale brzydko nie przezywamy. I proszę-ż w honor-że, jaki ten świat, taki majster ten Pinkas i za to — przezwisko. No tak, ale co on myślał, bo mnie się coś zdaje, że on im się niebardzo odwzajemniał za miłość; ani za prezenty nie był wdzięczny; ani nawet za wielką łaskę Jego Świątobliwości, że zamiast do ognia palącego, posłał go w chłodne góry. To zrozumieć trzeba! Co myślał?

Pan Karolcio zaśmiał się:

— Zaraz, ale czy on w ogóle coś myślał?

Januńcio odpowiedział jeszcze poważniej i z podnieceniem:

— Panie radco, panie nadradco, a któż inny ma myśleć?

Młodziutki student, różowy blondynek, przerwał mu:

— Jeśli tak dalej pójdzie, to wkrótce pan Karolcio zostanie prezydentem apelacji krajowej.

Pan Karolcio rzucił mu twarde spojrzenie. Student zachichotał i schował głowę. Januńcio opanował się, odpowiedział bardzo powoli:

— Proszę-ż ja i przepraszam w honor-że pana akademika. My garncarze nie jesteśmy panami akademikami, a panowie akademicy nie są garncarzami, a jeszcze mniej krawcami. Pan akademik jest uczony, wciąż uczy się, spieszy się, nie ma czasu myśleć. Garncarz już ma trochę więcej czasu, przy lepieniu garnków. Potem musi dać w miech, skakać, barwić, uważać — myślenie przepadło. A krawiec? — zapadnie się na ławce, siedzi i siedzi jak sowa na pokucie. Krawiec to główna myśl. Któż inny ma myśleć, proszę-ż w honor-że i przepraszam.

Pan Karolcio zadumał się ze smutkiem.

— Ha, cóż myślał Rarytas, cóż mógł myśleć Rarytas — rozpamiętywał z przejęciem, aż wszyscy roześmiali się głośno.

— Pytanie słuszne, panie majstrze, ale to chyba jeden Bjumenko będzie wiedzieć, ja nie wiem.

— Pinkas, proszę majstra — odpowiadał Bjumen cierpliwie — tak w książkach stoi, wciąż myślał o swojej robocie. O igłach, o niciach, o kroju sukien. I o fałdach! Aby ich, broń Boże, nie było! W piątek myślał o szabasiu, a potem znów to samo od początku. Więcej go nic nie obchodziło. A co myślał tam, za morzem, w Hiszpanii? Chyba coś myślał i pewnie do rzeczy, tachles, jak się to mówi. To znaczy: o rodzinie, o żonie, o dzieciach... A co jeszcze miał myśleć? Wy to najlepiej zrozumiecie, panie majster: przedtem był sobie krawiec, majster, a teraz co? Żyd, wróg, tylko wróg. A potem co? Już nawet nie żyd, tylko co? To straszne. Ładne myślenie. To już najprędzej nic nie myślał, tylko bał się...

— Jakto? Cały czas bał się? Dzień i noc?

— A jakże. Mało tego, każdą godzinę, każdą minutkę. I to tak długo, aż się dobrze przestraszył. A co do te ot, wzajemności i wdzięczności, to właśnie tamtędy zakręcamy.

— No to właśnie, niech Bjumenko sam dokończy — prosił pan Karolcio, popijając świeżą kawę — bo ja swoje o „panach” już absolwowałem.

Bjumen certował się. Podano mu w lot nową bombę piwa, nowe bułki.

Stary śmiał się znów i tak zakończył:

— Stary ja jestem wagabunda, ale przyznam się panom, kolka mnie przeszywa, kiedy sobie nieraz, sam w nocy, pomyślę, jak ten Pinkas poszedł tamtędy w góry, w to pustkowie. Tam to on już był Rarytas! Oho! rarytas istny, kompletny. Tam nie tylko żyd rarytas, tam w ogóle człowiek rarytas. Nawet zbójców nie ma, nawet wilków nie ma. Jeszcze w dole to jakieś bidne smereki kiwały się nad nim. Wyżej za nim pójść — nie poszły. Wyżej — gołe skały aż do nieba i już. Drapie się on na te skały jeden dzień i drugi. Już ta śmiertelna koszula mokra, — no

już i wyszła, stężała tak rogoża. A on nie umiera. Im wyżej, tym straszniej, bo widać — powrotu nie ma. Szedł tak kilka dni — kto tam wie, jak długo. Aż doszedł do wierchu, myślał, że odpocznie. A co mi to za wierch, parę kamieni ostrych jak noże, ani sięgać ani stać nie ma gdzie. A dalej i wyżej znów przestraszył taka góra iglasta, pełna lodu, choć kraj tam, powiadają, gorący. Idzie dalej, — ale gdzie tam idzie! drapie się, sam podrapany, posiniaczony, poraniony. Nogi sobie powykręcał, ręce odmroził — tak to. — Ale się raz dobrze przestraszył, to się już nie boi, to mu wszystko jedno. Powoli krok za krokiem lezie, jak mrówka po ścianie. I nawet dobrze mu tam. Co? Śmiejecie się państwo, że świeże powietrze? Nie to, tylko może, że od wariacji ludzkiej daleko, od całej ludzkiej doli... No i nikt nie wie, jak długo tam się drapał. A tam na górze, o dziwo, równo było i przestronnie. Rozgląda się dalej i widzi coś jakby ślad ludzkiej roboty: kamienie ułożone równo, starannie niby stół. Przychodzi bliżej, oczom ledwie wierzy. Tam tak pisało po hebrajsku: że oto tu grób starodawny arcykapłana Arona. I napisane na kamieniu słowo wielkie, święte. A jeszcze tam coś tak pisze, że wolno by je wymówić takiemu, co tu przyjdzie... Padł na kolana do modlitwy, wzniosł oczy do nieba. I wtedy zobaczył gdzieś tam daleko, głęboko w powietrzu coś takiego, na co on jeden miał oko. Oto wielka, groźna, straszna fałda zagięła się i wisiała nad Hiszpanią całą i nad światem.

To-ci, bratku, fałda! W sam raz! Jaka czarna! Co znaczy czarna? Węgiel naprzeciw niej, to nie więcej jak ta biała bułka. Jeszcze mnie: węgiel to czysta maca wielkanocna. Jakaż czerwona! Co znaczy czerwona? Rozpalone żelazo to tylko różowe wnuczátko od tej czerwieni. Główna fałda! Od niej wszystkie fałdy.

Wtedy przeraził się, zapłakał, modlił się i jęczał, prosił, aby Pan Bóg oddalił tę fałdę. I niech z nim dzieje się, co chce i niechaj z jego rodziną dzieje się, co Bóg da, niech tylko ta fałda rozegnie się i rozprasuje. I — jak to się stało, nikt nie wie — ale piszą książki stare sprzed dwóch setek lat, Pan Bóg wejrział na biednego krawca, na jego modlitwę. Czy też może „On”, sam rabin z Ostrej w to się wdał? Rozeszła się fałda, wyglądała się, było jasno, wesoło, dobrze na świecie. A widno mu było stamtąd daleko — daleko na boży świat.

Krawiec spokojnie zeszedł sobie drugą stroną góry, dobrym szerokim płajem aż na doliny. Tak powoli doszedł do cesarza, do papieża i do swego grafa. Graf bardzo ucieszył się swym krawcem, cesarz był łaskaw na rarytasa. Papież patrzył długo, bystro. Czekał, co powie żyd. A gdy Pinkas powtórzył mu wszystko dokładnie, do cotu,*¹) zadumał się Papież. Powiada w końcu do Pinkasa:

— Mój żydzie, tak, to wszystko prawda. Jesteś żydem, wszystko w porządku. Możesz iść sobie do swego pałacu, żyć spokojnie.

*¹) do ostatniego karbu (=do ena).

Nam to jedno tylko koniecznie powiedz: czego pragniesz? Wszystko ci będzie spełnione, abyś nie został bez wielkiej nagrody!

Pinkas swobodny był, jak nigdy dotąd. A tak wesoly, jakby mu się udał najlepszy garnitur dla jaśnie pana grafa. Miał ochotę zaśpiewać. Może i zatańczyłyby sobie. Zamiast tego powiedział panom:

— Kochani panowie, Bóg z wami! Wy panie Papieżu i panie Cesarzu i mój własny jaśnie panie Grafie! Ja was naprawdę bardzo lubię! I teraz wszystko rozumiem. I właśnie dlatego mam do was taką prośbę od serca: przyjmijcie ode mnie te skarby, któreście mi nadawali i wy i inni panowie tutejsi i ci poczciwi tutejsi ludzie: — te pałace, te wielbłądy, te konie, te brylanty i perły i sukna i aksamity i wszystkie wspaniałości. I zróbcie z tym co sami chcecie. A nie najprędzej, już zaraz odstawcie do kraju mego, do samej Ostrej, do mego rabina! I pokój z wami — szolem alejchem!

Może panom tym wielkim było to nawet trochę przykro, ale słowo się rzekło. I znów pojechał Pinkas przez wody, przez góry, przez ziemie dalekie, tu do Polski, do naszego kraju. I już się nie bał Pinkas, wcale. A choć zmęczony był, śpiewał sobie nieraz. A gdy przyjechali wreszcie do Ostrej, choć była już noc, wcale nie poszedł ani do rodziny, ani do dworu, tylko wprost pognął do „Niego”, do wielkiego Rabina.

„On” nie spał wcale. „On” wiedział wszystko. Oderwał oczy od książki, wznosił je ku niebu. W izbie zrobiło się jasno jak w dzień. Powiada „On” cicho:

— Czemużeś jeszcze nie czekał? Czy wiesz, że gdy ta fałda nad światem, Mesjasz jest wtedy najbliższej świata?

Potem dał znak ręką, w izbie pociemniało.

Pinkas poszedł sobie spać do swojej rodziny. Tak piszą książki stare i taka jest historia prawdziwa o rarytasie — moi panowie.

Bjumen nie śmiał się hucznie jak zwykle, zadumany milczał przez chwilę, wpatrzony w próżną szklanicę. Po czym wstał nagle, popatrzył na niebo:

— Haj! Południe minęło już, Bukowiec przed nami, trzeba nam powoli ruszać dalej. Idę zwoływać moje pasażery i kumpany. Dziękuję państwu za piwo. I jeszcze panu Karolciowi dziękuję, że mi pomógł w tym gadaniu, ha, ha, ha.

— Dziękujemy Bjumenku za rarytasa i daj wam Boże zdrowieczko.

Bjumen przerzucił swą ciężką baranicę przez ramię i zwrócił się wielkimi krokami ku wyjściu. Jasnowłosy student uchwycił sposobność dla dowcipu. Zawołał za Bjumenem:

— Wszystko ładnie, Bjumenie. Rarytas na rarytasie, ale baron Rotszyl i baron Hirsch nie tacy już biedni.

Bjumen odwrócił się, zaśmiał się głośno.

— Ej, paniczu. To są takie interesy, które by trzeba zrozumieć. Oni wcale nie Żydzi.

Student zaciął się na chwilę, potem zmienił wiatr.

— Cóż wy opowiadacie? A któż odbudował szpital w Czerniowcach i cheder w Kołomyi? Żydzi są i to lepsi.

— Lepsi czy nie lepsi, a wcale nie Żydzi, tylko to sobie przyczepili dla honoru.

— Dla jakiego honoru? — nadał się student — przeciwnie, to ludzie wykształceni, eleganccy, a Żydów protegują, są względni i dobroczynni.

— Ja nic nie mówię — śmiał się Bjumen — dla ludzi oni dobrzy, a Panu Bogu co z nich przyjdzie? Ha, ha, ha...

Machnął rękę, wyszedł pośpiesznie.

Stanisław VINCENZ.

UWAGA. — Legenda ta, opowiadana przez górskich chasydów, jest pochodzenia dawniejszego niż chasydyzm. W swoim czasie prof. Szejerson zwrócił mi uwagę, że należy ona do kręgu opowiadań zgrupowanych wokół wielkiego Rabina z Ostrej z XVII wieku i że znalazła swój wyraz w ówczesnym żydowskim piśmiennictwie. Czerpiąc z tych ksiąg prof. Szejerson podał mi wiele szczegółów nieznanymi naszym opowiadaczom.

„POD PRĄD”

(wychodzi 3 razy w miesiącu)

Pismo polskiej myśli niepodległej w Szwajcarii

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

FRIBOURG 1, case 155, SUISSE.

DO NABYCIA:

FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e
(cena 25 fr.).

NIEMCY: Administracja «Universum», Waldhornstr. 25,
München-Allach. (mies. 2 DM., kwart. 6 DM.).

W. BRYTANIA: Pokrzywy Londyńskie, 49, Mill Hill
Grove, London W.3. (cena 6 d.).

BELGIA: Księgarnia Polska, 42, rue Defacqz, Bruxelles,
(cena 7 fr.).

WŁOCHY: Jan Grochowski, via della Croce 81, Roma.
(cena 60 lirów).

O Sieroszewskim na Kołymie

Poniżej drukujemy fragment książki pt. «KSIĄŻKA O KOŁYMIE», która w niedługim czasie ma się ukazać w Stanach Zjednoczonych w języku angielskim.

Na funkcji felczera nastąpiła nagle zmiana. Jedna znakomitość odeszła, nastąpiła nowa. Był to Polak, przybyły na Kołymę w 1940 r. pierwszym okrętem sezonu, to jest „Dalstrojem”. Posiadał paragraf „życiowy”, a że skończył w Armii Polskiej bez mała pół kursu sanitarnego, został naturalnie jako fachowiec, felczerelem.

Ten to „eskulap” posłał mnie na zbadanie do szpitala, który znajdował się o 18 km. od Kadak Czanu na komandirówce Belik Czan.

Otrzymałem kartkę z odpowiednim napisem. I — poszedłem sam, jeden jedyny! Nie pilnował mnie nikt! Nikt nie odprowadzał. Ruszyłem drożyną pełną wybojów. Strzegła mnie tajga. Tajga z lewej strony, tajga z prawej. Zabłądzić nie można — nie ma innej drogi. Szedłem potulny i upokorzony z powodu tej potulności.

W Belik Czanie kilka baraków i wielki koło nich ruch. Nad Belik Czanem cała masa skowronków, które krzyczą jak opętane. Skowronki drą się przez 22 godziny na dobę. Dzień polarny o tej porze wydaje się nie mieć końca. Słońce dogrzewa dość dotkliwie, ale w cieniu na kałużach stoi lód.

W jednym z baraków znajduje się szpital. Przychodzę, zgłaszam się, przyjmują mnie. Stanowią sensację. Jestem pierwszym Polakiem, którego tu widzą.

— Słyszeliśmy, słyszeliśmy — mówią — że już Polacy przyjechali. Dawnośmy na was czekali, zaraz jak wyczytaliśmy o oswobodzeniu Polski. Czekaście, mówiliśmy, niech tylko Morze Ochockie odmarznie, zaraz mieć tu będziemy oswobodzonych Polaków.

— Tak, tak — potakuję dobrotliwie — istotnie pierwszym za-raz statkiem, który otworzył tegoroczną żeglugę, przyjechała pierwsza grupa Polaków. Drugi statek przywiózł drugą grupę, wśród niej mnie.

...*W pół roku potem gruchnęła wieść: Łotwa i Estonia zostały oswobodzone! Wieść przeszemrała przez komandirówkę i*

poszła na miejsce pracy, szeroko kolportowana, omawiana i komentowana.

Ludzie przy ogniskach, więźniowie i niewolnicy — gawędzili i tym, że Łotwa i Estonia są już również wolne.

Morze Ochockie jest teraz zamrożone i żegluga obecnie nie ma... Połączenie z „matierikiem” (kontynentem) nie istnieje. Ale jak tylko droga się otworzy — należy oczekiwać przybycia tutaj oswobodzonych Estończyków i oswobodzonych Łotyszów. Istotnie przybyli, w czerwcu następnego, tj. 1941 roku...

Leżę więc pierwszy raz w kołymskim szpitalu. Jest mi dobrze, tylko dlatego, że nikt mnie nie pędzi do roboty. Trochę za dużo pluskiew kapie z powały. Ale za to jedzenia jest za mało. Oprócz tego rozmowy, zapoznanie się ze środowiskiem i wyrabianie sobie „stosunków”, które przydadzą mi się w przyszłości — znajduję się bowiem jeszcze w tym samym szpitalu — w styczniu przyszłego roku.

Pomieszczenie narodowości i istna Wieża Babel w tym szpitalu. Najwięcej oczywiście Ukraińców, przecież co drugi człowiek na Kołymie, to Ukrainiec, a dopiero ta druga połowa składa się z kilkudziesięciu narodowości.

Wychodzę na dwór i siadam na ławeczce. Obok, na drugiej ławeczce siedzi kilku ludzi. Wśród nich człowiek bez nogi, o kuli. Węgier-Komunista. W błogosławionym, fantastycznym humorze. Sieje dowcipami i wszyscy śmieją się gromko. Mnie zaś dziwi to, że — jemu samemu jest aż tak wesoło?! Nogę obcięli mu tydzień temu, a człowiek ten, aż rzy z uciechy... Teraz mnie to zastanawia, ale kiedy następny raz będę w tym szpitalu, przestaną się dziwić temu wspomnieniu, jak przestaną się dziwić samemu sobie.

Nadchodzi „bańszczyk”, łąziebny, ażeby zaprowadzić nas do kąpieli. Nie ma kończyn palców u obu rąk, a pozostałe resztki tych palców są czerwone, obrzydliwe. Amputowano mu palce, które odmroził. Takich odmrożonych palców i poobcinanych u rąk i nóg widzę w szpitalu b. dużo. Na dobrą sprawę „leczenie”, czyli: odcinanie odmrożonych kończyn, to główna racja istnienia szpitala. Łąziebny, którego zajęcie nie jest wcale synekurą, a przy poobcinanych palcach musi być nieraz męczarnią, ma również beztroskie oblicze. Ja zaś nie rozumiem jeszcze dlaczego Węgier jest w świetnym humorze, a bańszczyk ma jasną twarz?

Bardzo słabo mówiłem wtedy po rosyjsku.

Jeśli ktoś zwraca się do mnie w poprawnym, literackim języku, rozumiem bardzo dużo. Trudno mi jeszcze się wysłowić, a w akcentach jestem zablakany, jak w tajdze, ale rozumiem; dlatego wcale dobrze wiem, co mówi człowiek, który przysiadł do mnie, człowiek o skośnych oczach i mongolskich policzkach.

„Skąd się tu wziął Japończyk”? — Zdumiewam się niepomierne.

— Chciałem zapytać się pana, czy Waclaw Sieroszewski żyje jeszcze? — Człowiek o skośnych oczach uśmiecha się do mnie bladą, szarą twarzą.

... *Dziś nabrawszy uprawy, potrafię odróżnić Buriato-Mongola od Chińczyka, Kazacha od Turkmena, Chińczyka od Japończyka. Lecz i dziś nie potrafiłbym odróżnić Japończyka od Jakuta, gdyby obydwaj stanęli przede mną — tak bardzo są podobni...*

Mój rozmówca jest Jakutem, a nie Japończykiem. Dziwny to grymas biurokracji więziennej, że jego, Jakuta, zawieziono akurat na peryferie Kraju Jakutów.

Staram się mówić jak najwyraźniej:

— Waclaw Sieroszewski żył w 1939 roku, był prezesem Polskiej Akademii Literatury. Dlaczego o to pytaacie?

— Jestem Jakutem, a my Jakuci znamy nazwisko Sieroszewskiego. Jest to przecież człowiek, który pierwszy napisał i wydał pierwszą w świecie książkę o Jakutach.

I pada ambarasujące pytanie:

— Czy Sieroszewski wydał drugi tom swego dzieła? Pierwszą część czytałem w bibliotece w Leningradzie.

A ja nie wiem, co odpowiedzieć. Wstydzę się tego (i wtedy się wstydziłem), ale nie wiem nawet tego, że miał być napisany drugi tom. Daję wymijające odpowiedzi i widzę przed sobą oczy rozczarowane. Drugi tom? Zasłaniam się pytaniem:

— Kim jesteście?

Nazwisko moje Potapow: wszyscy Jakuci noszą noszą rosyjskie nazwiska, a raczej nazwiska sztucznie na modłę rosyjską urobione. Pierwszą cywilizację, jaką nam Rosjanie przynieśli stanowiły: cerkiew i spirytus. Potem całe wieki nic, aż wreszcie chleb i nazwiska rosyjskie.

— Ale ja się ciągle dziwię, że wiecie o Sieroszewskim.

— Jestem Jakutem, byłem członkiem — jakby to na wasze pojęcie określić rządu republiki jakuckiej, mieszkałem kilkanaście lat w Moskwie, redagowałem tam czasopismo jakuckie. Znam całą literaturę, dotyczącą mojego narodu. Jest przecież tego nie wiele. Jakże więc mógłbym nie znać książki Sieroszewskiego? Zresztą przebywał on na zesłaniu niedaleko stąd; jakieś 600 km. na południowy zachód.

Zorientowałem się, że u tego źródła będzie można zaczerpnąć autorytatywnych informacji. Z ostrożności pytam jednak na razie o inne rzeczy.

— Czy Jakuci wiedzą coś o Polakach?

— Warstwa Jakutów oświeconych posiada dość dużo wiadomości i stara się rozszerzyć ich zasięg. Czujemy sympatie do waszego narodu. Wasi ludzie zsyłani tutaj, nie oddawali się wyłącznie pijaństwu. Co drugi umiał leczyć choroby ludzkie i zwierzęce. Byli wśród nich ślusarze, cieśle, monterzy, rusznikarze, wyprawiacze skór. Wszyscy umieli czytać i pisać i było wśród nich wielu znakomitych myśliwych. Jakuci o tym wie-

dzą i pamiętają. Polacy są u nas do pewnego stopnia popularni. Przebywacie obecnie w łagrze nad Kadak-Czanem. Czy wiecie, że jeszcze dwa lata temu o 40 km. od Kadak-Czanu znajdowała się jakucka jurta, w której żył Polak, bardzo stary?

Potapow sili się widocznie, ażeby powtórzyć nazwisko i wymawia je zupełnie poprawnie:

— Jego nazwisko brzmi: Krzyżanowski. Przybył kilkadziesiąt lat temu w te strony, osiadł wśród Jakutów, ożenił się, ma dzieci i gromadę wnuków. Leczył, zamawiał jakuckie strzelby. Kiedy doprowadzono drogę do Kadak-Czanu Jakuci opuścili osadę i przenieśli się dalej w głąb tajgi — uciekają bowiem od cywilizacji, od takiej cywilizacji.

— A więc powiadacie, że Jakuci odnoszą się życzliwie do Polaków?

Spojrzał na mnie przenikliwie. Więźniowie wszystkich narodów łączcie się! Więźniowie wszystkich narodów — rozumieją się. Potapow daje odpowiedź na pytanie, którego wcale nie zadałem:

— Niestety, widzicie, dzisiaj Jakuci tępią uciekinierów nielitościwie. Nie pytają ich o narodowość, ani o pochodzenie, ani o zamiary, ani o obyczaje. Będziecie słyszeć na ten temat straszne opowieści w łagrach. Ale nie wierzcie, że Jakuci tępią uciekinierów jedynie dla uzyskania nagrody, jak bowiem wiecie, władze wypłacają premie za każdego ukatrupionego uciekiniera...

— Nie, nie wiem.

— Dowiedzie się wkrótce. Obecnie nagroda wynosi 5 rubli od głowy. Ale pieniądze nie znaczą nic. Ważne jest to, że oprócz pieniędzy, NKWD wydaje butelkę spirytusu i paczkę herbaty, co jest niezwykle łakome. Powiedzenie, że nagroda przewidziana jest „od głowy” należy rozumieć dosłownie i bez żadnej przenośni. Mianowicie, aby zdobyć premię, trzeba przynieść do placówki NKWD odciętą głowę uciekiniera. Dawniej wystarczało prawe ucho, teraz to już jest za mało...

Taka to, o niezwykle pogodnych nastrojach rozmowa odbywa się na ławeczce w osadzie szpitalnej, znanej Belik-Czan.

— Ucieczka w tych stronach bez pomocy ludności jest zupełnie beznadziejna. Nie znam wypadku, ażeby się powiodła. Na południe, do Morza Ochockiego w linii prostej, powietrznej, jest około 600 km. Do Oceanu Lodowatego jeszcze więcej. Do Alaski w linii powietrznej 1600, przypuśćmy 1800 km. Na południowy zachód, do pierwszych większych osiedli ludzkich 800 km. Wszystko dookoła, to jedna tajga. W tajdze nie można uciekać, zwłaszcza latem. Teoretycznie można by zaryzykować ucieczkę wyłącznie w zimie, kiedy rzeki są zamrożone, tajga również, a miliony rozpadlin zasypane śniegiem i wyrównane. Morze Beringa zamarza w styczniu, kiedy Cieśnina Beringa stoi już pod lodem. Cieśnina Beringa ma w najwęższym miejscu sto kilkadziesiąt km. szerokości. Z jednej strony półwysep Czokocki, z drugiej Alaska, a na Alasce miasto Nome.

— Czy Jakuci używają psich zaprzęgów?

— Pan jeszcze nie widział? (Jakut od dłuższej chwili używa słowa: „gospodin”). Oczywiście używają i to w bardzo szerokim zakresie. Ale bogactwem Jakuta są renifery. Najuboższa rodzina — u nas panuje system patriarchalny — posiada po kilkaset reniferów. W 1938 roku do jednego z bogatszych Jakutów, którego jurta znajdowała się o kilkadziesiąt kilometrów od Arkagały, gdzie obecnie wydobywa się węgiel, dotarła wiadomość, że NKWD ma przysłać komisję dla rejestracji jego reniferów. Taka rejestracja oznacza, że po jakimś czasie posypią się podatki, rekwizycje i konfiskaty. Jakut zakrzętnął się żywo. Zebrał całą rodzinę, licząc kilkadziesiąt osób, wpakował całą ludność osiedla na sanki i wśród polarnej nocy ruszył na wschód. Uciekł na Alaskę, prowadząc ze sobą 6 tysięcy jeleni...

Bagatela, myślę! Cała brygada jeleni! To ani 60, ani 600, ale 6000!

— Jeleń (tak po rosyjsku nazywają Jakuci renifery) w zaprzęgu może zrobić 12 km. na godzinę, a potrafi biec 10 godzin bez przerwy. Za miesiąc, półtora, byli na Alasce.

Tak sobie rozmawiamy. Na niby. Niby niewyraźnie, niby półsłówkami. Czasem padają odpowiedzi na pytania, których nie zdążyłem zadać. Potem obrabiamy inne tematy.

— Opowiem wam pewien szczegół, który was, gospodin, prawdopodobnie zainteresuje. Cały kraj tutejszy, to kraina złota. Jakuci posiadają wiadomości o nieprzebranych pokładach złota. Wszystkie inwestycje rosyjskie robione są tutaj dla jednego celu: eksploatacji nieprzebranych odkrywek złotowych. Ba, u Rosjan złoto jest w cenie, natomiast u Jakutów nie. Dla tubylców złoto nie przedstawia żadnej wartości. Jako metal jest ono zbyt miękkie, a jako ozdoba nie podoba się, bo jest zbyt pospolite, ale, jak wszyscy, tak i Jakut ma instynktowne ulubienie piękna, uznaje potrzebę ozdabiania i stroju. Uprząż koni jakuckich, jakuckie siodła, kolby strzelb i pistoletów są bogato inkrustowane. Charakterystyczna rzecz — nie złotem, tylko srebrem. I co powiecie o tym gospodin, że ta inkrustacja, owe srebro nabite już na siodła, na uprząż, czy na kolby, nazywa się po jakucku... polskim srebrem?

— Jak to wytłumaczyć?

— Zastanawialiśmy się nieraz nad tym. Najstarsi ludzie mówią, że to już nazwa dawna. Może ktoś z waszych uczonych tym się zainteresuje. Zapamiętajcie to sobie. Może się wam, gospodin, uda wyjść z tego piekła? Chociaż...

W głowie Potapowa nuta żaloby:

— Chociaż wy już nigdy nie zobaczycie Krakowa!

Ach ten refren!

— Więc znajdujemy się w kraju Jakutów? — indaguję dalej.

— Nie zupełnie. Nie dokładnie. Na południe od nas, nad rzeką o tej samej nazwie, leży miejscowość Biro-Loch. Jest to nazwa jakucka i oznacza: „Wilcza Woda”, „Wilcza Rzeka”. „Loch” po jakucku to rzeka, jezioro — w ogóle woda płynąca lub stojąca. Natomiast nasz szpital zbudowany jest nad rzeczką Belik-Czan, pan zaś przebywa nad rzeczką Kadak-Czan, a to są już

tunguskie nazwy. Po tungusku „czan” znaczy to samo, co po jakucku „loch” — woda, rzeka, jezioro. Tutaj, w Belik-Czanie, jesteśmy właściwie na ziemi niczyjej. Z zachodu zapuszczają tu zagony koczownicy jakucy, z północy i ze wschodu tunguscy. Do oficjalnych granic republiki jakuckiej mamy około 200 km.

Taka moja była pierwsza i jedyna rozmowa z Jakutem. Zdaje sobie sprawę, że gdybyśmy spotkali się w pół roku później, nie byłby on rozmawiał ze mną z taką szczerością. W pół roku później Polak, przywieziony bezpośrednio z Europy, przestał być rewelacją.

... Jeszcze potem miałem sposobność kilka razy się zetknąć z Jakutami.

W kilka tygodni później, opodal drogi kadak-czańskiej, na kawatku tajgi, który ryzykownie nazwę polaną, zasiadło kilku naczelników N.K.W.D. i duża grupa urzędników. Z pośród waltłych drzew wyłonili się Jakuci, prowadzący tabun koni. Komisja oglądała je i kwalifikowała. Jakuci kręcili się wówczas przez kilka godzin po Kadak-Czanie, a koniki ich rwały oczy — i „polskie srebro” na siodłach! Potem zniknęli, zapadli się w tajgę.

Innym razem dosiadłem się do samochodu, wiozącego całe towarzystwo jakuckie, złożone z kobiet i mężczyzn. Jak wywnioskowałem z ich słów, była to jakaś delegacja, która wracała z Moskwy. I wśród nich widok Polaka wywołał poruszenie. Zapytałem, czy znali Potapowa? Znali, pokiwali głowami. Powiedzieli, że umarł. Gruźlica, choroba, przywieziona z Europy! Potem musiałem jednak wysiąść...

Wreszcie kilka razy widziałem klasyczną karawanę jakucką: pochody reniferów. Na przedzie zaprzężone w parę reniferów — malutkie sanki, nie wiele większe od bobsleighowych. Jeden tylko człowiek siedzi na takich saneczkach, lub też leżą dwa, czy trzy napełnione worki. Do sanek z tyłu, przywiązana na sznurze druga para reniferów, ciągnie następne sanki. W ten sposób wije się łańcuch kilkudziesięciu sanek, którym towarzyszy dwóch ludzi. Za saniami biegnie luzem duże stado reniferów — to zmiana do przeprowadzenia.

Kiedy karawana przyjeżdża na miejsce postoju, jelenie puszczone są samopas. Ludziom ani w głowie dostarczać im paszy. Renifery same rozbiegną się, rozkopią śnieg, dostaną się do mchu. Gryzą mech, obiadają korę z drzew i to jest ich pokarm.

Na dalekich komandirówkach robotnicy, wychodzący do pracy na drogach, napotykają „bobki”, leżące szczerze na twardej nawierzchni. To ślad, iż przechodziła tędy niedawno karawana.

Czasem z daleka słychać delikatne, nikłe dźwięki dzwonczków:

— Karawana idzie po rzece — mówią niewolnicy.

Albowiem nie droga, usypana rok, dwa, najdalej trzy lata temu, jest szosą, gościńcem i traktem jakuckim. Droga, to zbyt świeży wymysł. Traktem, gościńcem, szosą jakucką jest zamarz-

nięta rzeka. Na niektórych odcinkach trasa drogi tak niedawno usypanej wiedzy tuż koło rzeki; rzeka wiję się najbardziej fantazyjnymi zakrętami, droga idzie prosto, ścinając te zakręty.

A jednak Jakuci nie schodzą na krótszą drogę — zaprzęgi ich śmiglej ganiają po lodzie zamarznętej rzeki.

Cichutkie, przenikliwe dźwięki dzwonek słyszą z daleka ludzie, pracujący na drodze. Opierają drewniane łopaty i kilofy o zwalę śniegu i wstuchują się:

— Karawana idzie po rzece!

W tych słowach dźwięczy czarna melancholia katorgi...

Anatol KRAKOWIECKI.

„KRONIKA”

niezależny tygodnik demokratyczny.

Adres redakcji i administracji:

Eppstein-Taunus, Hotel Bienberg
US Zone, Germany.

Przedstawicielstwo we Francji:

Librairie «LIBELLA», 12, rue St-Louis en l'Île,
Paris IV^e (Metro: Sully Morland). Prenumerata
roczna 480 frs., półroczna 240 frs. Cena pojedynczego egz. 10 frs.

Prenumerata zagranicę wpłacana w markach na terenie Niemiec kosztuje rocznie 52 DM.

POLSKA

PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNIE

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism wychodzących na emigracji, m. in. *KULTURY*, *WIADOMOŚCI* i *ORLA BIAŁEGO*.

Zmartwienia pesymisty

Między 1919 a 1939 r. oblicze Polski uległo głębokim przeobrażeniom. Z tych reform jedna tylko zasługuje na bezwarunkowe uznanie: zlikwidowanie analfabetyzmu, zapewne to przesada, że w 1914 r. ludność Polski nie umiała czytać i pisać; ale w każdym razie w ciągu 20-lecia niepodległości procent „niegramotnych” zmalał z przeszło 30% do około 10%. W 1939 r. analfabeci rekrutowali się głównie z ludzi starszych, a właściwie starych (przeważnie kobiet); w młodszym pokoleniu istnieli tylko na ziemiach wschodnich.

Natomiast inne reformy, choć właśnie dekretowane głównie pod hasłem planowania, grzeszyły i brakiem wszelkiego planu, i nawet jasnej świadomości zamierzeń i celów. W ciągu 20 lat przekształciliśmy Polskę w państwo urzędnicze z pensją na 1-go jako ideałem: kto tego pragnął? Zniszczyliśmy inflacją nasz stan średni — któż do tego dążył? Etatyzmem zarznięliśmy prywatnego przedsiębiorcę, polskiego businessmana: znowuż nie wiedzieliśmy co robimy. Systemem podatkowym okroiliśmy szczupłe polskie kapitały: cui bono? Wreszcie polityką cen spauperyzowaliśmy rolnika, nie tylko „obszarnika”, ale i tego chłopca, któremu wszyscy politycy palili kadzidła. Raz jeszcze: przez nieprzemyślenie zagadnienia raczej niż świadomą wolę.

Reformy w Polsce były wynikiem nie planu, nie świadomej woli, ale 1) demagogii, 2) instynktownej chęci biurokracji rozszerzania swych agend, władzy i liczebności, 3) podświadomego antysemityzmu, 4) najopaczniej pojętego patriotyzmu, wyrażającego się w prymitywnym hasle „obrony państwa”.

Te czynniki grają nadal i będą grały w dalszym ciągu, nawet po wyrzuceniu komunistów, — z wyjątkiem może trzeciego, tj. antysemityzmu, który stracił w Polsce wszelkie pozory sensu i racji bytu. „Reformy” komunistów płyną dalej z tychże przesłanek. Demagogiczność nadal króluje, stworzono nową, licniejszą i znacznie gorszą biurokrację, w selekcji której już wyłącznie odgrywają rolę momenty polityczne, wreszcie „obrona państwa” zastąpiona raczej hasłem obrony reżimu, służy za parawan dla najdzikszej swawoli, najkardynalniejszych głupstw. Myśli reformatorskiej jak nie było tak nie ma.

Nie chcę jednak pisać o nikczemnej agenturze, która obecna Polską rządzi (o ile Moskwa jej na to pozwala): wolę się prze-

nieś myślą do tej epoki szczęśliwszej gdy Polska się spod dyktatury czerwonej wyzwoli. Jakie reformy, jaki ustrój należy na te przyszłe czasy zalecić?

Nie żebym sądził, iż istnieją poważne szanse dla prawdziwej akcji reformatorskiej w przyszłej Polsce. Nasze stronnictwa — do których zaliczyć trzeba i tych, którzy partiokrację zwalczają, tj. epigonów tzw. obozu sanacyjnego — w dalszym ciągu, i coraz silniej, ulegają wpływowi podstawowego prawa naszego życia politycznego, tj. ruchom odśrodkowym; zamiast łączyć się i współpracować przeżywają rozłamy, kłóca się coraz zawzięciej nawet wówczas, gdy nikt nie może przedmiotu sporu dostrzec, przeistaczają się coraz bardziej w niepodległe kapliczki, pozostające w wojnie ze wszystkimi. Sklecenie koalicji, cóż dopiero „jedności” nie będzie rzeczą łatwą. Skądinąd nie wygląda też na to, by jedno stronnictwo miało poważniejsze szanse na uzyskanie w wolnych wyborach znacznej i trwałej większości. Socjaliści już choćby ze względu na szczupłość ludności robotniczej w Polsce na taką większość liczyć nie mogą. Ludowcy też nie mogą zdobyć wyłącznych rządów w kraju, w którym tylko 60% ludności żyje z roli; ponadto ludność rolnicza jest zawsze mniej aktywna i wpływowa politycznie od innych. Stronnictwo narodowe wydaje mi się jedynym, które teoretycznie mogłoby o zdobyciu takiej większości marzyć; ale jego dotychczasowe niepowodzenia, nieumiejętność zgrupowania dookoła siebie ludzi o odmiennej od narodowców przeszłości, każe wątpić, by zdołali oni kiedykolwiek w przyszłości swe potencjalne możliwości wyzyskać. Grupki „sanacyjne” na wyborcze sukcesy liczyć nie mogą. Komuniści będą w wolnych wyborach zmiażdżeni. Duże możliwości mogłoby mieć w teorii stronnictwo katolickie; atoli sztab tzw. Partii Pracy jest zbyt kieszonkowego formatu, by bez radykalnej przebudowy ruchu chadeków powstanie silnego ugrupowania centrowego było możliwe.

W tej sytuacji będziemy zapewne świadkami w Polsce rządów słabych, w znacznej mierze urzędniczych, przy akompaniamencie nieokiełznanej demagogii partyjnej. Kombinacja: słaby, trwożliwy rząd, złożony z ludzi przypadkowych i błądzących, niepewny nigdy jutra (choć właśnie siłą bezwładu niekiedy ministrowie mogą urzędować latami) i przeżarty demagogią parlament jest oczywiście najgorszą ewentualnością, i możliwość racjonalnych reform z góry wyklucza.

W każdym państwie i w każdym ustroju musi być pewna klasa rządząca, która stanowi trzon społeczeństwa, której interesy i nastroje w przeważnej mierze przesądzają działalność rządu. W Polsce tą klasą rządzącą może być tylko inteligencja, przede wszystkim urzędnicza i oficerska, niemal w całości wpatrzona w ideały pensji na 1-go i emerytury. Burżuazja była zawsze u nas słaba: co prawda właśnie antysemityzm ją osłabiał, bo w dużej mierze była żydowska — i zniknięcie Żydów w teorii pozwalałoby sądzić, że narodziła się mocna, sprężysta klasa sklepikarzy, przedsiębiorców, businessmenów, która mogłaby z czasem

ująć rządu w swoje ręce. Proces ten wymagałby jednak lat — a w międzyczasie biurokracja go skutecznie zdusi. Przy pomocy demagogii, rządu i stronnictw, inteligencja bez zawodu rozbuduje nową klasę urzędniczą, olbrzymią, źle płatną, mało wydajną, nieudolną, ale wszechwładną. Sądzę, że główną treścią naszych walk politycznych w przyszłej Polsce będzie podział posad pomiędzy reemigrantów (podzielonych na niezliczone kamarylle), beati possidentes z czasów bierutowskich i weteranów z ruchu podziemnego. Każda z tych grup, ba niemal każda jednostka z tych ugrupowań zmobilizuje poparcie wpływowych stronnictw i polityków. W szczególności wynagradzanie zasług za różnego rodzaju „opór” już z góry przesądzi o charakterze tej Trzeciej Polski. Wszak mamy precedens Legionistów i Peowiaków, a było ich razem zaledwie 20 tysięcy. Przypuszczam że znowuż pójdziemy po tej drodze. Ta administracja będzie zła, droga, przeżarta polityką. Będzie przedmiotem powszechnych narzekań, ale założyłbym się że tak będzie. Administracja ta sprowadzi na Polskę jej chroniczne w XX w. nieszczęście — tj. potworne przeciążenie podatkowe. Już przecie obecna — po rujnującej inflacji, po faktycznym odpisaniu wszystkich długów, zobowiązań i tytułów własności, po wymarcu większości emerytów i ściągnięciu niedobitków do najniższego poziomu nędzy, Polska jest już krajem przeciążonym podatkowo, o nadmiernie rozbudowanym aparacie biurokratycznym. Już teraz, gdy zaledwie w r. 1945 miała wyjątkowe warunki na to, by tej zmory uniknąć.

Wydatki wojskowe są zawsze elementem kardynalnym przeciążenia podatkowego, a „obrona państwa” najłatwiejszym usprawiedliwieniem złej i szkodliwej polityki gospodarczej. Na krótką metę, w okresie depresji i w bardzo rozbudowanych przemysłowo krajach dobrojenie może być czynnikiem ożywienia — tak było w Niemczech za Hitlera. Rzecz jasna, ten sam skutek koniunkturalny wywarłyby i wszystkie inne inwestycje przemysłowe — jak budowa dróg, kolei itd.

W Polsce budżet wojskowy musi gnieść gospodarkę narodową jeszcze bardziej niż gdzie indziej. Gros wydatków — to u nas zawsze stany liczbowe, nie sprzęt. Pobór oznacza ekonomicznie, że raz \times ludzi zostaje na rok czy dwa wyłączonych z produkcji — właśnie gdy najbardziej się do niej nadają, dwa że ich konsumpcja przez ten czas jest pokrywana przez społeczeństwo. Czysta strata. Sprzęt — w warunkach takich jak polskie — zostaje wyprodukowany kosztem i tak szczupłych instalacji przemysłowych i surowców; fabrykacja sprzętu oznacza brak stali, miedzi, benzyny, bawełny i innych cennych surowców, przeważnie importowanych, dla przemysłu cywilnego; oznacza wzrost importu bez cienia ekwiwalentu w możliwościach eksportowych. Można z całą pewnością twierdzić, że wysoki budżet wojskowy jest skazaniem Polski na wieczyste ubóstwo, a zatem na niezadawalający ustrój społeczny i polityczny, bo w kraju nędzarzy nie może być ani dobrej konstytucji, ani normalnych

stosunków politycznych, ani celowych reform społecznych, ani, co najważniejsze, doskonalenia się moralnego.

Małe kraje zamożne — to bez wyjątku kraje, które w przeciągu ubiegłych lat stu wydawały minimalny odsetek swego dochodu narodowego na obronę i zbrojenia: Szwajcaria, Belgia, Holandia, Skandynawia. Kraje bałkańskie, które utrzymywały liczne armie i miały w stosunku do swych możliwości znaczne wydatki wojskowe — znajdowały się stale w ogniu Europy a ich ludność żyła w okropnej nędzy. Anglia i Francja, a już zwłaszcza Stany Zjednoczone wydawały znacznie mniejszy procent swych budżetów, i zwłaszcza dochodu narodowego na siły zbrojne, niż Polska. Co więcej, wielkie mocarstwa częściowo odbijały sobie te wydatki w postaci kolonii i wierzytelności zagranicznych, których egzekwowanie było zadaniem sił zbrojnych (marynarka angielska, gdy przestała być piratem, stała się w dużej mierze komornikiem). Dla nas wydatki wojskowe miałyby pewien sens tylko w wypadku, gdyby były narzędziem egzekwowania naszych kapitałów, które w r. 1918 utonęły w Rosji. Tymczasem, jak wiadomo, nawet 40 milionów rubli złotych, przyznanych nam traktatem ryskim, odzyskać nie potrafiliśmy.

Wielkie mocarstwa mają stałą tendencję do przerzucania swych wydatków wojskowych na słabszych sąsiadów i aliantów. Prasa angielska co dzień z namaszczeniem tłumaczy, że we wspólnej stałej armii zachodnio-europejskiej, Francja winna uczestniczyć ilością 12 dywizji, a Anglia dwóch. Niby dlaczego? Podobnież nieszczęśliwi Grecy ponoszą cały koszt wojny domowej, której wygranie leży w interesie anglosasów nie mniej niż Greków. Można być zupełnie pewnym, że po rozbiciu Rosji, Zachód nas będzie żywo zachęcał do spełniania roli „przedmurza”, czyli do rujnowania się na wydatki wojskowe — a potem będzie nam zarzucał „polnische Wirtschaft” i „feodalne stosunki”, gdy, wypompowani na zbrojenia, nie będzie nas stać na inwestycje gospodarcze czy socjalne. Ponieważ nasz charakter się nie zmieni, należy przypuszczać, że się damy wziąć na takie komplementy — Polonia semper fidelis, nieźrównany żołnierz polski, ten naród marcjalny i takie różne ecie-pecie — i porwiemy za szyszak, zbroję i włócznię, i będziemy stać na straży tej Europy, która wyzyskałszy naszą głupotę, znowu nas komuś sprzeda, Niemcom czy Turkom. Nie, nie; powinniśmy z góry i stanowczo żądać byśmy za tę rolę „przedmurza” byli zapłaćeni brzęczącą gotówką — kredytami anglosasów wielokrotnie przewyższającymi wszystkie nasze wydatki wojskowe.

Czytelnik już widzi po jakiej linii chciałbym, by nasze reformy poszły po odzyskaniu niepodległości. Za dwa naczelne postulaty uważam: 1) uniknięcie przeciążenia podatkowego, co da się skutecznie tylko przez 2) ograniczenia jak najbardziej drakońskie wydatków wojskowych, względnie (co byłoby oczywiście jeszcze lepiej) całkowite ich przerzucenie na zachodnich aliantów.

Jeżeli chodzi o pierwszy postulat, to powinniśmy pamiętać, że Anglia ugina się obecnie pod reżimem, w którym 40% dochodu społecznego ostatecznie trafia do kasy publicznej. Takie obciążenie jest możliwe tylko ze względu na niezmiernie wysoki poziom moralności podatkowej Anglików, na ich niezwykle sprawną administrację skarbową, wreszcie na bogactwo tego kraju: bogatych łatwiej doić jak biednych. W Polsce, przy dużo niższych dochodach, przy gospodarce w znacznie wyższym stopniu naturalnej, przy niskich rezerwach, przy znacznie słabszej kapitalizacji, przy znacznie większym niedosycie konsumpcyjnym, zabieranie nawet 20% dochodu narodowego przez ciała publiczne — skarb, samorzady, ubezpieczenia społeczne etc. — jest nadmierne: Polska rozwijać się może jako żywotny organizm tylko o ile 90% dochodu społecznego będzie pozostawionych podatnikom.

Z tego wynika że pierwszym postulatem gospodarki publicznej musi być oszczędność, nie tworzenie posad, wynagradzanie za usług, radosna twórczość wszelkiego rodzaju. Można być pewnym że siła nacisków w kierunku wręcz odwrotnym będzie fenomenalna — i egzamin na męża stanu zda ten, kto się tym naciskom oprze. Przypnę, że tego męża stanu nie widzę — Adam Krzyżanowski i Jerzy Zdziechowski są za starzy, Matuszewski nie żyje, reszta w ogóle tego problemu nie rozumie, i co gorsza pewno nigdy nie zrozumie. Ale konieczność pozostaje faktem.

Najsilniejsze będą reklamacje zasłużonych. Na pewno będzie wśród nich pewna ilość oszustów, jak to zwykle na świecie bywa, ale większość będzie miała niezaprzeczone tytuły do wdzięczności i odszkodowania od rodaków czyli od państwa: powstańcy warszawscy, bohaterzy A. K., więźniowie i deportowani do Rosji, ofiary więzień i obozów niemieckich, sowieckich i Bezpieki, weterani co zostali na emigracji, różni sterani i zasłużeni działacze co po ciężkich przejściach i latach tułaczki i nędzy będą domagać się spokojnego kąta i wytchnienia na starość. Lekko licząc, będzie na pewno ze 2 czy 3 miliony ludzi w Polsce, którzy będą mieli moralne prawo do jakiegoś zaopatrzenia. A demagogia i rywalizacja stronnictw mogą tę cyfrę jeszcze powiększyć.

To będzie problem Nr 1 naszej polityki wewnętrznej — nie trzeba co do tego mieć złudzeń. Problem bolesny — bo odrzucenie każdej pretensji będzie w pewnym stopniu wyrządzeniem komuś krzywdy. Ale co robić? Będziemy musieli się zdobyć na bezwzględność.

Stosunkowo prostym będzie problem ludzi starych. Tym trzeba będzie dać jakieś zaopatrzenie emerytalne, po cichu modłać się, by rychłym zgonem oddali Polsce jeszcze jedną, walną przysługę. Zresztą ją oddadzą: nie jesteśmy długowieczni jako rasa, ludzie powyżej 60-tki stanowią dzisiaj w Polsce zaledwie 9% ludności (w Anglii 25%), niewiele tylko z nas doczeka się biblijnej starości. I chwala Bogu. Nie stać nas na luksus i dużych gromadek dzieci, i sporej trzódki dziadków. W szczególności

politycy, którzy są zawsze najkosztowniejsi, powinni umierać młodo.

Dużo trudniejszym będzie problem ludzi w sile wieku i zwłaszcza młodzieży. Wszak niewątpliwie znajdujemy się w tym wyjątkowym położeniu, że mamy sporo chłopców i dziewcząt poniżej trzydziestki, a nawet dzieci poniżej dwudziestki, którzy mają zasługi i tytuły do pomocy i zaopatrzenia z racji swej działalności w podziemiu. Weryfikacja w wielu wypadkach będzie niemożliwa, trzeba będzie działać na wiarę. Istnieje precedens legionistów: i chociaż nikt nie zaprzecza im ani zasług, ani patriotyzmu, ani często wybitnych zdolności, stan przez lat kilkanaście, w którym ich niezaprzeczone zasługi były wynagradzane quasi-monopolem stanowisk, posad, awansów a wreszcie i udziału w życiu politycznym, stan ten był w najwyższym stopniu patologiczny, niezdrowy, dla państwa groźny i zgubny. Czy ta sytuacja się nie odrodzi na rzecz A.K.-owców, na rzecz gazetowców, więźniów politycznych, byłych sybiraków, byłych ofiar Bezpieki, weteranów spod Monte Cassino itd., itd.? To nie jest straszak, to jest wysoce prawdopodobne. Znam osobiście kilku Akowców i Akaczek, i mam o nich jako ludziach najlepsze wyobrażenie; mimo tego nie widzę w nich żadnego materiału ani na dobrych urzędników, ani na wytrawnych dyplomatów, ani na rozważnych i wyrobionych polityków, ani na doświadczonych oficerów, ani na bezstronnych sędziów, ani na światłych prawodawców, ani na zdolnych publicystów. Udzielenie im przywileju, tym bardziej monopolu na władzę musiałyby się skończyć takim samym osłabieniem sił żywotnych społeczeństwa i sklerozą rządów, jak uprzywilejowanie piśsudczyków. Musimy w każdym razie zerwać z systemem, w którym przeszłość całkowicie zasłania teraźniejszość, dawne zasługi pozwalają na obrażenie wszelkich głupstw w chwili obecnej.

Jeżeli więc zasłużonych nie mamy wynagradzać monopolem posad, stanowisk i rządzenia — a byłoby to rozwiązanie zawsze najfatalniejsze i najkosztowniejsze — to musimy im dać zaopatrzenie materialne. Jedna metoda — to byłoby przyznanie pieniędzy anuitetów, ale ta metoda byłaby dla skarbu wysoce uciążliwa. Druga — to rozdać pomiędzy bohaterów farmy na ziemiach odzyskanych i na Zachodzie i na Wschodzie. Lepiej też oddać zasłużonym lasy państwowe, nawet przedsiębiorstwa państwowe — byleby tylko nie powiększać szeregów urzędniczych, nie stwarzać kasty dla której państwo będzie folwarkiem, podatki krótkim utrzymaniem, władza monopolem wynagradzającym zasługi.

Obok kwestii urzędniczej, drugim palącym problemem będzie kwestia korpusu oficerskiego. W kraju inteligentnym, ubogim, zagrożonym, o skłóconych partiach, słabych rządach, niskim poziomie życia politycznego, i w którym demagogia jest rozpanoszona do ostatnich granic, istnieje naturalna tendencja do oglądania się za armią jako za jedyną gwarancją istnienia państwa, za stróżem mądrości stanu, do powierzenia rządów

generałom i oficerom. Ci zaczynają od uważania się za państwo w państwie, kończą na stworzeniu absolutum dominium, w którym kraj jest tylko dodatkiem do armii, rządem adiutanturą Giszu czy sztabu. Tego rodzaju dyktatura wojskowa musi zawsze matematycznie doprowadzić do klęski wojskowej w następnej wojnie, a następnie do zupełnego załamania się państwa, do przewrotów lub rozbiorów.

Wojna ostatnia była prowadzona przez cywilów: Hitlera, Stalina, Churchill'a, Roosevelta itd. Dwa państwa, w których rządziło wojsko — Polska i Jugosławia — okazały się do wojny właśnie najgorzej przygotowane. To generałowie kapitulowali: Keitel, Pétain, nie cywilni wodzowie.

Musimy więc w Polsce: ustalić absolutną supremację władz cywilnych, co powinno się m. i. wyrażać w tym, że tekę obrony narodowej powinna stale dzierżyć osoba cywilna. Podobnie zaopatrzenie sił zbrojnych powinno być wojskowym odebrane — i przekazane wyłącznie cywilom. Zawodowi wojskowi powinni mieć hojne emerytury — ale nie należy ich nigdy przenosić do administracji cywilnej. Wreszcie w sprawach politycznych i gospodarczych wojsko powinno zachowywać najściślejsze milczenie — o obronie państwa powinni pamiętać cywilni politycy. Jeżeli wojsko będzie rozbudowywać przemysł, organizować autarkię itd. — będziemy bankrutami z jednej strony, a z drugiej nie będziemy mieli siły zbrojnej zdolnej do wojny chociażby z najmniejszym państwem.

Pragnę myśl moją uczynić jak najbardziej jasną. Wyznam wiarę demokratyczną, choć znam wszystkie argumenty historyczne, które przeciw niej przemawiają. Powrót wszelako do rządów arystokratycznych był i jest zupełnie wykluczony w Polsce, podobnie jak i na całym świecie — i jedyną alternatywą do ustroju demokratycznego są rządy nieodpowiedzialnych klik biurokratyczno-wojskowych, traktujących dany naród i dane państwo jako swój prywatny folwark. Taką jest właśnie obecna forma rządów we wszystkich krajach satelickich — i może się ona odrodzić choć na inne kopyto. By zapobiec temu zasadniczemu nieszczęściu, trzeba 1) uniemożliwić powstanie rozbudowanej, wszechwładnej biurokracji, 2) zapobiec istnieniu dykasterii wojskowej, niezależnej od władz cywilnych, 3) tępić pogląd że zasługi wytwarzają przywileje polityczne. Rozwydrzenie partyjne, zawsze smutne i szkodliwe, staje się naprawdę groźne dopiero z chwilą gdy a) praworządność jest zachwiana, b) administracja i wojsko są upartyjnione i nadrzędne w stosunku do reszty ludności. Niech nasi demokraci wreszcie zrozumieją, że demokracja nie może dzisiaj zagrażać kapitalizmowi ani burżuazji ani obszarnicy ani arystokracji — lecz tylko i wyłącznie uprzywilejowana biurokracja i niekontrolowana hierarchia wojskowa.

♦
O ile nie unikniemy powstania w Polsce oligarchii biurokratyczno-wojskowej, z istoty totalitarnej, wszelkie inne reformy nie na wiele się przydadzą. Państwo oczywiście nie może istnieć

bez administracji i bez wojska. Jedną z zasadniczych gwarancji przeciw dyktaturze tych dwu czynników upatruję w podmurowaniu praworządności.

Praworządność jest rezultatem przykładu i praktyki: żadne kazania tu nie wystarczą. Jeżeli rząd będzie dawał przykład bezprawia, kłamstwa, niedotrzymywania obietnic — autorytet prawa zmaleje do zera. Jeżeli partie będą stosować inną miarę do przeciwników, inną do „swoich” — autorytet prawa będzie zachwiany. Gwarancją praworządności muszą być sądy, nie tylko ich skład, ich nieusuwalność, ich uposażenie, ich prawdziwa niezależność, ale również ustrój sądownictwa i procedura sądowa. We wszystkich tych dziedzinach powinniśmy wzorować się na Anglii. Sędzia śledczy, ten agent wszelkich nadużyć — powinien zniknąć, rolę prokuratorów tak jak i obrońców winni objąć adwokaci, kary za oszczerstwo powinny być zaostrzone, sądy winny mieć prawo pociągać urzędników do odpowiedzialności za samowolę, nadużycie władzy, złą wolę wobec petentów i wymierzać im surowe kary. Warunkiem praworządności jest także maksymalna jawność życia politycznego i publicznego — w szczególności rachunkowości publicznej.

Będziemy społeczeństwem egalitarnym, po pierwsze dlatego, że stan taki jest naturalny w krajach ubogich, po wtóre, ponieważ jesteśmy z natury zawistni i widok ludzi zamożniejszych od nas bardziej nas irytuje niż własne ubóstwo. Wyrównanie dochodów ujemnie wpływa na kapitalizację, ma też wysoce ujemny wpływ na rozwój kultury. Ale na to nie widzę rady. Nie zniesiemy widoku milionerów. Dobrze, jeżeli powstanie u nas liczna warstwa ludzi średnio zamożnych.

Z tego wynika, że inwestycje będą w dalszym ciągu robić przeważnie korporacje publiczne. Zatem wymagają planu. Chociaż o planowości tyle gadaliśmy w epoce Kwiatkowskiego, właśnie bezplanowość była główną cechą jego poczynań. Stworzony takim nakładem sił i środków — które, użyte gdzie indziej, dałyby dużo wyższą dywidendę w dochodzie społecznym — COP nie dał nam absolutnie nic w chwili wojny — tj. właśnie w tej, dla której został stworzony. Jestem głęboko przekonany, że tak zwane plany inwestycyjne Minca i jego pachotka Kaczorowski (którego w międzyczasie na łeb wypędzono) są tak samo rzucaniem piasku w oczy. Nie zapewnią Polsce ani dobrobytu, ani obronności, ani postępu. Rozumiemy plany prymitywnie — tak jak Moskale: tu trzeba stworzyć fabrykę, tam wywiercić szyb — jednym słowem jako zespół czynności techniczno-fizycznych. Tymczasem planowanie oznacza hierarchię potrzeb i stworzenie warunków — i nic więcej. Rozumiemy to Anglicy — w mowach Crippsa, który się zna na sprawach gospodarczych (przesadza tylko w pesymizmie) nie ma nigdy jednego słowa o nowych hutach, fabrykach itd. — on porusza tylko sprawy obciążenia podatkowego, bilansu płatniczego, poziomu płac, cen, kapitalizacji — wie że reszta pójdzie automatycznie. W Polsce plan gospodarczy powinien się sprowadzać do 1) niskiego

obciążenia podatkowego, 2) maksymalnego wysiłku eksportowego, 3) inwestycji komunikacyjnych. Jest śmieszną rzeczą budować fabryki, jak w COP'ie, gdy nasza sieć drogowa i kolejowa wygląda tak jak obecnie. Transport — to system nerwowy nowoczesnego gospodarstwa. Póki wygląda również prymitywnie jak dotychczas, żadnego rozsądnego planu gospodarczego zrobić nie można. Drogi, koleje, porty, lotniska, autobusy, pociągi, metra, statki, samoloty transportowe: oto cały plan na szereg lat.

Oczywiście, gdy mowa o planie, to trzeba pamiętać że podstawą jego jest zawsze pewien obszar geograficzny. Państwo o granicach zmiennych czy choćby zagrożonych nie może planować, nie może się rozwijać, musi być z założenia wypaczone. Tu tkwi moment niezmiernej wagi. Postulatem naszym powinny być granice sztywne.

Polska powinna być państwem rolniczym. Losy naszej emigracji raz jeszcze dowiodły, że nie mamy talentów finansowych, handlowych, talentów do wielkich interesów. Polak, który kupił farmę, założył drobny warsztat rzemieślniczy prosperuje: Polak, który zakłada wielką firmę bankrutuje bardzo szybko. Na stu Żydów polskich, którzy na uchodźstwie zrobili majątek, może być jeden Polak, który się dorobił. W Stanach Zjedn. nie ma żadnych przeszkód dla „inorodców” — istnieją tam, obok milionerów żydowskich milionerzy włoscy, irlandzcy, skandynawscy, niemieccy, nawet czescy — nie ma polskich. Zadawalniajmy się małym. Ograniczmy nasze ambicje do tego, by zostać drobną burżuazją. Uprzemysłowienie Polski — to postulat głównie tw. obrony państwa. Ale dzisiaj wiemy doskonale, że sami obronić się nigdy nie potrafimy, że na przemysł wojenny nas nie stać, że możemy oprzeć się tylko na produkcji i sprzęcie wielkich mocarstw. Więc po co te wysiłki? Tymczasem nasze rolnictwo może wydatnie zastąpić nawet drogą Argentynę czy tym bardziej Stany jako eksporter masła, jaj, bekonów, mięsa, drobiu, sera, warzyw i nawet zboża do wygłodzonej zachodniej Europy. W Federacji Europejskiej musimy być stanem rolniczym, tak jak w Ameryce są Kansas, Iowa, Nebraska czy obie Dakoty. A zwiększenie naszej produkcji rolniczej — to niskie podatki i dobra sieć komunikacyjna.

Dwa są jeszcze pola dla działalności reformatorskiej. Jedno — niesłuchanie trudne — to oświata. Musiała być zła, skoro wyprodukowała takie morze pół inteligencji, taką pasję do frazesu, taką płytkość — a patriotyzm niewątpliwy nie potrafi zrównoważyć tych wszystkich wad i braków. Oświata musi nie tylko dać wykształcenie znacznie bardziej staranne i praktyczne — ale również zmodyfikować nasz charakter narodowy: wyleczyć nas z hysterii, błagi, lenistwa, self-pity, przede wszystkim z hysterii. Wydaje mi się że trzeba znakomicie powiększyć liczbę internatów na wzór angielski, wprowadzić internaty na uniwersytetach, kolosalnie podnieść skalę wymogów, zaostrzyć egzaminy, relegować leniów bez pardonów, radykalnie obniżyć liczbę studentów prawa, studentek filozofii i sztuki. Trzeba, by młodzież in-

teligentka znacznie wcześniej zabierała się do pracy — dość tych żelaznych studentów. Trzeba żelazną miotłą wypłenić politykę z wyższych uczelni, tym bardziej ze szkół średnich. Trzeba trzeba — ale kto to robi? Poziom młodzieży uniwersyteckiej był dużo gorszy w r. 1939 niż w 1921, a tej niż studentów galicyjskich w 1910. Wyobrażam sobie jak beznadziejny jest dzisiaj. Pół-oświata jest bodaj jeszcze groźniejsza niż ciemnota. Zaznaczam że wychowanie dziewcząt wydaje mi się jeszcze gorsze niż mężczyzn. To co słyszę o mej siostrzenicy w Polsce napemnia mnie przerażeniem. Ah, jak szczęśliwe są dzieci polskie, które studiuja w znakomitych angielskich katolickich szkołach klasztornych! Czy moglibyśmy skłonić benedyktynów angielskich, jezuitów francuskich, by założyli choć kilkanaście szkół w wolnej Polsce?

Ostatnia dziedzina — i bodaj jedyna w której wierzę że pójdziemy za głosem rozsądku — to dziedzina zdrowia i higieny. Cóż jest większym marnotrawstwem, jak obecność ludzi schorowanych, jak wysoka śmiertelność. Każdy wydatek na szpitala, na przychodnie, na sanatoria, na domy położnicze, na leczenia, na zdroje lecznicze się zawsze opłaci. Musimy zwłaszcza nie żałować środków na leczenie nerwowo chorych: połowa naszej ludności jest stuknięta, zwłaszcza wśród kobiet procent tych schorzeń jest zatrważający. Ale leczenie nie wystarczy. Trzeba wzmoczyć czystość, bo brud to rozsądnik chorób. Choćby szaleły i ubikacje w Polsce — przecież to był jeden skandal. Trzeba ponadto przyzwyczaić Polaków do racjonalnego odżywiania. System, według którego ludność miejska spożywa obiad o 3-ciej czy 4-tej po południu musi prowadzić do przedwczesnego starzenia się, do ciężkich zaburzeń już po czterdziestce. Trzeba rozwinąć sport, zahartować młodzież. Trzeba oczywiście zwalczać jak najbardziej bezwzględnie alkoholizm. W tym celu, jako pierwszy krok zalecałbym każdemu rządowi w Polsce zwiększenie pięciokrotne akcyzy od wódki, obniżenie podatku od piwa i wina. Gdyby tutaj, tak jak w Polsce, whisky i gin kosztowały nie 30 i więcej szylingów za butelkę, ale 3 szylingi, cała ludność byłaby od rana pijana.

Ale nie trzeba się łudzić. Nie ma nadziei na rozsądne reformy w Polsce. Będzie licytacja frazesów, demagogii, patriotyzmu, będzie wojna stronnictw, kłótnie o politykę, a w praktyce rozbuduje się nowa biurokracja, która z Polski zrobi chudą ale dojną krowę. Zdaję sobie sprawę, że mój głos będzie głosem na puszczy, a to że się okaże iż przepowiadałem trafnie, nie napawa mnie żadną pociechą.

W. A. ZBYSZEWSKI.

Ścieżki

Spowiedź pokolenia

M. Wankowicz

R. D. 3 Lakewood N. Jersey.

Drogi Panie Jerzy,

Dziękuję Panu za propozycję napisania o „Spowiedzi pokolenia”, ale jest to propozycja przyrządzenia zupy na gwoździu — do tego stopnia brak w tej książce pożywnych ingrediencji. Przy obecnych zaś trudnościach wydawniczych nie chciałoby się pisać recenzji chlaszczących. Taką krytykę poświęciłem książce Katelbacha „U kresu drugiego etapu”. Ale to był 1943 r., kiedy się jeszcze pisało bez gniotu wewnętrznego, który teraz nad polską publicystyką ciąży. Teraz — należy pisać jak najostrożniej o ludziach, za to jak najostrzej, najwyraźniej o zagadnieniach. Wstrząsy odsłaniają zakamarki tych zagadnień, po wstrząsach więc przychodzi potrzeba rewizji i spowiedzi. Po tamtej wojnie Dmowski pisał:

„Póki nasz kociół stał pod przykrywą, nie wiedzieliśmy dobrze, co zawiera. Gdy przykrywa spadła, zawartość jego odstoniła tyle niespodzianek, że ludzie, którym się zdawało, że najlepiej znają społeczeństwo, szeroko otworzyli oczy. Mnie osobiście przyniosło to jedną z najsmutniejszych chwil w moim życiu! Musiałem nagle i o wiele obniżyć pojęcie o współczesnej wartości naszej jako narodu”.

O ile skomplikowana i dramatyczniejsza musiałaby być spowiedź po minionym okresie międzywojennym, spowiedź pokolenia Katelbacha, kiedy po przebytych wstrząsach odsłoniły się nie tylko zakamarki personalne, ale i wystąpiło z całą wyrazistością tło dziejowe — nowe, nieoczekiwane, całkiem inne; niż to, na którym zdawało nam się, że widzimy tok rzeczy.

Tytuł „Spowiedź Pokolenia” zdaje się zapowiadać wprowadzenie w sam gąszcz zagadnienia. Obiecujący tytuł! Spowiedź,

to analiza, podczas gdy nasza uboga publicystyka kwapi się do programowości, czyli do syntezy.

Mam bardzo mało zaufania do książek z recepturą w obecnej epoce ciemności. Ludzie je piszą w szlachetnej dążności wyjścia z impasu. Ale międzyepoka, w której żeglują zbytnio oddaliła się od liberalistycznych brzegów, które opuściliśmy w 1914, by na te brzegi orientować kierunek, zbyt jest rzucona napierającym odczłowieczonym totalizmem, byśmy mieli się czuć pewnie na kursie i zbyt daleko jest ląd „maksymalnie wolnego człowieka w maksymalnie planowanym świecie”, by można było na ten ląd sterować na oko.

Kiedy więc celów gołym okiem nie chwycić, a instrumentów pomiarowych na podróz aż w nową epokę nie ma, należy wrócić do walorów prażeglarskich: wiary, nadziei, odwagi, ryzyka, poświęcenia i... pokory.

CZYNNIK POKORY

Bo czyż nie są aktem pokory stare mapy coraz bardziej brnące w wynaturzenia im dalej od punktu wyjścia, aż wreszcie kończące się białymi plamami z rozbijającym napisem: „Terra Ignota”? Wyobrażam sobie jak wielka w swej prostocie, jak wstrząsająca musiała być „spowiedź pokolenia”, każdego kolejnego pokolenia żeglarzy, rozbijająca trwające legendy. Z dumnych besserwisserów, którzy ich pouczali przed wyprawami nic nie pozostało poza curiosami dla bibliotek, a z pracy pokornych rzeszy wyrosły nowe lądy.

Czyż nie z pracy takich nieznanymi i pokornymi wyrosły anonimowe największe wynalazki ludzkości: używanie nasienia, ognia, stworzenie garnka i koła, pisma, miar, wag, pieśniadza? To nieprawda, że imion wynalazców tylko dlatego nie mamy, że je pokryły zamierzchłe czasy... A któż wskaże wynalazcę najnowocześniejszego odkrycia — konserwowania i magazynowania żywności? W elektryczności, lotnictwie, nauce o atomie płaczą się te i owe nazwiska, ale żadne nie jest tym, czym Pasteur dla wynalazku mikroba. Pasteur — to wyjątek, anonimowy — to reguła.

Im złożniejszy problem, tym w nim ma większy udział anonim. Ta zasada obowiązuje nawet w wymiernym i namacalnym świecie technicznym: wielkie Researches-Institutes dwudziestego stulecia w Ameryce są potępieniem „garret inventora” (wynalazcy z poddasza).

Na ileż szerszych zespołach opierają się wiekowe przemiany socjologiczne? Tu już nawet żadna „historia świata w 24 obrazkach” nie kusi się ustalić kto stworzył średniowiecze, jakim receptystą otwierały się wrota każdej z nowych epok. Każdy rozumie, że wzrastały one jak rafa koralowa, z żarliwości pokornych i nieznanymi.

(Na śmiesznie wysokiego siadłem konia z powodu książki Katelbacha, ale żołnierz też udawał, że tę zupe na jałowym

gwoździu gotuje, a ratował się dodawanymi z boku ingredientami).

Kiedy mi przysłano tę książkę, wziąłem ją z ciekawością ze względu na tytuł. Spowiedź jest właśnie aktem pokory. Pokora, żal za pomyłki, wyzwała rozumienie rzeczy. Tylko, pokorne małe dziecko miało śmiałość krzyknąć, że król jest nagi, tylko pokorny X. Piotr, kiedy „duszę wypowiadał” — mógł gadać z Panem.

NIE UFAJCIE DOSKONAŁYM I BEZGRZESZNYM

Przecież w urządzeniu świata jesteśmy tak bezsilni, jak ludzkość w kartografii za czasów Herodota. Żyjemy na małym skrawku odkrytego lądu oświetlonego reflektorami poznania. Na tym skrawku panują żelazne prawa logiki i że dwa razy dwa jest cztery. Stokroć jednak większe polacie są „Terra Ignota” z jej nieznanymi prawami i odciąć się od tej rzeczywistości, którą zalega ciemność nie możemy, bo ten zakryty ląd wysyła potężne prądy magnetyczne rządzące naszym życiem. Wbrew łatwym pojęciom, że życie tworzone jest przez odkrycie, albo wynalazki — życie to formują właśnie owe prądy z Nieznanego. Nawet ul czy kopiec termitów nie zawdzięcza swego istnienia ani odkryciu ani wynalazkowi. A przecież zbiorowość ludzka to dzieło nierównie bardziej skomplikowane, wymagające stokroć większego nasilenia instynktu i energii biologicznej.

Pan przecież jest tym, niestety, jedynym w chwili obecnej na świecie redaktorem polskim, który chciałby, miałby ambicję dać mówić ustom „dotkniętym prawym serca niepokojem”. Ilekroć Pan miał przykrości za dopuszczenie do nieśmiałych wypowiedzi: że tych serc nie napoi ani Zachód ani Wschód — tylko przyszłość; że postawa poczynającej się epoki polega nie na bronienu się, tylko na zdobywaniu. Więc Pan rozumie, co znaczy tęsknota poszukiwania, tęsknota człowieka do człowieka, tęsknota do pokory i żarliwości, serdeczne pochylenie nad spowiedzią bliźniego i nienawiść do tych bez grzechu i zadowolonych.

ZIELE NA KRATERZE CZY OPOKA W OZONIE?

Książkę napisał mój rówieśnik, wychowanek tej samej konspiracji, uczestnik tych samych prac. Zrozumiałe, że na widok, że przykleka w konfesjonale, jego współpokoleniowcom mogło też zebrać się na skruchę.

Jest chyba o co. Młodość nasza weszła jak ziele na kraterze i trzeba było chyba uszy mieć zalepione grubą warstwą wosku, żeby nie czuć podziemnych grzmotów, żeby nie zrozumieć, że jest to krater czynnego wulkanu.

Traktat Wersalski narzucił pompatyczną opończę, ześcibaną z 14 politykierskich punktów Wilsona na dziewiętnastowieczną

szatę polityczną świata. Kompromisowi tych dwóch czynników: polityki (liberalnego nacjonalizmu) i ekonomiki (międzynarodowego autokratyzmu) który wraz z osłabieniem regulatora angielskiego nie miał na czym się trzymać — kazał Traktat Wersalski pomaszerować w świat w tym fikcyjnym pompatycznym przykryciu i może w „spowiedzi” znajdziemy skruchę tego dziecka, które spostrzegło i nie krzyknęło, że „król jest nagi!”?

Rozpoczął się okres, nad którym przestały ciążyć interesy trzeciego stanu, a poczęły ciążyć interesy robotnicze. Zadania polityki poszerzyły się, z chwilą kiedy miały zapewnić już nie tylko bezpieczeństwo i niepodległość, ale i wyżywienie i wdary się do ekonomiki. Ad hoc przykrojona narzutka polityczna kolidowała z old fashioned surdutem ekonomicznym, socjalizm, reprezentujący masy, które należały wyżywić, pogłębiał różnice międzynarodowe nie przeciwdziałając autarkii, patronował zakazom imigracyjnym, starał się, ręka w rękę z przemysłowcami, o cła i subwencje.

Czy p. Katelbach, wywodzący z pnia marksistycznego swe pierwsze zainteresowania społeczne wyrażał na ten temat jaki niepokój?

Niepodległość, która dla pokolenia sprzed 1914 zdawała się alfą i omegą — mogła wszak zblaknąć pokoleniu p. Katelbacha w tym okresie, kiedy narody palące kawą w lokomotywach, wylewające mleko do morza, zagazowywujące mile kwadratowe kurników, zakopujące setki tysięcy nierogacizny, idące do zguby w tym szaleństwie, brodzące w fikcji wersalskiej, że Estonia jest równoprawna politycznie Chinom — nie chciały uznać, że ich miejsce zajmują wielkie konglomeraty.

A przecież... A przecież już nawet w tym okresie, przed 1914 r. dwa odłamy — Zarzewiacki i Młodzieży Narodowej rozluźniły się wzdłuż tej, zdawałoby się, dosyć akademickiej linii podziału — „Niepodległość — celem czy środkiem?”

To młodzież Narodowa właśnie, do której następnie przystąpił p. Katelbach, wносиła w tym pytaniu ziarno niepokoju, które jakże powinno było wzrosnąć w dobie urealnienia niepodległości. Jakążbyśmy spowiedź tego pokolenia usłyszeli ustami wychowanka tej młodzieży Bagińskiego, zastrzelonego za komunizm, ileżby serdecznej rozterki wypowiedzieć mogli „oemenowcy”, uruchamiający „Rady Ludowe” w czterdziestu wschodnich powiatach przy ziemiańskich krzykach potępienia, ileżbyśmy mogli ciekawych wyznań usłyszeć od oemenowców prowadzących lewicowe związki zawodowe? To byli koleddy p. Katelbacha, to było jego pokolenie.

Spazm, który miał objąć świat, pchnął innych z tego pokolenia, w inny kraniec, w szeregi rządzących Polską. Jakążby spowiedź mogli nam złożyć o walce z dojrutkostwem, z koniunkturalizmem, z przerostem taktyki, które i ich wciągały jak trzęsawisko?

Czyż można w ogóle myśleć o człowieku nie zakłamanym z

okresu tego tragicznego dwudziestolecia niepodległości, który by w nocną minutę samotności, odłożywszy legitymację co zrobił w COP, a co w Gdyni, jak człowiek utrudzony składa ubranie, nie przypadł mokrymi oczyma do poduszki, z wyznaniem, że oto usiłuje w tej Polsce robić jakieś ruchy równie bezsilny jak ludzie schwyceni w wątej kódeczce przez wir, otwierający czeluści wirującego kotła wody aż do dna oceanu?

Czyż nie tego wszystkiego mogliśmy oczekiwać po książce noszącej dumny tytuł — „Spowiedź Pokolenia”?

„ZDEGUTOWANY”

W tej autobiografii jest pełno szczegółów od informacji, że „świetne ciastka, które przynosił ojciec stanowiły nieodłączoną część i tak sutego deseru” do rozwlekłych opowiadań spraw powszechnie znanych (np. rozdziałów o emigracji po 1939), ale „spowiedzi” żadnej jako żywo nie ma.

Książka zupełnie zapomina, że *l'art d'être ennuyeux c'est de tout dire*. Podziwienia jest godne, że na 310 stronicach, w których dowiadujemy się, a to kiedy autor pracował w banku, a kiedy w filmie, a kiedy „użył sobie ze znanstwem i swadą” na oponentach, a co lubi, a czego nie lubi — kiedy się tylko zbliża do emocjonującego zagadnienia, narracja wsiąka w piach nic nie znaczącego komunału:

„Wyznam, że o ile byłem oczarowany pięknem Adriatyku, krajobrazu, włoskiego nieba, Florencją, Pizą, Rzymem, o tyle kilkotygodniowy żywot w krainie faszyzmu rozczarował mnie wyraźnie. Wróciłem zachwycony krajem, szacownymi starościami, optycznie byłem raczej zdegutowany faszyzmem. Nie podobało się to wielu moim rówieśnikom”...

Znowu kolejne podziękowanie oryginalnego penitenta, że go Bóg nie stworzył celnikiem.

A przecież wyobrażam sobie, że gdyby ci potępiani celnicy z jego pokolenia spowiadali się z wrażeń włoskich, to może by znaleźli słowa Koestlera, generalnego demaskatora totalizmu, który jednak miał odwagę pomyśleć i napisać:

„Wyobraźnię polityczną znajdujemy w naszej epoce pośród prądów totalitarnych („of the tyrannical type”). Naziści, faszyści, komuniści zdają się mieć monopol światowy na wyobraźnię. Należałoby oczekiwać, że struktura demokratyczna daje większe pole do popisu świeżości, niż te surowe zdyscyplinowane środowiska; a jednak prawdą jest coś wręcz przeciwnego. Widocznie zdyscyplinowanie i śmiałość wizji nie są tak czymś przeciwstawnym jak się powszechnie wydaje. Ci, którzy zwalczają swobodę myśli, są nabitowani koncepcjami, podczas gdy zwolennicy swobodnego wypowiedzenia myśli boją się, że nie rozporządzają ani jedną myślą godną wypowiedzi”.

Ale spowiadający się Faryzeusz jest tylko „zdegutowany” tą

próbą szukania dróg w oszalałej epoce i tyle. Dla tego rodzaju spowiedzi należałoby przekonstrować konfesjonały: klęczący spowiednik podawałby rozsiadłemu w fotelu penitettowi order zamiast wyznaczyć pokutę.

WIĘC CO? — WIĘC NIC...

Katelbach w swej narracji przypomina mi mego Airedale-terriera, Gawła, którego ogarniało szaleństwo na widok kota: nie było tej szybkości auta, z którego by nie wyskoczył, ujrzawszy kota, nie było dosyć wysokiego płotu (taki Fajans w pogoni za wywiadem z głową państwa). Kiedy jednak przyparł kota do muru, stał nad nim z durną szurpatą mordą nie wiedząc co z kotem zrobić. Cytuje parę rozmów z Piłsudskim i nic z nich się nie dowiadujemy. Zamieszczą pełno zachwyty nad zmarłym radcą ambasady Wyszyńskim, którego uważa za najwybitniejszego w swoim pokoleniu, rozmawia z tym człowiekiem istotnie ciekawym (mieszkałem z nim przez rok w jednym pokoju) przez sześć lat — ale czytelnik z tych rozmów nic się nie dowiaduje.

Jakże więc mam Panu napisać recenzję z tej książki? Recenzja to wymiana myśli. Wymieniłem z nim myśli i teraz mam pustą głowę” — pisał Heine.

Książki tytuł właściwy powinien brzmieć: „Materiały dla Vie Romancée Tadeusza Katelbacha, jednego z najwybitniejszych ludzi XX wieku Wschodniej Europy na ul. Hortensja w Warszawie między numerami 5 i 9. „Jako taki przyczynek miałaby pewną wartość, gdyby miała... index. Grydzewski mówił, że za niezaopatrywanie książek indeksami wprowadziłyby karę śmierci. Do słusznego wniosku dodają poprawkę: „I za dawanie książkom fałszywych tytułów”.

Uff!... Niech Pan się nie dziwi, że tyle czasu poświęciłem na prywatny list. Widzi Pan, dwa są powody po temu:

1. **Podskórny.** Pewien Hofrat poszedł na emeryturę. Sechł. W tymże domu woźny-emeryt też schodził na psy. Staruszkowie znaleźli na strychu stare akta. Woźny przynosił, odnosił, teczkował, zeszywał, a Hofrat czytał, wciągał do dziennika, parafował — staruszkowie odżyli.

2. **Nadskórny.** Już kilkakrotnie Pan coś mi proponował napisać. Tymczasem ja, chodząc z szerokim pyskiem po ludziach, że jaki to wysiłek Pana i że nie ma gdzie drukować — kiedy jest sposobność poprzeć ten wysiłek i można coś z pocałowaniem ręki wydrukować... Więc powiedziałem sobie: nie możesz drukować to nie, ale daj dowód Giedroyciowi i sobie samemu, że to nie lenistwo...

Dłoń ściska — M. W.

„Uważając, że list nie zawiera żadnych poglądów prywatnych ani konfidenjalnych, postanowiliśmy go — wobec łamania numeru — wydrukować, nie komunikując się z autorem, który jest w U.S.A.”.

Arkusze poetyckie

Wiersz określający znaczenie lisa

*Nic mi z tych zabobonów,
Dyrdymatek, andronów,
Filozofii sukcesu:
Cross yours fingers, please.
Wszystko jest nieprawda,
Vanitas omnia,
Maszyny, ekonomia,
Hollywood, Churchill, Walpurgia,
Cała światowa liturgia,
Prawdą jest, że rano przychodzi do nas lis.*

*Wszystko — karuzela
Wielkiego Breugela,
Który puścił ją w ruch.
Jak nurkom rzucona rupia,
Sens poszedł na dno a świat się wygtupia,
Gdy tymczasem z lasu
Lis wypada, jak duch.*

*Idzie, Na pochyłej, śnieżnej goliźnie
Ani razu się nie pośliznie,
Leciutko stawia powabny, koci krok,
Leśny opar nad nim polata,
Srebrna mgła tajemnicy świata,
Srebrne marzenie,
Srebrny mrok.*

*Stanął. Patrzy. W las. Na dom. Na pole.
Węszy. Wydłuża się mordka wścibska.
Rozwija swą ogoniastą etolę,
Futrzarz z boru,
Prawdziwy.
Nie z Lipska.*

Grzebie w śniegu. Wywachał.

Pysk, jak koncha,

Zębami tryska.

Żre.

Nie bój się mnie, śliczny grabieżco,

Dzikie, puszyste zjawisko,

Cudo moje, a może ty wiesz co

Uleczyłoby świat ten i mnie.

Nie bój się. Nie jestem święty Hubert,

Nie mam strzelby, nie strzelam,

Ciągnę od nory do nory przez las.

Kręcę się, jak karuzela,

Kręcę się z trupą Breugela

Przez obtakany czas.

Ale on mnie nie słucha.

Już po nim.

Przepadł leśny anonim,

Przepadł mój dziki lis.

Rozbiegło się żywe jutro.

Może znów zjawi się jutro:

Cross your fingers, please.

Patagonia

Osiedliłem się w Patagonii,

Zatopiłem się w kosmogonii

I przez teleskop lecę w mrok,

Za szkłem astralny piętrzy się zator,

Światły wylega mój inkubator,

Siedem tysięcy wieków ma każdy rok.

To oficjalnie. Astronom, profesor,

Rektor, protektor, kurator, asesor

A może nawet Kant i Laplace:

Niech martwią się o to abiturienti.

A prywatnie pod nocny atlas

Podkładam gwiazdny, papierowy atlas

I czytam co w nim się święci.

Na miesiąc, na dzień, na godzinę

Nastawia się wskazówkę. Płynę.

Na komicie astronomka żona

Mierzy coś cyrklem. Nad czym się głowisz?

Tam za lasem to przecież Jowisz.

Lećmy skorygować Newtona.

Zimą jest niewygodniej, bo zimno.

Plejady za śnieżną zastoną dymną

Rozcierają płasie, zziębnięte dłonie.

Szybko przetrząsam kosmos i patrzę

Jak tańczy mój balet w amfiteatrze,

Betelgeza i Belatrix w Orionie.

To wszystko znosimy co wieczór do domu,

Badamy abstrakcyjny początek ogromu,

Który w lunetach moich przelata,

Ale naprawdę, to bliżej końca

Na skrawku ostatnim ziemi gasnąca

Leży ta Patagonia mojego wszechświata.

Ale naprawdę, to lecę w mrok,

Poza czas, poza miesiąc, dzień i godzinę.

Nastawiam wskazówkę co rok, co rok

I nic nie widzę.

Nic się nie zmienia.

Ginę.

Wyprawa do Abisynii

Jeżeli tu źle, jeżeli tu źle,

Wyprowadzimy się do Addis Abeba,

Na ulicę Menelika, Który Jeszcze Nie Zginął,

Ty zostaniesz psychoanalityczką cesarzowej,

Zdejmiesz z niej uraz, jak płaszcz brokatowy,

Ja będę myślał i słynął.

Miałem do nich zawsze feblika,

Trzeba to im jakoś wyjaśnić

Po prostu i nie za szeroko:

W drugiej klasie napisałem rozprawę

(W całym gimnazjum zdobyłem sławę)

O Abisynii (i o Marokko).

Nie wędruję za złotem i naftą,

Cynku i węgla mi nie potrzeba,

Pewne licho po świecie mnie goni:

Powiemy, żeśmy wprost z Patagonii

Za głosem serca do Addis Abeba.

Nie knuję ciemnych afer ni machinacji,

Nie należę do kartelu strusich piór,

Nie interesuje mnie nawet Kanat Sueski:

Nie mam jego akcji,

Nie sieję, nie orzę
A już specjalnie nudzi mnie morze.
Jestem lądowy szczer
I na prywatny użytek
Ptak niebieski.

Nie chcę budować na Nilu zapory
Ani handlować kością stoniową,
Jeśli co, to garść ich tropikalnej flory
I trochę drzew na upalne wieczory
Wysokich, jak spokój nad głową.

Jeśli co, to ta droga na połę z legendy,
Gdzie nam fantazja kiedyś gubiła się młoda:
Może by można szlak ten odszukać,
Może by można przejść się tamtędy
Za tajemniczym cieniem Rimbauda.

W Hararze, nad liliowo-zielonym absyntem
Podumać nad tym absurdem, nad labiryntem,
Wszystko jedno czy dobrze nam będzie czy źle,
Przysłuchać się jego okrutnym szeptom,
Powtórzyć jak Statek Pijany, zły Neptun:
Je regrette l'Europe aux anciens parapets.

Kazimierz WIERZYŃSKI.

Dr Smyk

(STUDIUM)

Alas, poor Yorick, I knew him, Horatio...

Doktór Smyk.
Ktoś z wiecznym piórem, w okularach.
W śródmieściu — dom, rodzina, Buick...
Nagle w to wszystko — swoje — własne —
los biczem trzasnął,
kopniakiem wazon
(1.000 zł. na Wystawie w Poznaniu...)
stłukt.
Wypadło mundur włożyć
(pierwsze w życiu...)
— Maniu,
ja w Towarzystwie Pediatrycznym
w lewej szufladzie mego biurka
klucz mam od saf'u...

Mała chmurka,
z niej jakby rodzaj gromu
i — nie ma domu,
nie ma saf'u.

I w marszu nóg zmęczonych —
słyszany gdzieś z estrady strzęp
Sonaty Pałetycznej.

Lekarz Smyk...

Tu uwaga: chcę koniecznie
być ściśły w słowie.
Lekarz Smyk to dla mnie nie specjalnie — Polak,
ale każdy przeciętny człowiek,
rzucony w czasy złe i niebezpieczne
i niepodobne do niczego
co było przedtem.

Stąd przecie ów — bezradnych zdumień
gest, onieśmiałe szeptę,
kiedy pod Równem czy pod Dubnem
walit się świat.
Ojczyzna?... Polska?... Pozwól Smykom
odczuwać to, czego gdzie indziej
nie odczuwano — głębiej, szerzej:
ŚWIAT.

Kodeks tych lub innych wierzeń,
droższej lub tańszej filozofii,
której kilka tysięcy lat
dało nam prawo —
woleć
mieć choćby tylko nędzną łupinę z kartofla
niż — chaos
krwi i upodłonej niewoli.

Kwestia przypadku że to Smyk
(pojutrze Dubois lub Harding...)
z przyczyny „czystej geografii”
ofiara padł.
I wcale nie to, że wszy jadły,
że się z psem musiał dzielić jadłem,
że się uchronić nie potrafił
przed pałką, nie to wcale ważne
(eksces Historia z dawna zna...), —
ważniejsze, że podobny tryb
życia w nikim zdziwienia już nie budzi,
że żyją tak m i l i o n y ludzi,
że Smyk po prostu był włączony,
wsączony w twardą rzeczywistość,
w codzienność z musu oswojoną,
straszłą...

*Jest coś
zastanowienia godne w — tej
przemianie skóry. Afirmatyw
radosny — świszczącego bata,
karykatura franciszkańskiej
pokory w Belzebuba lustrze —
szczępi się szybko...
Toteż Smyk
musiał — skoro kazano — uznać
Prawdę w owym zwierciadle wklęsłym,
nauczyć się nowego Sensu
człowieczeństwa à rebours
ponad — przewyciężone — wstręty.
(Zapłata za przegrany spór
na rzecz L'UOMO DELIQUENTE).*

*Ciekawie byłoby prześledzić
(freudowski problem...)
skomplikowaną procedurę
owych stopniowych upodobień
w uśmiechu, zgięciu ramion, karku,
w wylizywaniu próżnych garnków,
w potakiwaniu wszechsłużnym,
w obronie miejsca gdzieś na narach, —
by powiedzieć:
— Oto ów preparat,
b. człowiek, lekarz Smyk,
nie nikomu już — sobie ni Bogu —
nie dłużny.*

*Dość.
Nie będziem wiwisekcji czynić
ani zapuszczać ostry pazur
w ścierwo gnilne.
Któż z was, o ludzie, ma prawo dziś do odrazy,
i co lekarz Smyk
(Dubois, Harding, Svoboda czy Smith...)
zawinił.*

Jerzy DOŁĘGA-KOWALEWSKI.

Podróż sentymentalna

*nad stacją wielbłądzią
rozwiana
chorągiew morza*

*leniwe wozy
o słonecznym napędzie
skrzypiące pod górę
przybitą do nieba
cienkimi gwoździami palm*

*w mahometańskim pociągu
obrzezani demiurdzy
kleją
warkliwego szczuropchaja-marchotta
w opętaniu azjatyckiego przedwiośnia
tunel nocy bezplanetarnej*

*do wrót gospodzianych piwożon
żebraczy klucz
nie odźwierny
świecki wytrych
broń zbyt chirurgiczna
w grząskich palcach
rybatta znachora frojdsty*

*zółtym pancerzem
kategoryczny imperatyw
ochraniał wątle piersi
brzuchatych banknotów
przed kocim ostrzem
pielgrzymskiego noża*

*w czerepie podłużnym
na szybkobieżnym rusztowaniu
kościstych więzadeł
niewyświetlona klisza śmierci*

*obłądne rumowisko liter
na ruinach pysznego zboru
pomordowanych książek*

*martwy dom
sześciokąt zwątpienia
nakryty boleśnie wypukłym trapezem*

kraty przekątne
wrastające w ekstatycznie ostupiały kregostup
łańcuch chlebnym
zupna obroża
oblizana służalczo
w golgocie pchet

dół wygryziony
w pośrodku wilezego omentarza
obrosły drutem kolczastym

w czarnodzień gdy
mrukiwi szakaloni
spychali wyjący księżyc
za górski próg podświadomości

siedmiokotowy sen
mistycznie zaprzężony
w siódmkę myszy pikowych
wywiózł
godzinę jedenastą przed zgonem
na wolność
w bajeczny śnieg
zlepiony z białych cząsteczek
pustki nieutulonej

pająk zawiadowca stacji jodłowej
obrócił zegar gwiazdny
o sto osiemdziesiąt stopni wprzód.

.....
na cudzomorskim dworcu
wagon żaglowy
rzucił w spieniony tłum
muszlę wędrowną
szeptu pełną

żałościan
uweselon rozkwitaniem pszczół
w śpiewie wiewiórczym
sercan stajenny
biegozeń niemonetarny
w mieście telegraficznym
pod bastionami groźnej metropolii

na zbieżnych osiach oczu
gielda świeflana
wirująca głośnikami bruku

pod aspirynową apteką
ryżu mieszczanin
z głową owiniętą w gazetę
zastygły w akcyjnej pogoni
przeżuwa hiobowy czas
prosto z latarni

głowę
do kina
niech się jej próżnia zaklei
lepkim wyciekim
neurotycznego ekranu

żał wsi nadbrzeżnej
gdzie słoneczniki
wstuchują się w szum bursztynowy
podmorskiej wirowitnicy

słowa rosnące
na pieszczotliwych łodygach
w zapachu sieci węgorych

tam dzieciotowie
żarliwie pukają
w ściany wież leśnych
i kogut
na oślich skrzypcach
srodze się orkiestrzy
w kruchcie gotyckiej stodoły

niezdarne części mowy
na dębowym warsztacie zdań
ubogie wierszowanie brzoź

chmiel dziki
młyny porusza tokarskie

niedługo łódkę się skleci
pojazd drzewny
na drogę
wśród śpiewnych orzechowisk.

Bogumił ANDRZEJEWSKI

Archiwum polityczne

Wywiad z Dymitrovem

Od czasu przebywania na Zachodzie, każde spotkanie i rozmowa dłuższa z działaczem politycznym, pochodzącym z naszego rejonu, z terenów, położonych na wschodzie, czy południowo-wschodzie, napawa mnie wielkim smutkiem. Smutek ten nie tylko wynika z żalu, że oto jeszcze jeden mój rozmówca, jeszcze jeden człowiek, którego przywiązanie do idei jest i było o tyle silniejsze od przywiązania do osobistej wolności, czy nawet życia, spędza rok za rokiem, albo w więzieniu, na zesłaniu lub emigracji. Bardziej jeszcze na uczucie tego smutku wpływa świadomość naszej przeszłości, teraźniejszości i prawdopodobnej przyszłości politycznej. Podczas gdy na zachodzie — już nie daleko sięgając — we Francji, nie wspominając Wielkiej Brytanii czy Stanów Zjednoczonych, normalny polityk ma szerokie pole do działania, zupełne bezpieczeństwo osobiste, i ponadto ćwiczy się od młodości w sztuce walki parlamentarnej, w grze której cel, nie zawsze pozytywny, nie zawsze słuszny, jest jednak w większości swej ogromnym celem, do którego dąży się normalnymi drogami konstruktywnej i edukacyjnej akcji politycznej, u nas, w naszych stronach starej Europy jest zgoła inaczej. Geograficznie wbici klinem fatalnym pomiędzy rosyjskie i niemieckie obszary życiowe, skłócenie wewnętrznie, niepomni nauk historii, zachwaszczeni naleciałościami wszelkich możliwych mniejszości narodowych, nie czujących się obywatelami swej przyrodniej ojczyzny (vide Niemcy w przedwojennej Polsce), skazani jesteśmy od wielu pokoleń na walkę. Politykowi lata więzienia przysparzają sławy, lata konspiracji — odznaczeń, lata opozycji — ogólnego szacunku. W Polsce, której przeblisk niepodległości był tak niezmiernie krótki, odznaki b. więźniów politycznych otwierały drzwi wszędzie. To samo będzie po obecnym okresie sowieckiej niewoli. Na emigracji, wśród młodzieży, która przeszła wojnę w szeregach konspiracji, pokutuje stałe poczucie tej konspiracji, stała podejrzliwość, mania prześladowcza, chwilami przeradzająca się w manię wielkości wiecznie śledzonego bojow-

ca. Wszyscy nasi wielcy politycy współcześni mieli za sobą lata katorgi. Pradziadek ginął w powstaniu, dziadek szedł na zsyłkę po roku 1905, ojciec nosił rosyjski mundur w czasie pierwszej wojny światowej, a syn albo jest na emigracji, albo żyje pod strachem śmiertelnym zesłania na Syberię.

George M. Dimitrov nie jest wyjątkiem. Jest może raczej przykładem klasycznym takiego bojownika o wolność, o prawa ludu, prawa prostego bułgarskiego chłopca. Dochodząc dzisiaj do pięćdziesiątki, o postawie człowieka młodego, twarzą pogodnej i spokojnej, nie miał jeszcze szans wykazać się swoim i światu pracą konstruktywną, pracą pozytywną w normalnych warunkach niepodległego istnienia państwa. Począwszy od wczesnych lat młodości, rola jego była rolą opozycjonisty, rolą walczącego o swe polityczne prawa anarchisty nie mieszczącego się w istniejącym porządku rzeczy. Bułgaria niepodległa, Bułgaria królewska, traktowała go równie źle, jak traktowała go potem Bułgaria, okupowana najpierw przez Niemców, potem przez Moskali. Blizny, jakie kreślą jego plecy i obficie rysują nogi są bliznami razów, zbieranych w latach pomiędzy wojnami. Uraz, śmiertelny uraz do dyktatury własnej rysuje się w oczach tego człowieka, gdy wspomina czasy, kiedy w oczach całego świata, w opinii całego świata, Bułgarzy sami decydowali o swoich losach.

Dimitrov pierwszy raz skazany został na śmierć w roku 1923 gdy rząd chłopski w Bułgarii obalony został przy pomocy zamachu stanu, inspirowanego w głównej mierze przez Mussoliniego. Był on wtedy członkiem Związku Młodych Rolników, któremu potem przez wiele lat prezesował. Od wykonania wyroku uratował go wiek. Miał wtedy lat 20 miesięcy sześć, a po to by móc umrzeć z wyroku sądowego, trzeba było wówczas w Bułgarii być co najmniej pełnoletnim.

Ów związek rolniczy był organizacją postępową, stawiającą jako zasadę społeczną ideę syndykalną, gospodarczo opierającą się na szeroko rozgałęzionej spółdzielczości, politycznie na związkach zawodowych przy pełnym poparciu dla inicjatywy prywatnej zarówno w handlu jak i przemyśle. Na uniwersytecie Dimitrov założył i kierował Związkiem Studentów o założeniach identycznych. Jego mistrzem i nauczycielem był Aleksander Stamboliiski, założyciel bułgarskiej partii chłopskiej i współtwórca, razem z Wincentym Witosem, Antonim Svehlą, b. premierem czechosłowackim i Milanem Hodją, przywódcą słowackim zielonej międzynarodówki w roku 1921. Współpracownikiem i przyjacielem Stamboliiskiego był Petkov, brat Mikołaja Petkova, powieszony przez bolszewików. Stamboliiski ginie od kuli zamachowcy w roku 1923, Petkov dokładnie w rok potem umiera w ten sam sposób. Dimitrov zostaje na placu, już wtedy uznany jako przywódca i spadkobierca zmarłego wodza. W okresie od roku 1923 do roku 1930 nie zna co to spokojna noc, czy planowanie na dzień naprzód. Policja bułgarska, działająca wtedy na zlecenie premiera Alexandra Trankova, obecnie razem z Paveliczem przebywającego w Argentynie, aresztuje go co

dwa-trzy dni. W sumie przez te lata Dimitrov aresztowany jest ponad dwieście razy. W tym też okresie terror jest tak wielki, że ponad 30.000 zwolenników koncepcji zamordowanego Stambolińskiego ginie z rąk policji.

Dopiero wybory roku 1931 dały Dimitrowowi pierwszą szansę normalnej pracy politycznej. Ludowcy zdobywają większość w parlamencie i przez trzy lata przygotowują fundamenty pod własny gmach reform społecznych i politycznych. Po tych trzech latach przychodzi następny przewrót wojskowy i Dimitrov i jego przyjaciele ponownie schodzą w cień egzystencji więziennej. Twarz Dimitrova zasnuwa się mgłą wspomnień, gdy mówi o tym. Dospat, miejscina na granicy bułgarsko-greckiej, była siedzibą regularnego obozu koncentracyjnego. Tam też Dimitrov przez pełny rok zamknięty był w celi odosobnienia, nie dość dużej na to, by wyprostować się, czy zrobić trzy kroki wzdłuż i wszerz. Dnie upływały na walce z głodnymi szczurami, atakującymi więźnia. Dopiero liczne interwencje u samego Borysa spowodowały zwolnienie.

Przychodzi okres wojny i stadium pro-niemieckiej polityki króla Borysa. Dimitrov organizuje znowu ruch opozycyjny i na skutek jego inicjatywy dziesięć największych ugrupowań politycznych bułgarskich wysyła do króla list protestacyjny przeciwko wiązaniu się z Niemcami. Nawet komuniści, jeszcze wtedy pro-niemieccy, kładą swój podpis na liście. Następnego dnia rano, 22 lutego 1941 przychodzi po niego policja. Spodziewając się tego, Dimitrov zuchwałym manewrem zmyła tropy i ucieka w czasie aresztowania. Dostaje się na Środkowy Wschód i stamtąd kieruje ruchem podziemnym bułgarskim aż do września 1944 roku. W tym miesiącu wraca do Bułgarii, gdzie rząd jedności narodowej jest u władzy. W rządzie tym jest także Nikola Petkov i czterech innych przedstawicieli ludowców.

Słucham tej opowieści bułgarskiego bojowca w wytwornej sali amerykańskiego hotelu. Siedzimy naprzeciwko siebie, zupełnie sami. Naokoło nie ma nikogo. Zza okna dochodzi przytłumiony odgłos huczacej życiem ulicy. Wszystko to razem — Dymitrov rozgrzewający się do swoich wspomnień, jego praca terazniejsza i jego przeszłość tak krzyżąco nie pasująca do tego spokojnego, przepojonego interesem tła — wydaje mi się mało realne. Czy, kto i kiedy ze wszystkich otaczających nas Amerykanów byłby w stanie zrozumieć psychiczne oblicze tego człowieka?

„Potem próbował pan współpracować z Rosją” — rzucam mimochodem, wiedząc że i tak wątek opowieści nie zatrzyma się w tym punkcie.

„I tak i nie”, odpowiada Dymitrov. „Wracałem ze szczerą wiarą znalezienia formy współpracy tym bardziej, że przecież nasi ludzie byli wtedy w rządzie. Znalazłem się na bułgarskiej ziemi w 10 dni po wejściu tam Rosjan. Lecz niemal natychmiast zdołałem się zorientować, że rozbitcie wewnętrzne sprytnie było zorganizowane przez komunistów z Dimitrovem na czele. Tym

samym, który teraz może spowiadać się musi ze swych grzechów w Moskwie. Petkov i czterej inni nasi koledzy zostawali z nami w stałym kontakcie. Ja, jako przywódca partii, byłem informowany o tym co dzieje się w rządzie, o tym jakie są dalsze perspektywy. Co rano o 7-mej, przed rozpoczęciem urzędowania, Petkov i ci inni przychodzili do mnie i składali dokładne sprawozdanie. W okresie tym na ogół komuniści przychylnie odnosili się do Petkova, cały swój gniew koncentrując na mojej osobie”.

„Jak więc pan widzi, moje iluzje, jeżeli one kiedykolwiek były, rozwiały się szybko. Petkov został na posterunku, gdy mnie trzeba było uciekać”.

Zamyślił się, zasepił.

„To moja i tylko moja odpowiedzialność, to co stało się z Petkovem. Przed laty, gdy spokojnie pracowałem sobie naukowo w Paryżu, sprowadziłem go do kraju z powrotem, by kontynuując tradycję swego brata, wszedł w życie polityczne. To ja go wprowadziłem do bułgarskich sfer politycznych, ja przedstawiłem go jako nowego działacza chłopskiego. I gdy wtedy losy nas wszystkich ważyły się w Bułgarii, los Petkova miał być moim losem. Tylko, że ja uciekłem, a on musiał zostać”.

„Musiał?” zapytuje trochę naiwnie.

„Tak, musiał” z naciskiem podkreśla Dimitrov. „Nie było na to żadnej pisanej umowy, lecz i ja miałem zostać. Dopiero gdy mnie ze wszech stron otoczyli agenci policyjni, gdy inni usłużnie i przyjaźnie na ucho szepnęli co dla mnie za wymyślne tortury są przygotowywane, wtedy zapadła we mnie decyzja nie dopuszczenia do tego”. „Widzi pan — dodał filozoficznie „śmierć to jest właściwie rzecz bardzo łatwa i prosta. Natomiast śmierć poprzez tortury jest czymś tak potwornym, że ktoś kto tego nie przechodził, nigdy nie zrozumie tego. Byłem chory, w łóżku, kiedy przyszli mnie brać. 25 agentów krążyło wewnątrz i koło domu. I wtedy, idąc śmierci naprzeciwko, wyskoczyłem z trzeciego piętra na sznurze wątpliwej siły. Do dziś dnia nie wiem, jak to wyszło i jak się udało. Dość, że doznałem do ambasady amerykańskiej, że tam przesiedziałem pełne trzy miesiące pod regularnym obłożeniem i że wreszcie samolotem wywieziono mnie do Włoch. Moja żona i sekretarka ukarane zostały za mnie. Sekretarka umarła pod torturami. Miała 23 lata. Żona, trzykrotnie zbita do utraty przytomności, uratowała się ucieczką przy pomocy przyjaciół”.

Nie mogę się powstrzymać od zadania pytania, cisnącego się na usta: „Czy wobec tego ocenia pan za błędną politykę współpracy z Rosją? Za polityczną krótkowzroczność wierzenie w możliwość kompromisu, tak jak na przykład wierzył Mikołajczyk, pana dzisiejszy współpracownik?”

„Nie. Stanowczo nie” pada kategoryczna odpowiedź. „Nie wolno nikogo winić za to, że próbował, za to, że chciał, poświęcając osobistą ambicję, narażając własne życie i wolność, znaleźć możliwość współpracy z Rosją. Krytykują ci tylko, którzy sami nigdy

nie próbowali. Gdyby nie te próby, świat do dziś dnia nie rozumiałby przewrotności sowieckiej polityki”.

„A konsekwencje tego?” wtrącam. „Ilości ludzi wytraconych? A w wypadku Mikołajczyka, Jałta i jej implikacje?”

Dimitrov rzucił się.

„Nigdy jeszcze z nikim tego tematu nie dyskutowałem”, zaczął gwałtownie, „ale mogę panu powiedzieć tylko, że w walce musi być ofiara. A ta ofiara to jest cena za osiągnięte polityczne cele. Trudno. Nie ma na to rady. A co do Mikołajczyka... Ja wiem, że ludzie mu wiele mają do zarzucenia. Jałta? Czy on kiedy na nią się zgodził? Czy układ podpisał? Każą mu ją odwoływać, wtedy kiedy on nie ma czego odwoływać. Toż on do Polski po to pojechał, by z tym układem walczyć, nie po to, by pomagać w jego realizacji”.

Zamilkłem ja z kolei. Takiej interpretacji nie słyszałem jeszcze, była dla mnie nowością. Nie wynika ono z postępów Mikołajczyka, ani z jego wypowiedzi po-ucieczkowych. Zapewne zrodziła się już tutaj, już na emigracji, już w łonie Międzynarodówki Chłopskiej, której dzisiaj prezesurę piastuje. Gdyby bowiem była ona istotnym motywem wyjazdu do Polski w owym burzliwym roku 1945-tym, to Rosjanie i ich polscy uczniowie mieliby wszelkie prawa, ba — obowiązek, pozbycia się tego trojańskiego konia co to wbrew Anglii, Ameryce i Rosji samotnie postanowił z niesprawiedliwością jałtańskiej polityki w Warszawie walczyć.

Zmieniam szybko temat.

„Jakie są w tej chwili dziedziny, w których Zielona Międzynarodówka jest najbardziej aktywna?”

„Ma pan ostatnio najlepszy może dowód tej aktywności w debacie w ONZ nad procesami religijnymi w Bułgarii i na Węgrzech. Przyczyniliśmy się poważnie do tego, by sprawa ta pod obrady ONZ weszła. Jak pan wie, mamy biuro prasowe w Waszyngtonie i tam też siedzibę centrali. Działamy poprzez memoranda, osobiste kontakty, odczyty, artykuły, wpływy polityczne. Dajemy materiały do Głosu Ameryki, który współpracuje z nami bardzo wydatnie. Ostatnie nasze memorandum złożone Narodom Zjednoczonym było nadawane do Europy we wszystkich językach i to pełny tekst. W najbliższym czasie liczymy na uruchomienie stałego biuletynu prasowego”.

„Podstawy i zasady naszego działania? Bardzo proste. Chcemy po pierwsze osiągnąć wyzwolenie naszych wszystkich krajów od sowieckiej okupacji. Zielona międzynarodówka ma w swoim zarządzie przedstawiciela Polski, Bułgarii, a prócz tego Dr Vladko Macek, przedstawiciela Kroatów, Farneca Nagy, Węgra, Grigore Buzesti, Rumuna i Dr Milan Gavrilovic, prezesa serbskiej partii chłopskiej. Słowacy są reprezentowani przez Dr Fedora Hodza. Jak pan więc widzi, dosyć pełny skład krajów z zażelaznej kurtyny. W tej chwili pragniemy doprowadzić do zjednoczenia wszystkich wysiłków politycznych na wygnaniu i doprowadze-

nia do stworzenia międzynarodowego bloku demokratycznego.

„Przyszłość? To już chyba zależy od poszczególnych narodów i ich woli nareszcie wyrażonej w sposób swobodny, wolny od wszelkiej presji. Ale tkwić będziemy na dawnej płaszczyźnie reform politycznych i społecznych, na inicjatywie prywatnej w oparciu na szerszą skalę o ruch spółdzielczy, na proporcjonalnych podatkach od dochodów wzrastających w taki sposób jak tutaj, w Stanach Zjednoczonych czy Anglii, na publicznej kontroli podziału dochodów narodowych. Stać będziemy przy tym bardzo zdecydowanie na platformie federacyjnej. W tej chwili jestem w radzie głównej „United Europe” i widzę przyszłość naszą jedynie w związkach federacyjnych — regionalnych lub szerszych, zależnie od tego jak wyborcy i ich ciała ustawodawcze potem zdecydują”.

„Czy może mi pan przypomnieć w dwóch słowach historię międzynarodówki? Ludzie zapominają dzieje dawniejsze. Interesuje mnie specjalnie, w jaki sposób odżyła ona na terenie Ameryki?”

„Międzynarodowe Biuro Chłopskie powstało w Pradze w roku 1921. Ono stało się z czasem znane jako Zielona Międzynarodówka. Założona przez trzech przywódców chłopskich — Polaka, Bułgara i Czecha — rozszerzyła się ona bardzo szybko na Jugosławię, Francję, Rumunię, Szwajcarię, Grecję, Austrię, Niemcy i państwa bałtyckie. Biuro praskie stało się szampionem walki o prawa chłopów, stało się też źródłem z którego emanowała w świat nowa koncepcja polityki agrarnej. Gdy przyszła wojna, Niemcy usiłowali natychmiast Biuro zniszczyć, jako posterunek demokracji wysunięty daleko w głąb ich terenu działania”.

„Przywódcy chłopscy podczas wojny odbyli jedną wspólną konferencję w lipcu 1942 roku w Londynie. Bułgarzy, Czechosłowacy, Grecy, Węgrzy, Polacy, Rumuni i Jugosłowianie brali w niej udział. Po wojnie, gdy dyktatura komunistyczna opanowała kraje bałkańskie i Europy wschodniej, gdy działacze chłopscy jak Bela Kovacz, Iuliu Maniu, Dragoliub Iovanovic, Ian Ursini, Nicola Petkov albo zginęli, albo byli aresztowani, nastąpiła rezurekcja Zielonej Międzynarodówki na ziemi amerykańskiej. Ostatecznym sygnałem po temu było przybycie tutaj premiera Węgier, Nagy. 4 lipca 1947 roku, w dzień święta narodowego amerykańskiego, wydana została deklaracja w Waszyngtonie, ogłaszająca światu o dalszym kontynuowaniu prac i zadań naszej międzynarodówki”.

„Początkowo Polaków między wami nie było?”

„Nie. Specjalna deklaracja wydana 19 stycznia 1948 roku dotyczyła właśnie przystąpienia polskiej partii ludowej”.

„Czy miałyby pan jakieś komentarze co do rozłamu istniejącego w szeregach ludowców polskich?” rzucam nieśmiało pytanie.

„Kuncewicz?” — Dimitrov macha lekceważąco ręką. — „To bardziej personalne, aniżeli rzeczowe. Miałem listy od niego. Odpowiedziałem, że przede wszystkim potrzebna jest jedność.

Nie, ja tego nawet nie mogę nazwać rozłamem.

Wracam znowu do tematu zasadniczego.

„Czy memoranda składanego przez Międzynarodówkę do ONZ odnoszą jakiś rezultat?”

„Tak jest. Pierwsze złożyliśmy we wrześniu 1947, na temat którego odbyłem konferencję prasową dla prasy amerykańskiej w Waszyngtonie. To memorandum spotkało się z przychylnym przyjęciem ze strony większości obecnych delegatów. Nie zostało ono jednak zamieszczone na agendzie walnego zebrania na skutek kompromisu, zawartego niespodziewanie pomiędzy wielkimi mocarstwami. Drugie memorandum, przedłożone Radzie Bezpieczeństwa i podobnie jak pierwsze zwracające uwagę na warunki życia w krajach za żelazną kurtyną, zaatakowane zostało przez delegata sowieckiego a podkomitet wyraził się przychylnie co do przeprowadzenia w tej sprawie dochodzeń przy współudziale delegatów międzynarodówki. W październiku 1948 memorandum ponownie złożone zostało podczas paryskich obrad ONZ. Składało się ono ze wstępu natury ogólnej, dającego przegląd postępów sowietyzacji szkół, przemysłu, całkowitej likwidacji wolności i niepodległości narodowej oraz terroru w krajach okupowanych. Część druga stanowiła opis szczegółowy, na podstawie posiadanych przez nas dokładnych danych, warunków istniejących obecnie w poszczególnych krajach. Konkretne wypadki terroru, nazwiska ofiar, miejsca popełnianych gwałtów i nadużyć podano do wiadomości publicznej. Ostatnie memorandum przedłożyliśmy w kwietniu roku bieżącego. Żądamy w nim natychmiastowych dochodzeń w sprawie stałego pogwałcania praw ludzkich przez Sowiety i partie komunistyczne we wszystkich krajach, leżących dzisiaj za żelazną kurtyną”.

„Skutki tej akcji są znaczne. Jest prasa światowa, która nasze memoranda przedrukowuje, komentuje. Jest opinia publiczna, do której mamy coraz lepszy dostęp. I jest wielu wpływowych ludzi na wszystkich szczeblach administracji amerykańskiej, którzy istnienie nasze uznają”.

„Czy tylko uznają?” zapytuję trochę bezczelnie. „Wszak mówi się otwarcie, że Międzynarodówka jest finansowana przez Departament Stanu”.

Dimitrov śmieje się.

„Departament Stanu jest życzliwy, przychylny i — koniec. Nasza akcja idzie wyłącznie pieniędzmi przez nas samych zarobionymi — odczytami, artykułami, pracą na uniwersytetach. Dlatego musimy działać w tak skromnych rozmiarach, dlatego musimy ograniczać się w wielu wypadkach”.

„Cóż jeszcze pan chce wiedzieć? Wielkie mocarstwa popchnęły nas w ramiona Rosji, zmusiły do prób kollaboracji. Powiedziałem im to bardzo otwarcie i wyraźnie podczas ostatniego kongresu churchillowskiego „United Europe”. Teraz te same wielkie mocarstwa muszą, uznając swój błąd, jednocześnie przyznać, że my, chłopcy europejscy, jesteśmy uprawnieni do tego, by reprezentować wśród nich nasze narody. Rola nasza jest bardzo

trudna, jakkolwiek sytuacja nie jest tak beznadziejna, jak można by się spodziewać. W Rosji nie jest tak różowo... Raporty, jakie dostawałem z Bułgarii od chłopów, w chatkach których kwaterowały sowieckie wojska, były niezmiernie ciekawym faktem ogólnego niezadowolenia sowieckiego żołnierza z reżimu. Nie dałbym głowy, czy przeciw wewnętrzne zawalenie się bolszewizmu nie jest jednak rzeczą niemożliwą”.

Dimitrov wstaje. Kończymy ten przydługi wywiad, tę kilkadziesiąt minut trwałą rozmowę mocnym uściskiem dłoni. Wieje od tego człowieka taka mocna wiara i tyle młodzieńczego entuzjazmu, że trudno oprzeć się uczuciu podziwu i uznania. Uważając się za spadkobiercę Stambolijskiego, ten przywódca bułgarskich chłopów dawno zatracił normalną ocenę ludzkiego życia. Idzie swą drogą, naświetloną ideą i rozumie, że tak samo on jak i jego najbliżsi paść mogą w każdej chwili w walce, którą prowadzi. Może zresztą tragiczna historia jego ojczyzny, w której zabójstwa polityczne są zjawiskiem niemal codziennym, ma także wpływ na jego polityczne wychowanie, psychiczne nastawienie.

I gdy patrzę na pochyloną postać tego szpakowatego pana, którego pewno przechodnie biorą za spokojnego nauczyciela gimnazjalnego, lub businessmena goniącego za nowym interesem, opada mnie wewnętrzny niepokój. Jak on, bojownik, konspirator, polityczny więzień, twórca ruchu młodzieży chłopskiej w Bułgarii, dzisiaj przewodniczący bułgarskiego komitetu narodowego na obczyźnie, działacz anty-niemiecki, anty-królewski, anty-sowiecki, potrafi przestawić się nagle, z dnia na dzień, z wiecznego opozycjonisty, z walczącego rewolucjonisty, na spokojnego polityka kraju bez okupacji, wewnętrznej dyktatury, policji politycznej? Jak zachowa się w roli premiera Bułgarii, roli, do której zapewne się szykuje? Bułgarii wolnej, szczerze demokratycznej? Spokojnej?

Przyszłość da na te wątpliwości zapewne odpowiedź. Nikt inny nie potrafi rozwiązać tej wielkiej zagadki, jaką zawsze jest żołnierz i konspirator polityczny, partyzant przychodzący do władzy po zwycięskiej wojnie.

Zygmunt NAGÓRSKI, jr.

Najnowsza historia Polski

Parę uwag o wojnie, której nie było

W N-rze 15-tym „Kultury” pan Aleksander Bregman poruszył sprawę inicjatywy Marszałka Piłsudskiego z r. 1933, określanej najczęściej jako projekt wojny zapobiegawczej przeciw Niemcom. W ramach polskiej polityki zagranicznej jest to fragment najslabiej oświetlony, choć związana z nim i wciąż narastająca literatura — polska i obcojęzyczna — jest już nawet dość obfita: nikt tu faktu inicjatywy Marszałka nie kwestionuje, nikt nie ma nawet cienia wątpliwości, że krok taki istotnie był zrobiony. Piszącym brakuje tylko elementów raczej drugorzędnych — szczegółów, dotyczących czasu, osób, formy i warunków. Każdy z piszących usiłuje więc — w miarę sił swoich i możliwości — wypełnić ten brak przez powiązanie różnych faktów z tego okresu; mnożą się tą drogą domysły i przypuszczenia, wnioski i interpretacje — nie zawsze zgodne, raczej skłócone, nie wszędzie słuszne, częściej błędne. Niejedno nieporozumienie jest wynikiem zbyt wąskiego kąta patrzenia. Inicjatywa Marszałka wkracza bowiem do kilku rozgałęzionych dziedzin, wiąże się z szeregiem skomplikowanych problemów — nieuwzględnianie ich prowadzi nieuniknienie na drogę uproszczeń, nieraz zbyt jaskrawych.

Przedstawienie tych problemów — w połączeniu z krytyką dotychczasowych przyczynków — z próbą oddzielenia w nich ziarna od plew — wymagałoby studium historyczno-politycznego, idącego szerokim frontem faktów. Osobiście — zabierając w tej sprawie głos — nie chcę i nie mogę z wielu różnych względów i powodów brać tu na siebie tak poważnego zadania. Widzę jednak inną drogę — skromniejszą znacznie — drogę ułamkowych uzupełnień czy sprostowań błędów lub niedociągnięć. Mogłoby się to zredukować do jednego faktu nawet, a i wtedy jeszcze spełniłoby swoją pożyteczną — mam wrażenie — rolę; z rozsypanych drobiazgów powstaje z czasem wielka całość. Zamierzam dać tu kilka takich drobiazgów, biorąc za podstawę i punkt wyjścia dla siebie właśnie świeżo ogłoszony artykuł p. Bregmana.

W artykule tym spotykam się z uwagą, że sprawa inicjatywy Marszałka wychodzi na jaw „dopiero po latach” — w momencie, gdy właściwie „należy już do historii”. Nie jest to uwaga ścisła. Prawda, — w Polsce przed wojną o tej sprawie nie pisano i nie mówiono. Dopiero po katastrofie wrześniowej wśród uchodźstwa polskiego w Rumunii i we Francji krążyć zaczęły wersje niezbyt jasne i nieraz sprzeczne w szczegółach. Przyjmowano je najczęściej jako niespodziankę, w gruncie rzeczy jednak nie powinny były być ani niespodzianką, ani rewelacją — już choćby z tego tylko względu, że parokrotnie, a nadtęgo przed wybuchem wojny, o inicjatywie Marszałka — wbrew jego woli oczywiście — głośno było na świecie. Zapomniano u nas jakoś szybko, że na przełomie stycznia i lutego r. 1934 — a więc bezpośrednio po zawarciu polsko-niemieckiego paktu o nieagresji — pewne koła polityczne na zachodzie Europy, bardzo z tego paktu niezadowolone, chcąc „zdyskredytować” go — popełniły celową niedyskrecję. Uchylony przed prasą „rąbek tajemnicy” zamienił się w prawdziwy „róg obfitości” — w dziennikach angielskich, francuskich, włoskich powyrastały, jak przyśłowiove grzyby po deszczu „rewelacyjne” artykuły. Powrotna fala tych „rewelacji” przeszła przez pewne odłamy prasy zachodniej w maju r. 1935 — w związku ze zgonem Marszałka. Po raz trzeci — i w formie znacznie poważniejszej — sprawa przezornego wystąpienia Marszałka wypłynęła w r. 1937, kiedy to jeden z niemieckich emigrantów politycznych — Konrad Heiden — wydał w Holandii swoją książkę o Rzeszy i Hitlerze pt. „Ein Mann gegen Europa” — z dłuższym, bo kilkustronicowym fragmentem o inicjatywie Marszałka. Książka wywołała dość liczne echa i komentarze w prasie europejskiej, niebawem też — po roku — ukazała się w Londynie w przekładzie angielskim.

W styczniu r. 1940 internowany w rumuńskim Brasov minister Józef Beck przyjął w drodze wyjątku dziennikarza polsko-amerykańskiego p. A. Waldo i w rozmowie z nim stwierdził m. in.: „Przewidując już przed wielu laty to, co się stało obecnie, zaproponowaliśmy aliantom uderzenie na wroga, gdy dopiero siły swoje zaczynał tworzyć. Alianci sądzili, że bez wojny da się ten problem rozwikłać i Niemców w pochodzie ekspansyjnym powstrzymać. Nie wierzyliśmy w to i dziś widzimy, że słuszność była po stronie polskiej racji stanu...” Rozmowę swoją z ministrem Beckiem ogłosił p. Waldo w kilka tygodni później w nowojorskim „Nowym Świecie” i w cleve-landzkich „Wiadomościach Codziennych” (z datą 9 marca 1940 r.).

Publicystyka polska, ulegająca ówczesnej niezdrowej atmosferze, wołała wywiadu tego nie dostrzec. Bardzo żywe natomiast poruszenie — co prawda, w atmosferze już nieco innej — bo po katastrofie francuskiej wywołały w wojennej publicystyce polskiej trzy książki angielskie, wydane w Lon-

dyne gdzieś na przełomie r. 1940/1941. Autorem pierwszej („The Last Days of Paris. A Journalist's Diary”) był Alexander Werth, w swoim czasie paryski korespondent „Manchester Guardian”, później — redaktor „Sunday Times”. Druga („The Geneva Racket 1920 — 1939”) wyszła spod pióra Roberta Della, długoletniego korespondenta genewskiego tegoż «Manchester Guardian». Autor trzeciej książki („J'accuse! The Menn Who Betrayed France”) ukrył się pod niewiele mówiącem nazwiskiem André Simone'a — podobno jest nim znana dziennikarka francuska Gèneviève Tabouis. Trzej ci autorzy w toku swoich rozważań nad różnymi problemami z różnych okresów nie mało uwagi poświęcili inicjatywie Marszałka. Do rozpowszechnienia tych „rewelacji” wśród wojennego uchodźstwa polskiego przyczyniły się londyńskie „Wiadomości Polskie” — w maju i czerwcu r. 1941 ogłaszając bez sprostowań i bez komentarzy, z krótkim tylko wstępem polskie przekłady fragmentów z trzech tych książek oraz wspomnianej relacji K. Heidena. Z innych obcych publikacji należałoby przypomnieć o „Ils l'ont appelé Cassandre” wymienionej wyżej p. Gèneviève Tabouis. Nie mam — niestety — w tej chwili pod ręką przeczytanej przed paru laty książki A. Géraud-Pertinaxa o polityce francuskiej czasu wojny, ale notatki moje — robione bezpośrednio po przeczytaniu — mówią, że i on stwierdza, iż Marszałek Piłsudski przez wojnę przewencyjną chciał zapobiec straszliwej katastrofie. Z późniejszych — powojennych już — publikacji wymienię tu w porządku chronologicznym: wydany w r. 1945 w Moskwie - Leningradzie tom trzeci sowieckiej „Istории Diplomatii”, wspomnienia p. André François-Ponceta „Souvenirs d'une ambassade à Berlin” (1946) i najświeższą — w zeszłym roku wydaną — książkę p. Wheeler-Bennetta: Münich — „Prologue to the Tragedy”.

Przechodząc na odcinek publicystyki polskiej — powołałam się przede wszystkim na Ignacego Matuszewskiego, który poruszał tę sprawę niejednokrotnie w szeregu swoich artykułów w prasie polsko-amerykańskiej, m. in. w pośmiertnym wspomnieniu o Józefie Becku i — dość przejrzyście — w swej głośnej i wspaniałej „Woli Polski”. Parę wnikliwych uwag pozostawił po sobie Adolf Bocheński — w polemice z p. G. Tabouis (artykuł o „Wojnie przewencyjnej” w „Orle Białym” z listopada 1943). Kazimierz Smogorzewski w artykule-recenzji „Mistrz i uczeń” (londyńskie „Wiadomości Polskie”, kwiecień 1942) — mówiąc m. in. o inicjatywie Marszałka — przytoczył (jedeny bodaj!) — także i cytowane tu słowa min. J. Becka z jego rozmowy z p. A. Waldo. Cat-Mackiewicz kilkakrotnie wracał do tej sprawy — po swojemu ją interpretując — w książce o polityce Becka, w „Latach Nadziei” i w „Historii Polski”. Bardzo ogólnikowo i raczej mętnie mówi o inicjatywie Marszałka p. Józef Lipski w szkicu swoim o „Stosunkach polsko-niemieckich w świetle aktów norymberskich (nr 2/3

londyńskich „Spraw Międzynarodowych”). Oczywiście — w wielu innych emigracyjnych drukach polskich spotykało się i spotyka się do dziś jeszcze echa i ślady wymienionej tu literatury — są to już jednak tylko lapidarne stwierdzenia faktu bez szczegółów, powoływania się na świadectwo innych, cytaty bez sprostowań, słowem — odgłosy, nie wnoszące nawet drobnych elementów nowych¹⁾.

Nie wiem dokładnie, jak było w kraju w okresie wojny. Polska prasa podziemna docierała na zachód w przypadkowych tylko ułamkach, a spotykane tam — nawet dość często — wzmianki były bądź to powtarzaniem niesprecyzowanych pogłosek, bądź też wyraźnym echem londyńskich „rewelacji” Heidena, Della czy Tabouis i bezkrytycznym przyjmowaniem nawet najbardziej jaskrawych błędów. Powojenna już publicystyka krajowa — a więc spod okupacji sowieckiej — ograniczona w swoich możliwościach, odcięta od literatury zachodu — błąka się przeważnie na marginesach paru tylko dostępnych tam książek — François Ponceta, p. Tabouis, czy wreszcie sowieckiej „Historii Dyplomacji”. Na uwagę zasługiwałyby właściwie tylko dwa artykuły Pawła Jasienicy (o „Sprawach Września” i o „Wojnach, których nie było”), ogłoszone w marcu r. 1947 w krakowskim „Tygodniku Powszechnym”.

Z tej nieubogiej, mimo wszystko „literatury przedmiotu” p. Bregman sięga tylko po «rewelacje» Della, po wspomnienia François-Ponceta i po sowiecką „Historię Dyplomacji”. Mam ponadto wrażenie, że pisząc swój artykuł — znał relacje Heidena albo odpowiednie fragmenty z książek p. Mackiewicza. O innych źródłach nie wspomina. Nie myślę robić z tego zarzutu. Każdy sięga po źródła, odpowiadające potrzebom jego konstrukcji. Zresztą — dodatkowe cytaty z książek Wertha, Tabouis czy Wheeler-Bennetta nie mogłyby też wyświecić wątpliwości.

Bez zasadniczych zastrzeżeń przyjąć można te uwagi p. Bregmana, które prowadzą czytelnika do wniosku, że odmowna odpowiedź zachodu na sugestie Marszałka przekreśliła wielką jego koncepcję. Oczywiście, — Polska nie mogła wystąpić sama tylko — nie mogła wziąć na siebie tylko całego ciężaru walki. Niemcy były nieuzbrojone i bardzo jeszcze słabe w sensie militarnym — to prawda; ale stutysięczna Reichswehra była doskonałą, świetnie wyszkoloną kadram, musiała też mieć nieznanne bliżej, ale zawsze dość poważne zasoby materialne. Skapitulowa-

1) Dla ścisłości i ze względów bibliograficznych dodam tu, że sprawę inicjatywy Marszałka Piłsudskiego próbowałem przedstawić w artykule swoim pt. „Na marginesie deklaracji Churchilla”, ogłoszonym 30 stycznia 1942 w nr 4 „Myśli Polskich”, wydawanych konspiracyjnie we Francji pod okupacją niemiecką. Do sprawy tej wróciłem raz jeszcze — przytaczając zarówno wywiad p. Waldo u min. Becka, jak i istniejącą już wówczas literaturę przedmiotu w większej swojej pracy pt. „Jak i dlaczego doszło do wojny?”, ogłoszonej w księdze zbiorowej „Wrzesień 1939 — w czwartą rocznicę” (wyd. r. 1943 przez Drugą Dywizję Strzelców Polskich w Sz wajcarii).

laby prawie na pewno bez walki wobec połączonych sił polskich i francuskich — z drugiej strony, również prawie na pewno nie uległaby bez próby sił z samą tylko armią polską. Marszałek zresztą — myśląc o wojnie zapobiegawczej — ważył długo i starannie wszelkie możliwości — zbadał wszelkie, nawet bardzo liczne ewentalności; jak zawsze, tak i tu — długo i wszechstronnie badał „grunt pod nogami” — jak zawsze, tak i tu starannie wymierzał każdy krok, by nie był „ani za wielki, ani za mały” — by odpowiadał realnym możliwościom. O ile wiem — to jeszcze przed swym sondażem na zachodzie, przed jego odmowną odpowiedzią — Marszałek zastanawiał się nad szansami samodzielnego wystąpienia Polski, licząc że może krok taki — pierwsze silne uderzenie, uwiecznione sukcesem — wywoła swoje konsekwencje w postawie zachodu. Okazało się jednak, że i to jest sprawą w najlepszym razie niepewną. Ówczesną siłę armii polskiej uważał Marszałek nawet za wystarczającą dla takiego wstępnego uderzenia. Ale — co potem? Bardzo, a bardzo zniekształconym echem tych spraw jest zdanie, użyte przez p. Ciałackiego jako motto na karcie tytułowej jego „Lat Nadziei”: „wy w wojnę beze mnie nie leźcie, wy ją beze mnie przegracie!..” Zdanie to — powtarzane w druku tu i tam — wymaga sprostowania. P. Mackiewicz, przypisując te słowa Marszałkowi, nie wymienia żadnego źródła, nie przytacza nazwisk, nie podaje daty — z treści jego książki wynika jednak, że te słowa Marszałka rozciąga na wszystkich polskich dowódców i wiąże je z wojną r. 1939. Zachodzi tu co najmniej nieporozumienie, polegające na zniekształceniu słów i przedstawieniu sprawy w czasie. Nie z myślą o wojnie r. 1939 — lecz w związku z projektem wojny zapobiegawczej mówił Marszałek istotnie z zastrzeżeniami o wyższych polskich szczeblach dowódczych — niektórych generałów bardzo ostro osądzał i nie chciał w projektowanej walce z Niemcami powierzać im odpowiedzialnych i poważnych zadań, bo mieli niedostateczną siłę charakteru i stali na zbyt niskim poziomie wiedzy i przygotowania. W pierwszych dniach maja r. 1934 do szczytowego grona osób, zebranych u niego w Belwederze, powiedział o tych dowódcach — w związku z poniechanym już projektem: „Ci panowie nie powinni byli przekroczyć progów generalstwa — wolałbym nawet już austriackie ekscelencje; byli to wstrętnei i obrzydliwi ludzie, ale przynajmniej coś umieli!..”

Idąc dalej za-biegiem myśli p. Bregmana — zatrzymam się jeszcze przy dwóch, jakby mimochodem przez niego rzuconych uwagach. W pierwszej z nich mówi, że „Piłsudski nie miał zaufania do najbardziej nawet oddanych dyplomatów” i dlatego — występując z inicjatywą — wołał „posługiwać się wojskowymi”. Pierwsza połowa zacytowanego zdania jest co najmniej zbyt kateryczna i nie sądzę, by p. Bregman miał łatwe zadanie, gdyby musiał tęzę taką rzeczowo uzasadnić. W części drugiej zdania niewłaściwie użyta jest przez p. Breg-

mana liczba mnoga. Sprawę — zresztą na pewnym tylko odcinku — prowadził generał Bolesław Wieniawa Długoszowski, któremu Marszałek i przedtem — i to niejednokrotnie — powierzał najbardziej poufne i odpowiedzialne misje. O nieujawnionej dotąd przez nikogo roli Wieniawy w dziejach inicjatywy Marszałka mówił mi minister Beck, gdy byłem u niego w Brasow — w grudniu r. 1939. Sam Wieniawa — związany z Beckiem najgłębszą przyjaźnią osobistą — potwierdził to w rozmowie ze mną w czasie mego krótkiego pobytu w Rzymie w styczniu r. 1940, gdy myślałem o ogłoszeniu — przy jego pomocy i w drodze poprzez stosunki z ambasadą amerykańską w Rzymie — pewnych materiałów w prasie amerykańskiej²⁾.

W swej drugiej — niestety nie mniej katerycznej — uwadze p. Bregman stwierdza, że „ministerstwo spraw zagranicznych nie wiedziało o podjętej przez Piłsudskiego inicjatywie”. Ministerstwo — to dość liczny zespół referentów, naczelników, dyrektorów. Jeśli p. Bregman ich tylko ma na myśli — to nie byłoby tu wcale powodów do zastrzeżeń. Czytelnik wszakże odnieść może — więcej, bo odnieść musi wrażenie, iż p. Bregman twierdzenie swe rozciąga także i na ministra Becka. Jeśli tak — to byłby w tym błąd bardzo, a bardzo zasadniczy — i byłby dowód nieorientowania się zarówno w istocie stosunku Marszałka Piłsudskiego do min. Becka — jak i w stałej dbałości Marszałka o poprawność form w kulturze życia politycznego w Polsce. A wobec tego mego stwierdzenia narzuca się pytanie — dlaczego w takim razie sprawę — na pewnym odcinku — załatwiał Wieniawa? Odpowiedź na to jest bardzo prosta. P. Bregman słusznie stwierdza, że Marszałek Piłsudski — występując z inicjatywą — „miał prawo liczyć, iż istnieje przynajmniej dobra szansa przyjęcia jego propozycji”. Niewątpliwie — tak. Z drugiej strony wszakże — wobec istniejącego już i wówczas układu sił i stosunków w życiu międzynarodowym — miał Marszałek co najmniej takie same podstawy do przewidywania, że zachód sugestii jego nie przyjmie. Akcję, której rezultat nie mógł być pewny, wołał Marszałek skierować kanałami raczej wojskowymi i osobistymi — a nie narażać na możliwe niepowodzenie ministra, dla którego — po dokonanych właśnie zwrocie w polityce — zwrocie tylko w sensie jej aktywizacji — przewidywał z góry szereg najpoważniejszych zadań i celów.

2) Zresztą — o inicjatywie Marszałka i roli Wieniawy mówił mi min. Beck — w wielkim skrócie i oczywiście z zastrzeżeniem poufności — już na parę lat przed wojną, gdy — nie znalazłszy w archiwum ministerstwa dostatecznie pełnych śladów myśli i woli Marszałka w tej dziedzinie naszego państwowego działania — próbowałem uzupełnić te braki przez zebranie świadectw i relacji od tych naszych dyplomatów i polityków, którzy z polecenia Marszałka załatwiali jakiegokolwiek sprawy z tej dziedziny. Pisałem o tym w trzeciej części swego „Rumuńskiego Rozdroża” — zob. „Kultura”, nr. 9/10, str. 167.

Bardzo poważne zastrzeżenia budzić muszą również już zgoła błędne uwagi p. Bregmana o stosunkach polsko-sowieckich. Według niego — Marszałek Piłsudski z myślą o wojnie rewolucyjnej „starał się wzmocnić pozycję Polski poprzez poprawę stosunków z Sowietami” i w tym celu „wkrótce po rozmowie Wysocki — Hitler (2 maja 1933) wysłał redaktora „Gazety Polskiej” p. Bogusława Miedzińskiego do Moskwy”.

— Nie! — nic podobnego! — p. Bregman najwidoczniej nie wie, że dążenie do ułożenia i utrzymania w dobrej formie stosunków z wszystkimi sąsiadami uważał Marszałek zawsze za naczelną zasadę polityki polskiej. Co najmniej więc nieścisłością — i to bardzo jaskrawą! — jest wiązanie projektu wojny rewolucyjnej z dążeniem do poprawy stosunków z Moskwą. Nie ma tu — oczywiście — miejsca na przedstawienie całości kształtu stosunków polsko-sowieckich, które po zawarciu traktatu ryskiego przez długi szereg lat rozwijały się — dzięki perfidnym metodom Moskwy — pod znakiem różnych przeciwności i nawet poważnych tarć. Do względnie polepszenia w tych stosunkach doszło dopiero na przełomie lat 1928/1929, kiedy to — po kilku miesiącach rokowań — podpisany został tzw. protokół Litwinowa, będący odpowiednikiem paktu Kelloga. Dalszym etapem był polsko-sowiecki pakt o nieagresji, podpisany już w lipcu r. 1932, a więc na długo przed przyjęciem Hitlera do władzy — i w dodatku po pertraktacjach bardzo długich, bo trwających około roku. Zawarcie tego paktu ożywiło zupełnie dotąd martwą dziedzinę wzajemnych stosunków polsko-sowieckich. W Moskwie odbyła się m. in. wystawa sztuki polskiej, artyści polscy przyjeżdżali tam na występy (koncerty K. Szymanowskiego, E. Turskiej-Bandrowskiej, chóru Dana) — artyści sowieccy występowali w Warszawie; wymianie wizyt między przedstawicielami literatury i prasy towarzyszyły obustronne odwiedziny lotnictwa i marynarki wojennej. To ożywienie trwało mniej więcej do końca r. 1933 — po czym Moskwa zaczęła to hamować coraz bardziej. P. Bregman wyolbrzymia i przecenia znaczenie podróży pana Miedzińskiego do Moskwy — wizyta moskiewska redaktora „Gazety Polskiej” była tylko odpowiednikiem dla pobytu w Warszawie i w Polsce — w lecie r. 1932 — Karola Radka, jako redaktora moskiewskich „Izwestij”...

Oto mniej więcej wszystko, co można — a raczej co trzeba powiedzieć na marginesie artykułu p. Bregmana. Może niebawem wrócę jeszcze do tego wielkiego problemu, by — w innej formie — przedstawić go według moich sił i możliwości.

Pisałem w marcu r. 1949.

WŁ. POBÓG-MALINOWSKI.

Zabiegi niemieckie u Paderewskiego

Publiczny spór o zaginięcie czy też ukrycie testamentu Ignacego Paderewskiego oraz administrację masą spadkową wydobyl na światło dzienne pewne nieznanne dotychczas szczegóły z epoki najbardziej chyba dramatycznej naszych dziejów. Chodzi tu o nieudane zabiegi niemieckie u Paderewskiego, mające nakłonić go w pewnym momencie do odegrania roli polskiego Pétain'a „avant la lettre”. Sprawa ta została poruszona w roku 1948 — w chwili najgorętszej dyskusji na temat testamentu Paderewskiego, kiedy w Szwajcarii ukazały się aż dwie książki temu poświęcone, a cała prasa uczestniczyła w tej publicznej rozprawie. Pani Simone Giron de Pourtalès postawiła w swej książce pt. „**Le drame Paderewski**” szereg zarzutów pod adresem p. Strakacza i szwajcarskiego zarządcy majątków Paderewskiego p. Vallotona. Strona przeciwna, broniąc się, próbowała m. in. podważyć jej oskarżenia przez atak osobisty, stawiając zarzut, iż żywiła ona w swoim czasie duże sympatie do hitleryzmu i że próbowała wpłynąć na zmianę nieprzejednanego stanowiska Paderewskiego wobec Niemców. Rzecz zrozumiała, że p. Giron w obecnej koniunkturze politycznej zachowuje raczej dyskretne milczenie na ten temat, tym bardziej iż — jak słyhać — umieściła ona ostatnio swe sympatie po stronie innego dyktatora... Stalina. Redaktor tygodnika szwajcarskiego „**Servir**”, który odwiedził ją w ub. roku, nie potrafił więc wydobyc dużo więcej szczegółów. P. Giron, którą życie światowe zetknęło z kołami dyplomatycznymi, miała od r. 1936 również wiele znajomości wśród dyplomatów niemieckich. W lipcu 1939 r. odwiedził ją w Genewie specjalny wysłannik Ribbentropa w towarzystwie konsula i wicekonsula niemieckiego i skłonił do pośredniczenia wobec Paderewskiego z jakimiś propozycjami dojsca do porozumienia z Polską. W październiku tegoż roku, a więc już po rozgromieniu Polski, ten sam wysłannik Ribbentropa przybywa ponownie i p. Giron podejmuje się misji pośredniczenia w przekazaniu Paderewskiemu propozycji spotkania z Hitlerem w Rzymie. Pani Giron nie wymienia nazwisk osób, które u niej w tej sprawie były, ani nie precyzuje bliżej treści pierwszych propozycji z lipca 1939 r. Jednakże adwokat lożański p. André Baumgartner w swej książce pt. „**La vérité sur le prétendu drame Paderewski**” (Documents et témoignages.

Editions de la Cité, Genève 1948) ogłasza wymianę korespondencji między p. Giron a Paderewskim w tej sprawie oraz szereg innych dokumentów jej dotyczących. Poniżej podajemy w tłumaczeniu polskim te spośród nich, które wydają się mieć znaczenie dla rzucenia światła na ten nieznaną fragment historii ostatniej wojny.

Kilka słów wyjaśnień, kim jest p. Giron. W roku 1897 Paderewski zakupił w gminie Morges, kantonu Vaud w Szwajcarii, posiadłość Rioud-Bosson, które stało się ulubionym miejscem pobytu Mistrza. W roku 1905 osiedlił się w Morges znany szwajcarski artysta-malarz Charles Giron wraz ze swą żoną i córką. Od tego też czasu rodzina Giron należała do bardzo bliskich przyjaciół Paderewskich, a mała Simone była ulubienicą w domu Mistrza. Po latach p. Giron, rozwiódłszy się ze swym mężem hr. de Pourtalès, żywiła pono — jak twierdzi mecenas Baumgartner — nadzieje poślubienia owdowiałego pianisty. Nie ma to oczywiście żadnego związku bezpośredniego z wypadkami politycznymi. W każdym razie jej kult dla Paderewskiego dochodził do chorobliwej niemal egzaltacji. Charakterystyka p. Giron ma również znaczenie dla właściwej oceny nieudanej „misji”, wydaje się jednak celowe dokonanie jej łącznie z analizą ogłoszonych listów i dokumentów, których fragmenty podajemy w porządku chronologicznym.

Paryż, dn. 24 kwietnia 1939 r.

«Mistrzu,

Niech się Pan nie trwoży o Polskę — nie ma jeszcze znaków wojny na niebie.

Przyjaciele moi, świeżo przybyli z Warszawy, mówią, że panuje tam całkowity spokój. Wszystko się jakoś ułoży, trzeba się ugodzić.

Dzięki Niemcom, Polska uzyskała Cieszyn, Kowno i granicę węgierską. Czyż nie można by w zamian za to przyznać im *podziemną autostradę*? Niech Pan podsumie tę myśl. Jakże było by to pięknie ze strony Pana, który kiedyś wyznaczyłeś granicę! Trzeba być uzbrojonym po zęby, ale jednocześnie obiektywnym. Z miłości dla Polski. Przecież Prusy Wschodnie nie mogą być stale odcięte od reszty Niemiec, a podziemna autostrada nie stanowiła by niebezpieczeństwa dla Polski. Geniusz niemiecki zrobiłby z tego wspaniałą ersatz konstrukcję nadziemnej, a przy tym byli by oni bardzo zadowoleni ze swej autostrady! Myśl ta nie dawała mi spać dzisiejszej nocy i jestem przekonana, że jest to dobry pomysł! Niech Pan to rozważy Mistrzu i działa szybko! To pozwoli uniknąć wielu komplikacji! W sprawie Gdańska zaś, czy nie można by przyjąć w ostateczności *drogi plebiscytu i wymiany*? Piszę do Pana z Francji sterroryzowanej i przerażonej widmem wojny: nowe podatki, maski gazowe, wściekłość i nienawiść. Mam głębokie przekonanie o słuszności pewnych rzeczy, jak i o tym, że należy się ugodzić. W tym wy-

padku jest to naprawdę łatwe. Proszę Mistrzu, niech Pan to rozważy i działa szybko!...»

«Genthod, 19 lipca 1939.

Mistrzu,

Piszę do Pana tych kilka słów w oczekiwaniu zobaczenia się z Panem, by prosić Go z całego serca o wejście w kontakt z Rządem Polskim, który również pragnie ugody i rozumie jej konieczność, ale ze względu na opinię ludności nie śmie nic zrobić. Sierpień będzie złym miesiącem. Trzeba aby wystąpiła wielka postać. Cieszy się Pan zaufaniem Narodu i to jest siła, którą mógł by Pan wesprzeć Rząd. *Jeżeli Polska nie porozumie się z Niemcami, to Niemcy zwrócą się ku Rosji, co grozi rozbiorem. Wasi sprzymierzeńcy są zbyt daleko, a Włochy są już tylko kolonią niemiecką.* Król mówił niedawno temu, że jeszcze w roku ubiegłym mógł zapobiec wojnie, ale że w tym roku już nie panuje nad sytuacją.

Oto do czego Mussolini doprowadził swą ojczyznę! *Jestem pewna, że, w razie współpracy, Hitler podniósłby potęgę i znaczenie Polski — na przykład Niemen jest piękną rzeką...* Nawet gdyby Pana drogo miało kosztować zwrócenie się do Rządu Polskiego, niech Pan się przewycięży, Mistrzu, przez miłość dla ludzkości. Bóg Panu to wynagrodzi.

«24 sierpnia 1939.

«...Jestem zrozpaczona tym, co zrobiła Polska. Oto przymierze niemiecko-rosyjskie... Pozostaje już tylko jedna rzecz do zrobienia, jeżeli w ogóle jest jeszcze na to czas! *Odstąpić Gdańsk jako wolny port, oddać korytarz i zaanektować natychmiast państwa bałtyckie jako rekompensatę...* Przy współpracy Hitlera wszystko było możliwe. Być może nie jest jeszcze za późno na zerwanie tego przymierza, zajmując z jego zgodą te państwa, co uczyniłoby Polskę wielką i dałoby jej szeroki oddech... Zaparcie się narodu polskiego jest szaleństwem! Czemu ludzie są aż tak zaślepieni? Jeżeli jest to w Pańskiej mocy, Mistrzu, niech Pan podtrzyma Rząd Polski w pragnieniu ugody. Lud nie jest powołany do rządzenia i myślenia.»

«Genthod, 2 października 1939.

Mistrzu,

Nie posiadam się z radości!*) Zbliży się wielka chwila — wszystko jest w Pańskim ręku! Świat jest zgubiony, ale Pan może go zbawić! Trzeba aby zobaczył się Pan z Hitlerem! On jeden może wskrzesić Polskę. *Zdrugotanie Niemiec utatwiliby jedynie czerwony zalew.* Jesteśmy na skraju przepaści i tym razem Polska będzie na zawsze

*) List napisany na wiadomość o mianowaniu Paderewskiego Prezydentem Rady Narodowej.

z gubiona! Mistrzu, trzeba działać! Niech Pan wierzy w Hitlera! Katastrofa byłaby do uniknięcia, gdyby w Pańskiej ojczyźnie był wielki człowiek u władzy, lecz Hitler znalazł się wobec rządu, który najpierw gloryfikował go przez pięć lat, a potem zakpił sobie z niego. *Dano mu wpaść we własne sidła — przymierze rosyjskie było aktem rozpacz, gdyż nie mógł on już nawrócić z drogi na którą wkroczył... od początku należało prowadzić rozmowy i działać, wszystko było możliwe... Polska potrzebuje Niemiec bardziej niż jakiegokolwiek innego kraju na świecie, przeciw czerwonym szponom przede wszystkim.*

Dla Pana, Mistrzu, dla generała Sikorskiego, dla bohaterstwa polskiego narodu Hitler dokonałby wielkich rzeczy... *Trzeba się z nim zobaczyć! Mussolini i król błogostawiliby Pana, gdyby się Pan do nich zwrócił o zorganizowanie spotkania w Rzymie.* Wszystko jest w Pańskiej mocy. Niech Pan pomówi z gen. Sikorskim. Widzi Pan — oto już przeważają prawdziwe wartości i odzyska Pan stanowisko, którego nigdy nie powinien Pan być opuszczać... Polska odrodzi się w oparciu o bardziej szczęśliwe zasady; będzie Panu dana moc; świat potrzebuje Pana, a Hitler w równej mierze jak Polska... *Trzeba go ratować — inaczej wszyscy jesteśmy zgubieni.* Mam Panu tyle do opowiedzenia, Mistrzu; nie posiadam się z radości na myśl o wspaniałym dziele, które jest Panu powierzone i do którego jest Pan przeznaczony od urodzenia... Polskę symbolizuje odąd rząd legendarny i bohaterski a potęgą umysłu jest silniejsza niż moce materialne... »

«Genthod, 3 października 1939.

«... Im więcej słyszę różnych zdań, tym bardziej czuję, że tylko geniusze mogą uratować świat. Anglia do ostatniej minuty dostarczała Niemcom wszystkich surowców i materiałów wybuchowych, popychając Polskę do oporu... Hoare Belisha, minister wojny, jest Żydem. Za wszelką cenę należy opanować chaos. *Zbliżamy się do największego momentu dziejów, w którym rozstrzygną się losy świata...* »

W tym czasie następuje zerwanie stosunków między p. Giron a Paderewskim. Pani Giron proszona jest telefonicznie przez p. Strakacza, aby zaniechała dalszych wizyt w Rioud-Bosson. W dniu 8 października 1939 pisze ona list do Paderewskiego z prośbą o osobiste i bezpośrednie zakomunikowanie jej tej decyzji. Paderewski odpowiada na to obszernym listem, którego przekład podajemy poniżej:

«Rioud-Bosson, Morges, 15 października 1939.

Madame Simone Giron de Pourtalès,
La Terrasse, Genthod (Genève).

Droga Pani,

Z dużą przykrością piszę w sprawie, którą widzę się

zmuszony poruszyć ze szczerością jedynie — wydaje mi się — godną długiej i czulej przyjaźni dla całej Drogiej mi Rodziny.

Pragnąłbym i życzyć sobie z całego serca, aby list mój nie rzucił żadnego cienia przede wszystkim na przyjaźń, którą Pani Giron zechciała okazać mojej siostrze i mnie samemu i którą byliśmy szczęśliwi żywić nawzajem bez zastrzeżeń.

Jednakże, ponieważ nalega Pani na odpowiedź bezpośrednią z mojej strony — oto ona:

Ze względu na wielką różnicę zdań o Hitlerze i jego roli, która nas dzieli, i zważywszy, że Rzesza Niemiecka uważana jest w Rioud-Bosson, i to ze słusznych powodów, za kraj wrogi, walczący o triumf barbarzyństwa, podczas gdy Pani nie tylko zachowuje przyjaźń i podziw dla niej, ale, co więcej, usiłuje nam wyjaśnić swój kult i nawet nakłonić do podzielania go, wskazane jest zawiesić — przynajmniej chwilowo — nasze stosunki.

Nasz ból jest zbyt wielki, nasza godność zbyt ciężko dotknięta, abym był w stanie dyskutować na chłodno zagadnienia, co do których dzieli nas różnica zdań.

Nie będę więcej usiłował przekonywać Pani, że Hitler był zdecydowany uzyskać całkowite podporządkowanie się mego kraju, tak jak Pani — jestem tego całkowicie pewny — nigdy nie zdoła mnie przekonać, że chciał on dobra Polski.

Nie żałuję wcale zburzenia naszych kwitnących miast ani naszych spokojnych wsi. Jest to cena naszego honoru, a zarazem najlepsza gwarancja naszego prawa do niepodległości.

Jestem dumny z mego narodu, z jego bohaterstwa, z jego miłości ojczyzny i z jego zdolności do poświęceń.

Gdyby to trzeba było powtórzyć, ani chwili nie zważałbym się zachęcać mój naród do jak najbardziej zacieklego oporu.

Mam wrażenie, że sens, jaki Pani i ja nadajemy pojęciu patriotyzmu, różni się znacznie. Polacy, wydając walkę najeźdźcy wbrew wszelkiej nadziei powodzenia, udowodnili raz jeszcze, że wolą raczej śmierć w obronie wolności niż ujarzmienie.

Przez swój opór oddaliśmy wielkie usługi naszym Aliantom. Uzyskali oni czas, potrzebny na zorganizowanie frontu zachodniego.

Polska pozostała wierna danemu słowu i jestem w stanie Panią zapewnić, że nasi Alianci dotrzymają też swego.

Czekają nas chwile ciężkich doświadczeń. Trzeba abyśmy zachowali całą naszą zimną krew, całkowitą trzeźwość sądu i pełną stanowczość w powziętej decyzji.

Nasza walka jest słuszna, nasze cele czyste — zobowiązaliśmy się na nasz honor walczyć o triumf prawa i sprawiedliwości i nasze będzie zwycięstwo.

Proszę Panią o przekazanie wyrazów mego najwyższego szacunku Matce Pani. Zechce mi Pani wierzyć, że gdy tylko miną te niespokojne czasy, będę szczęśliwy mogąc dać wyraz moim serdecznym uczuciom dla Pani, których by-

najmniej nie odbieram, ale których w chwili obecnej nie widzę możliwości przejawiać.

I. J. Paderewski.

17 października 1939.

Mistrzu,

Gdybym mogła przewidzieć, że czynię Panu przykrość mówiąc o polityce, nigdy bym tego nie robiła. Jedno słowo z Pana strony wystarczyłoby.

Niech mi tylko wolno będzie jeszcze Panu powiedzieć, że jeżeli występowałam wobec Pana w tej sprawie, to tym nie mniej zabiegałam z całej duszy u drugiej strony i że nadszedł moment, w którym mógłby Pan być wysunąć wobec Rzeszy swe sugestie co do odbudowy nowej, wolnej Polski.

Nikt bardziej niż ja nie ma poczucia honoru i sprawiedliwości, jednakże nie należy być bardziej rojalistą niż sam król: słyszałam, że bohaterscy Polacy,*¹) przybyli w tych dniach z Warszawy, pragną ze wszystkich sił rychłego przymierza z Niemcami. Pragnę Panu powiedzieć, że przez wzgląd na Pana, który jest odmiennego zdania, powstrzymam się od spotkania z tymi osobistościami.

Jeśli chodzi o Aliantów, to w żadnym wypadku nie wypowiedzą oni nigdy wojny Rosji i ta ostatnia sama jedna triumfować będzie na ruinach Polski na zawsze zgubionej — takie oto będzie ich zwycięstwo!...

W dniu 1 stycznia 1940 r. p. Giron pisze do Henryka Opińskiego m. in.:

«... Bardzo żałuję, że przyjął Pan dziecinny argument moich odezwań się o Hitlerze, jako uzasadnienie. Nie mam zwyczaju mówić na wiatr i jeżeli nalegałam w tej sprawie, to aby przygotować teren, gdyż właśnie uzyskałam od Rzeszy (w początku października) obietnicę wysłania ambasadora do Morges, który miał wysłuchać sugestii Paderewskiego i gen. Sikorskiego odnośnie odbudowy nowej Polski niepodległej z dostępem do morza. Szkaradna intryga Strakacza zerwała wszystkie pomosty, a Mistrz uprzedzony nie miał odwagi czy też możliwości reagować... Można było wpaść w rozpacz. Powinnam była natychmiast uprzedzić gen. Sikorskiego, jednakże nie mogłam być bardziej Polką, niż wielki Polak. Moje długie i ogromne wysiłki i moje oddanie sprawie poszły na marne: przyjazd ambasadora musiał być odwołany. Jeżeli wasz biedny kraj płaci dziś okrutnie, możecie za to podziękować Strakaczowi, który zawsze i od początku był przeciw mnie, wówczas, kiedy Rzesza szukała kontaktu z Paderewskim dla możliwej mediacji, w celu dojścia do dwustronnego porozumienia, co przyczyniłoby się do wielkości Polski i pozwoliłoby uniknąć tej okrutnej wojny, której widzieliśmy dotąd jedynie wstęp...»

*¹) P. Baumgartner opatruje ten ustęp następującą uwagą: czy p. Giron zna przynajmniej ich nazwiska? I czy ten ustęp nie jest raczej zredagowany po to, aby wzbudzić wątpliwość w umyśle Mistrza i podważyć jego stanowczość?

zumienia, co przyczyniłoby się do wielkości Polski i pozwoliłoby uniknąć tej okrutnej wojny, której widzieliśmy dotąd jedynie wstęp...»

W sierpniu 1940 r. p. Giron sporządziła notatkę, zatytułowaną: „Sprawozdanie odnośnie niektórych faktów, interesujących dla historii wojny”. Oto wyjątki z tej notatki, wybrane i ogłoszone przez Baumgartnera w jego książce:

„Począwszy od miesiąca kwietnia 1939, widząc, że napięcie niemiecko-polskie rośnie, użyliśmy całego naszego wpływu, aby przekonać Paderewskiego o konieczności jego interwencji w sensie mediacji. Paderewski, który bawił wówczas na tournée w Stanach Zjednoczonych, był blisko związany z Prezydentem Rooseveltem — ten ostatni byłby go podtrzymał natychmiast w wysiłku do pojednania. Paderewski był również w bardzo dobrych stosunkach z Mussolinim i królem włoskim, którzy byłiby szczęśliwi, to jest pewne, gdyby mogli zwołać konferencję do Rzymu. Z drugiej strony również i króla Belgów łączyły z Paderewskim węzły przyjaźni rodzinnej...»

Występowałam wobec wielkiego wygnańca z całym zapalem w sensie mediacji, a to z powodów następujących:

1. Sytuacja Gdańska i Korytarza była jednym z wielkich błędów traktatu wersalskiego, niemożliwych dłużej do utrzymania. Należało działać jak najszybciej, przychylając się do propozycji wymiany terytorium. Propozycja ta była całkowicie korzystna dla Polski, którą Hitler byłby podtrzymał w jej „Drang nach Osten” (zob. konferencja w dniu 5 stycznia 1939 w Berchtesgaden, która była zaledwie początkiem, Żółta Księga, (str. 162).

2. Dzięki Niemcom Polska uzyskała w r. 1938 terytorium Cieszyna, ultimatum na Kownie i granicę węgierską. Poszła ona za Rzeszą w polityce faktów dokonanych i zebrała z tego upragnione korzyści. W styczniu 1934 zawarła ona porozumienie z Rzeszą, przez które oba kraje zobowiązały się do pokojowego załatwiania wszelkich problemów ich dotyczących. Ambasador Lipski, którego widziałam w Berlinie w maju 1936, mówił mi z wielką ufnością o tym traktacie, drogim zarówno dla „Führera” jak i dla Polski. Było więc logiczne, żeby Polska zgodziła się na życzenie Rzeszy rewizji granicy, która była nie do utrzymania. Ta rewizja dałaby Polsce w zamian za Gdańsk (utrzymany jako wolny port) i Korytarz możliwości wielkiego rozwoju i szeroki dostęp do Bałtyku.

Tymczasem mimo naszych przedstawień, Paderewski, całkowicie w ręku sekretarza bez skrupułów, który dla zaspokojenia swych ciemnych ambicji pragnął gorąco wojny, nie mógł niczego dokonać w sensie mediacji upragnionej przez cały świat. Nieokrzesany sekretarz głośno oświadczył, że Polska nie ustąpi ani piędzi ziemi, że wojna to-

czyć się będzie w Berlinie, a nie w Warszawie, że Hitler i jego armia to bluff, że Niemcy są krajem wygłodniałym u progu rewolucji i na koniec, że Polska, nie żądając pomocy od nikogo, sama podejmuje się całą sprawę definitywnie zlikwidować.

Krótko mówiąc, nasze zabiegi spełzyły na niczym, chociaż 19 lipca 1939 uprzedziliśmy Paderewskiego listownie o przymierzu niemiecko-rosyjskim, o rozbiórce Polski i o współpracy Włoch z Osią w nieuniknionej wojnie.

Po katastrofie na koniec, w początkach października 1939, nie zniechęcając się, przeprowadziłam démarche w Berlinie i uzyskałam zgodę Rzeszy, na wysłanie do Morges do Paderewskiego i gen. Sikorskiego ambasadora dla omówienia sprawy odbudowania wolnej Polski etnicznej z dostępem do morza. Jestem świadkiem, że wybitni Niemcy, z którymi byłam w kontakcie odnośnie tej sprawy, przejawiali gorące pragnienie pokoju. Było jednak teraz o wiele trudniej mówić o ugodzie z wielkim patriotą, którego Alianci podtrzymywali w żądzy odwetu. Jednakże Paderewski słuchał moich wywodów z największą uwagą i mogłam wierzyć, że sam, byłby zgodził się przyjąć ambasadora Rzeszy. I wtedy właśnie sekretarz p. Strakacz (mianowany od tego czasu ministrem pełnomocnym przy Lidze Narodów) definitywnie przeszkodził ostatecznemu zbliżeniu, które mogłoby powstrzymać wojnę, i nie dopuszczał kontaktu z mistrzem, aby — jak oświadczył — usunąć go spod wpływu „zgubnej propagandy”.

Od tego czasu, niestety, przemówiły wypadki i Francja jak i Polska płacą drogą za kryminalną politykę sprzedajnych polityków, którzy zawsze służyli tylko swoim interesom ze szkodą dla ojczyzny”.

Co sądzić o tych dokumentach? Czy stanowią one rzeczywiście dowód niemieckich sondaży w kierunku wyzyskania osoby Paderewskiego — czy też są mistyfikacją, chorobliwym majaczeniem histeryczki? Tego ostatniego zdania jest część prasy szwajcarskiej, a także p. Baumgartner, autor cytowanej publikacji. Sam Paderewski wydaje się też podobnie oceniać wystąpienia p. Giron, jak wynikałoby z jego listu, a także z jego oświadczenia prokuratorowi w czasie przesłuchania, na skutek donosów p. Giron przeciw Strakaczowi jesienią 1940 roku. Jednakże pewna część szwajcarskiej prasy, zgodnie z twierdzeniami p. Giron, przyjmuje, że niemieckie sondaże miały rzeczywiście miejsce i że jedynie reakcja z jaką spotkały się pierwsze wystąpienia p. Giron spowodowała, że nie nastąpiły dalsze, bardziej oficjalne i bardziej konkretne, przedstawienia. W czasie procesów, jakie p. Strakacz i p. Valloton wytoczyli p. Giron o oszczerstwo, oskarżyciele prywatni wystąpili z wnioskiem o poddanie p. Giron obserwacji psychiatrów, twierdząc, iż jest ona osobą chorą umysłowo. Sądy trzykrotnie odrzuciły te wnioski,

wyrażając zdanie, iż nie ma żadnych podstaw do podejrzenia choroby umysłowej u p. Giron. Dodajmy nawiasem, że odnalezienie po ośmiu latach testamentu Paderewskiego, którego „brak” stanowił główny punkt zarzutów p. Giron przeciw Strakaczowi, nakazuje raczej sceptycznie traktować twierdzenia o jej chorobliwej fantazji. Wydaje się, że analiza samych dokumentów w znacznym stopniu pozwala wyrobić sobie zdanie o ich prawdziwym charakterze. W tekście podkreśliliśmy ustępy szczególnie znamienne. Konieczne jest jeszcze jedno zastrzeżenie: przy analizie listów p. Giron nie należy się sugerować ich formą niewątpliwie egzaltowaną i powiedzmy bardzo... kobiecą.

We wszystkich dokumentach uderza duża orientacja p. Giron w całym, dość powikłanym, galimatiasie polityki międzynarodowej okresu 1938-1940 oraz przyjęcie niemieckiego punktu widzenia. Ta zadziwiająca zgodność jej poglądów z dążeniami i posunięciami niemieckimi, a także i okoliczność, że nawet jej znajomość szeregu faktów zdradza niemieckie źródła informacji, świadczą ponad wszelką wątpliwość iż miała ona kontakty z dyplomatycznymi sferami niemieckimi i to na wysokim szczeblu. Więcej — kontakt ściśle towarzyskiej natury z damą „wielkiego świata” nie uzasadniałby jeszcze informowania jej w takim stopniu z tak oczywistą tendencją. Nie były to bynajmniej niedyskretne plotki, ale starannie dobrane wiadomości, sugestie, aluzje, przeznaczone dla osoby mogącej odegrać jakąś rolę polityczną, mogącej wpłynąć rzeczywiście w mniemaniu informatorów na bieg spraw.

I tak powtarza się nuta znana już dobrze z lektury polskiej „Białej Księgi”, z notatek z rozmów, jakie w różnych konstelacjach prowadzili ze strony polskiej: Mościcki, Rydz-Śmigły, Beck, Szembek i Lipski, ze strony zaś niemieckiej: Hitler, Goering, Ribbentrop, Weizsäcker i Moltke. Tą nutą jest solidarność polsko-niemiecka wobec niebezpieczeństwa, jaki stanowi dla obu narodów Rosja Sowiecka, są aluzje do ewentualnych korzyści terytorialnych dla Polski na wschodzie w zamian za ustępstwa w sprawie Gdańska i autostrady i za pójście z Niemcami. Uważana lektura listów i notatki p. Giron dostarczyć może jeszcze dodatkowego argumentu, że w pewnym okresie Niemcy przywiązywali istotną wagę do wyjaśnienia czy Polska w zbliżającej się i zamierzonej przez nich wojnie pójdzie z nimi czy przeciw nim, a nie do sprawy Gdańska i autostrady. Teza ta reprezentowana jest w publicystyce polskiej przez Stanisława Mackiewicza.

Zdziwić mogłaby powtarzająca się w kilku listach do Paderewskiego insynuacja, że rząd polski chce porozumienia z Niemcami i gotów jest ustąpić, ale nie śmie tego zrobić ze względu na zdecydowane stanowisko polskiego narodu. Skąd przyszło p. Giron do głowy, że istnieje taka rozbieżność między stanowiskiem rządu a narodu? Dziś wiemy już, że i ta informacja wyjść musiała z kół niemieckich, które poważnie liczyły się z możliwością powtórzenia historii z Beneszem. Przypomnijmy, że Benesz, będąc już zdecydowany ustąpić żądaniom niemieckim,

pragnął jedynie ultymatywnego nacisku swych aliantów zachodnich, co pozwoliłoby mu na „uratowanie twarzy” wobec własnego narodu i wobec świata.

W liście z dn. 24 kwietnia 1939, pisany z Paryża na cztery dni przed przemówieniem Hitlera w Reichstagu (29 kwietnia 1939), znajduje się już sugestia autostrady. Sprawa ta była przedmiotem wymiany zdań między Polską a Niemcami w poufnych rozmowach od jesieni 1938 r., ale oficjalnie i publicznie postawiona została dopiero w powołanym przemówieniu Hitlera. Co prawda chodziły na ten temat „głuche wieści” od szeregu miesięcy, nie mniej jednak sugestia p. Giron, wysunięta tak wcześnie, jest dość charakterystyczna.

Jeszcze bardziej znamienity jest list z dn. 19 lipca 1939 r. W czasie, kiedy jeszcze na Zachodzie wybitni politycy oddawali się złudzeniom, że uda się dojść do porozumienia z Rosją i nakłonić ją do solidarnego wystąpienia w obronie zagrożonego pokoju, p. Giron pisze, że jeżeli Polska nie porozumie się z Niemcami, to Niemcy zwrócą się ku Rosji, co grozi rozbiorem. Twierdzenie to jest jakby powtórzeniem zawołanej groźby tego samego rodzaju, jaką Ribbentrop wypowiedział w rozmowie z Lipskim w dn. 21 marca 1939. Z dwóch możliwych wyjaśnień, skąd tak słuszna i prorocza ocena mogła przyjść do głowy p. Giron, skłonni jesteśmy raczej sądzić, że była ona również podsunięta przez Niemców, niż uwierzyć w to, iż podyktowana ona była własnym rozumem politycznym tej damy lub też genialną intuicją.

Stosunkowo największą zagadkę stanowią listy p. Giron z 2 i 17 października 1939. Że były one podyktowane przez sugestię, podsunęte autorce przez czynniki niemieckie, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Świadczy o tym ich zasadnicza zgodność z ówczesnymi próbami niemieckimi dojścia do ugody na zachodzie po upadku Polski. Sama tendencja nie była oczywiście tajemnicą, gdyż Niemcy dawały jej wyraz publicznie. Natomiast szerszej publiczności nie były znane takie elementy, jak ewentualna zgoda Niemiec na odbudowanie jakiejś Polski „etnicznej” oraz nacisk na niebezpieczeństwo sowieckie, grożące Europie, przeciwko któremu Niemcy stanowiąc miały jedyną zaporę. W stosunku do Paderewskiego uznano za stosowne i celowe prócz widma groźby bolszewickiego zalewu dla całej Europy, wysunąć pespektywę ostatecznej katastrofy, jaką stanowiłoby to dla Polski. Zaznaczmy nawiasem iż trudno powstrzymać się od gorzkiej ironii wobec porównania wypowiedzi Paderewskiego, mającego tak dużą praktykę w dziedzinie międzynarodowej polityki i uchodzącego w niektórych kołach polskich za wielkiego męża stanu, z wypowiedzią naiwnej i egzaltowanej wielkoświatowej damy. Wtedy mianowicie, gdy Paderewski oświadcza: „Polska pozostała wierna danemu słowu i jestem w stanie Panią zapewnić, że nasi Alianci dotrzymają też swego”. Dziś wiemy niestety, że były to puste słowa bez pokrycia. I o ile więcej politycznego rozumu i realnej, trzeźwej oceny sytuacji zawiera odpowiedź p. Giron: „Jeśli chodzi o Aliantów, to w żadnym wy-

padku nie wypowiedzą oni nigdy wojny Rosji i ta ostatnia sama jedna triumfować będzie na ruinach Polski na zawsze zgubionej — takie oto będzie ich zwycięstwo!” Zagadkę jednakże kryją w tych dwu listach nie pochodzące z niemieckich źródeł sugestie, że należy się ugodzić z Niemcami, gdyż one jedne są w stanie powstrzymać zalew czerwony na Europę. Kryje się ona w ocenie, że Hitler wmanewrował się w sytuację bez wyjścia i że nieunikniony konflikt z Rosją będzie klęską Niemiec jeżeli nie potrafią one ugodzić się na zachodzie. Trudno przypuszczać, żeby taka opinia podsunęta była przez oficjalne czynniki niemieckie. Z całokształtu korespondencji nie wydaje nam się możliwe przyjęcie tezy, iż był to samodzielny sąd p. Giron. Wiadomo jednakże, że wbrew stanowisku Hitlera i Ribbentropa, różne koła wojskowe i dyplomatyczne Niemiec zdawały sobie z tego sprawę. Wynikałoby z tego, iż kontakty p. Giron i ich inicjatywa wywodziły się raczej z tych kół.

Wspomnieliśmy już, iż analizując zacytowane dokumenty, należy nie sugerować się ich formą. Forma wystąpienia p. Giron robi oczywiście wrażenie niepoważne, niektóre sformułowania w listach stanowią dziwne pomieszanie rzeczy poważnych, istotnych, ocen bardzo słusznych z naiwnością, egzaltacją, a miejscami są wprost dziecinne. Nie należy jednak zapominać, że listy te pisała kobieta. Podejście kobiet do spraw wielkiej polityki, jest z nielicznymi wyjątkami, właśnie tego rodzaju. Z różnych zwrotów widać, że poglądy jej na politykę międzynarodową były — że użyjemy słowa zapożyczonego ze słownika wschodniego — dość reakcyjne. Przede wszystkim w tym, iż nie zdawała sobie ona zupełnie sprawy, że okres kiedy polityka ta zależała wyłącznie od władców, a narody i terytoria były jedynie przedmiotem, kiedy stanowiła ona wyłączną domenę dyplomatów a wielkim damom zdarzało się wpływać na jej kulisy, należy już bezpowrotnie do przeszłości i że w obecnych czasach tak przez nią pogardzany lud ma też coś do powiedzenia o polityce zagranicznej swego państwa. Patrzała ona na rozgrywkę w latach 1938–1940, jak na salonowe intrygi i zapragnęła odegrać w nich rolę. Toteż zapewnienia jej o wpływach, jakie rzekomo miała w kołach rządzących Rzeszy, należy włożyć między bajki. Prawda była raczej taka, iż dała się ona użyć za narzędzie, a zadaniem jej powierzonym było jedynie wysondowanie opinii, jak będzie przyjęta bardziej wyraźna propozycja nawiązania kontaktu wysłannika niemieckiego z Paderewskim. Ponieważ sondaże wypadły ujemne, sama propozycja nigdy nie została jasno i bezpośrednio sformułowana. Pozwalało to autorom *démarche* nie narażać swego prestiżu i w razie niepowodzenia przedstawić sprawę jako fantazję egzaltowanej damy. Można by się dziwić, że Niemcy użyli tak niepoważnej drogi i osoby. Zapewne, ale, czyż osoba i zabiegi Dalehrus'a były poważniejsze?

Pani Giron i jej mocodawcy pomylili się, przypuszczając, że Paderewski da się nakłonić do odegrania roli polskiego Pétain'a. Jednakże, prócz tego, w całej akcji tkwiły dwa poważne błędy

w samym założeniu. Jeden, to mylna ocena, jakoby Paderewski miał w ogóle możliwości odegrania takiej roli. Od czasu jego premierostwa minęło lat dwadzieścia, wyrosło i dojrzało w Polsce nowe pokolenie, w r. 1939 Paderewski nie miał w Polsce żadnego autorytetu politycznego, nie miał żadnych, ale to absolutnie żadnych możliwości wpłynięcia na bieg polskiej polityki. Drugi błąd polegał na założeniu, że w ogóle jakaś osobistość w Polsce miała w tym czasie możliwość doprowadzić do ustępstw na rzecz Niemiec. Nikt z Polaków tej możliwości nie miał i nikt tego zadania nie chciałby i nie mógłby podjąć. Cały naród był zgodny w decyzji oporu za wszelką cenę.

Aleksander KORCZYŃSKI.

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY
I INSTYTUTU LITERACKIEGO
NA W. BRYTANIĘ JEST

„GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą
„Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać
się do wymienionej firmy

Książki

O głupstwach ludzi dostojnych

Uczą dla historyków przyszłości będzie zestawianie dwóch epok i dwóch kategorii ludzi. Jedni — to zrodzeni przed 1900-ym w społeczeństwach praworządnych, przede wszystkim anglosaskich, ukształceni w metodach i obyczajach, nawykli do pokoju i ładu, roztropni w postępowaniu i rzetelni w stosunkach. Drudzy — to pomiot wojny i przewrotu, pokolenie wyrosłe wśród zmian i rozterek, odpryski buntu przeciwko wschodnim autokratom, niż społeczny, wyrzucony wraz z pianą i mętami na wyżyny losów: są to ludzie ruchliwi, ale bez wychowania, ambitni lecz bez skrupułów, obcy całej kulturze ostatnich wieków, wyrosli z dawnych, ciemnych pokładów i z nowych gorejących zgliszczy. Spotkanie tych dwóch światów — to szereg nieporozumień, to gra bez poznania jej reguł, to zabawa z zawiązanymi oczami. Pierwsza wojna światowa nie wykazała jeszcze w pełni tego kontrastu: obyczajowo należała ona do tamtej, zachodzącej epoki; z jej regularnymi wypowiedzeniami wojny, jej próbami pośrednictwa i sekretnymi negocjacjami o „separatywny pokój”, z jej prowadzonymi „zgodnie z międzynarodowym prawem” rzeżaniami na polach przewidzianych przez podręczniki bitew, wiąże się ona z dyplomatycznym kunsztem i rozprawami orężnymi czcigodnych monarchii i statecznych republik. Dopiero znacznie później, u progu lat trzydziestych, pojawia się skośne oblicze najnowszego czasu. Ucieleśnił się cham, przepowiedziany przez rosyjskich proroków. Z Chrześcijaństwa wziął tylko jego najniższą formę — fanatyzm. Z technicznego postępu i maszynowej organizacji zapożyczył jedynie bezduszną powłokę i z tępego materializmu uczynił swą filozofię. Dialektykę, wziętą ze starodawnych prerostów myślowych, wyostrzył jako narzędzie służące do otumaniania tłumów i jako chwyt oszustwa. W dziedzinie polityki pojął jeno podstęp i chciwość, w wojnie znalazł okazję dla dzikich instynktów powszechnego zniszczenia. Okazało się niespodziewanie, jak blisko, pod zwierchnią powłoką cywilizacji, czai się w duszy zbiorowej ludów

pierwotne, nieokiełznane hamulcem myśli ani skrupulem serca, barbarzyństwo.

Zestawienie tych dwóch typów nowoczesnego człowieczeństwa nie śniło się, rzec można, filozofom. Oto na przykład 71-letni dostoyny pan, premier Dominionu Kanady, Mackenzie King, jeden z współbudowniczych „Brytyjskiej Wspólnoty Narodów”, gotuje się właśnie, aby z namaszczeniem przemówić na uroczystym otwarciu parlamentu w Ottawie. Nagle, jeden ze współpracowników melduje mu, że właśnie zjawił się... Guzienko: uciekinier z „Martwego Domu” Sowietów, wraz z przechwyconymi przez niego aktami wojenno-politycznego szpiegostwa. Jakaż jest pierwsza reakcja Premiera? — Ano poradzić mu, niech najlepiej wraca do sowieckiego przedstawicielstwa i odda „skradzione” papiery... To co nastąpiło potem, w tym gorącym sezonie 1945 — zbawcze ociąganie się podwładnych z wykonaniem poleceń szefa, napad na mieszkanie Guzienki, ocalenie go przez poczciwą sąsiadkę i mniej niż premier łatwowiernego wachmistrza, przebudzenie się władz ze złudzeń do rzeczywistości, natychmiastowy lot Kinga do Trumana i Attlee z wiadomością o wykradzeniu najważniejszych tajemnic — to wszystko zaliczyć już należy raczej do dziedziny cudów, które zdarzają się na tej ziemi zarówno wielkim, jak małuczkiemu. Pozostaje fakt, iż szef rządu, odpowiedzialny za losy państwa, nie jest w stanie zrozumieć, że reprezentacja „zaprzyjaźnionego mocarstwa” jest po prostu meliną szpiegowską i że traktuje on człowieka, co z narażeniem życia przynosi mu dokumenty popełnionej przeciw jego krajowi zdrady jako zwyczajnego przestępcę, kradnącego jakieś we własnym biurze papiery...

Albo ten drugi czcigodny dygnitarz, młodszy o lat pięć od Kinga, James F. Byrnes: sędzia najwyższej instancji w Ameryce, doradca Prezydenta Stanów Zjednoczonych, brał udział w najważniejszych decyzjach państwowych, a po niespodzianym dojściu do władzy swego przyjaciela Harry Trumana objął na ważnym dziejowym zakręcie kluczowe stanowisko Sekretarza Stanu — kierownika polityki zagranicznej największej potęgi świata. W książce swojej¹⁾ zestawia on przebieg dwuletniego urzędowania i przyznaje się otwarcie do utraty wielu złudzeń. Pomimo to nie jest w stanie do końca zrozumieć, na czym polega zagadnienie nowych stosunków i zjawisk. Skarżąc się na ciągle nieporozumienia z Komisarzem Narkomindiełu Mołotowem, Byrnes mówi, że nie zdarzyło mu się nigdy jeszcze spotkać tak trudnego negocjatora. W czasie swojej tak długiej i rozmaitej życiowej kariery miał on do czynienia z różnymi ludźmi: sędziami i senatorami, doradcami gospodarczymi i członkami rządu; — nic go jednak nie przygotowało do stosunków z sowieckim komisarzem.

Przykładów takich można by mnożyć bez końca. Churchill, idący w sportowym ubraniu na bankiet u Stalina, sądzi, że

dogadza „demokracji ludowej” i nie rozumie, że najwyższą ambicją zgromadzonych tam byłych powsinogów jest uchodzić za przyzwoitych i dystygowanych ludzi. Kiedy Eisenhower, zapominając o obowiązkach wodza w toku kampanii wojennej, nie pędzi „na odgłos armat”²⁾ i nie zajmuje zawczasu ani Berlina, ani nawet Pragi, traktuje on swoich bolszewickich aliantów jako dżentelmenów dotrzymujących umowy, a nie jak tych, jakimi w istocie są — zbirów, gotowych korzystać z każdej nadarzającej okazji, aby tylko oszukać i obłupić. Marshall w czasie swojej nieszczęsnej misji w Chinach wierzy na słowo jakimś ciemnym indywiduum, że komuniści tamtejsi nie są agentami w służbie Moskwy i całą swoją politykę opiera na fatalnym niezrozumieniu rzeczy tak prostej, że obowiązkiem każdego prawowiernego marksisty-dialektyka jest okłamać swego przeciwnika, a zasługą, jeśli naiwny mu uwierzy.

Zresztą, trzeba było dopiero uczonych i wytrawnych pokoleń XIX i XX wieku, aby te kontrasty wypadły tak jaskrawie. Dopiero w „demokracjach”, wśród postrachów odpowiedzialności przed demagogami, wyrosli ci mędrkowie, obcy rzeczywistości. W dawniejszych epokach nie brano słowa za dobrą monetę i żądano zastawu. Tam, gdzie chodziło o losy państwa, stawiano wyżej interesy nad przyjaźń. Królowie francuscy i angielscy patrzyli uważnie na palce swych sojuszników. Napoleon nie wydawał w ich ręce zdobytych stolic. A już dyplomata francuski XVIII stulecia pouczał mężów stanu, iż powinni się zachowywać „jak dżentelmeni, którym przyjdzie się żyć wśród opryszków i szalbierzy”³⁾.

Takie snuć można rozmyślania, gdy się odwraca karty potężnych na objętość „Pamiętników” Cordell Hull’a⁴⁾. Ten poważny amerykański mąż stanu, sędzia i senator, liczył sobie 62 lata w chwili objęcia, w 1933, wysokiego urzędu Sekretarza Stanu, a w dziesięć lat potem, już jako podeszły wiekiem, zapadający na zdrowiu, miał się znaleźć wobec najtrudniejszych zadań, jakie spadły kiedykolwiek na sternika wśród burz i zamętu. Wyszedł z tych operacji stosunkowo cało, gdyż opuścił swe stanowisko w listopadzie 1944 — przed zbrodnią główną, skonfundował Japończyków, utrzymał jako tako w ryzach trudnego Churchilla i poskromił wierzgającego Edena, „uzgodnił” politykę „trzech wielkich” w prowadzeniu powojennego świata, pomimo tam i przeszkód doprowadził do portu organizacji „Zjednoczonych Narodów”, a wreszcie zainicjował „dwupartyjną” politykę zagraniczną w amerykańskim Kongresie. W decydującym momencie, w przede dniu czwartego wyboru

2) „Marcher au canon” — stara formuła strategii klasycznej.

3) D’Argenson.

4) *The Memoirs of Cordell Hull*, in two volumes. New York. The Macmillan Company, 1948. St. XII, VI, 1804 i portret.

Roosevelta, zdołał zastraszyć spontanicznego Dewey'a, zyskać pochlebstwem słabo orientującego się J. F. Dulles'a, i nie tylko ułatwił wybór ponowny Roosevelta, ale uformował dlań wolną rękę w Jalcie i stłumił w zarodku wszelki w stosunku do niej krytycyzm. Do wszystkich tych spraw przystępował z przyszłościową „dobrą intencją”, której czasami samo piekło może po zazdrości poczciwym ludziom. Reprezentował pięknie brzmiące idee, stosował słuszne i poprawne zasady, zachowywał się z godnością wieku i pełnionej funkcji, dawał wzór obowiązkowości i poświęcenia siebie dla spraw publicznych. Jedyne, czego mu zabrakło, to zrozumienia świata, który wkoło jego starości wyrastał.

Sam Cordell Hull uważał Moskwę, październik 1943, za moment szczytowy swojej kariery. Zmieniając pierwotnie ułożone plany, udał się sam na konferencję z Mołotowem i Edenem. Nie wahał się odbyć dalekiej — via Azory i Teheran — podróży, pomimo, iż częściowo odbywał ją samolotem, po raz pierwszy w życiu. Wracał świadomy historycznych dokonań, stanął przed Kongresem dumny z osiągniętych rezultatów. W swej książce, wydanej bez mała w pięć lat później, nie zmienia pochlebnego o swym dziele zdania. Jakż więc był jego bilans? i jakie osiągnął rezultaty?

Na tej „Konferencji trzech ministrów” Mołotow zgodził się na uroczystą deklarację o założeniu organizacji światowej — „Zjednoczonych Narodów”; po długim certowaniu przystał na podpisanie tej deklaracji przez Chinę; akceptował zapowiedź niepodległości dla Austrii. Ze swej zaś strony Stalin, w rozmowie z Amerykaninem, obiecał przystąpić do wojny z Japonią, po zakończeniu działań wojennych w Europie.

Te wszystkie, jak mniema Hull, zobowiązania „Rosji” uzyskał on bez żadnych zobowiązań ze swej strony, bez „wzajem udzielonych koncesji”. To twierdzenie jest jawnym eufemizmem, upiększeniem rzeczywistości. Niektóre koncesje dał on dobrowolnie, zadatkem z góry, jak na przykład ostentacyjnym zrzeczeniem się wszelkich oddzielnych porozumień z Wielką Brytanią, jak dopuszczeniem udziału sowieckiego reprezentanta w Italii. Inne koncesje były niewypowiedziane — jak całkowite milczenie o Bałkanach, co równało się wydaniu ich Sowietom. Dalsze wreszcie udzielone zostały *explicito* na samej konferencji; były to: zgoda na „drugi front”, ograniczony prawdopodobnie już wówczas do frontu na Zachodzie; zgoda na przyjazd Roosevelta naokoło świata aż do Teheranu na spotkanie ze Stalinem („wyglądał tego z zapalem sztubaka”, notuje Hull o rozmowie z Prezydentem 10 listopada); wreszcie zobowiązanie wzajemne do „natychmiastowego” zawiązywania dwóch innych mocarstw o jakiegokolwiek inicjatywie pokojowej ze strony któregoś z państw nieprzyjacielskich i decyzja wspólnego traktowania takich inicjatyw⁵⁾.

5) Str. 1297: „zgodziliśmy się poinformować się wzajem natychmiastowo o wszelkich machach pokojowych, jakieby otrzymał którykolwiek z nas

Ważniejsze od tych oświadczeń i obietnic było potraktowanie przez Konferencję spraw konkretnych. Mołotow zażądał wezwania Szwecji do udzielenia baz, a Turcji do przystąpienia do wojny, przy czym nie tał wobec Hulla, iż to ostatnie żądanie równać się musi „rozkazowi”. Szwecja była zdaje się tylko parawanem. Chodziło o Turcję. Chodziło nie tyle o przystąpienie jej do wojny, ile o skłócenie jej z aliantami. Hull nie daje pełnego obrazu zachowania się z aliantami. Hull nie mówi o negatywnej odpowiedzi Waszyngtonu w tej sprawie: warcia przymusu na Szwecję i Turcję; wyraźnie zbywa rzecz tę jako podlegającą kompetencji dowództw naczelnych; w końcu jednak umywa od niej ręce i pozostawia ją Wielkiej Brytanii i Rosji Sowieckiej⁶⁾. Tak załatwiwszy się z Turcją — kluczem do Bałkanów, Hull oczywiście rzekł się wszelkiego zainteresowania narodami bałkańskimi; że zaś jego kolega anglosaski, Anthony Eden, jak sam to później tureckiemu ministrowi spraw zagranicznych wytłumaczył w Kairze, nie miał również najmniejszego zainteresowania dla tych „nieprzyjaciół”, więc w rzeczywistości wszystkie te kraje wydano z góry na pastwę sowieckiej Rosji.

Trzecim realnym zagadnieniem na konferencji moskiewskiej była mediacja między Sowietami a Polską. Próby pośrednictwa mocarstw zachodnich trwały od wiosny, przy czym usiłowaniami Hulla było przerwienie inicjatywę i odpowiedzialność zagranicznej dawało pierwszą sposobność do omówienia tej sprawy. Nastąpiło ono w jedynastym, przedostatnim dniu Konferencji, 20 października, przedostatnim dniu Konferencji, kolonialnych i handlowych. W krótkiej wzmiance, jaką Hull poświęca tej doniosłej wymianie zdań, nic nie wskazuje na to, aby przywiązywał do niej jakąkolwiek wagę: w ślad za „obszernym oświadczeniem” Edena wypowiedział tylko nadzieję, że istniejące różnice zostaną załatwane, „nie wchodząc w przyczyny i w meritum sporu⁷⁾. Później z naciskiem potwier-

od rządów, grup, lub jednostek jednego z krajów, z którymi ktokolwiek z nas znajduje się w wojnie; zgodziliśmy się również, że trzy rządy będą się wzajem konsultować celem uzgodnienia swych działań odnośnie tego rodzaju próby.

6) Hull odkrywa po raz pierwszy kulisy porozumienia w sprawie agresji na Turcję: 1 listopada podpisany został przez Edena i Mołotowa protokół, mocą którego „Eden zażąda od Turcji natychmiastowego użytkowania baz lotniczych, po czym W. Brytania i Rosja zwrócą się łącznie z żądaniem wejścia Turcji do wojny przed końcem roku”. (str. 1312).

W przekonaniu Ministrów zachodnich, klauzula ta kryła ich przed odnieciem pokójem Sowietów z Niemcami, dla Mołotowa, który wiedział już o Bałkanach i do Węgier.

7) Por. rażącą sprzeczność między opisem rozmowy Hull — Ciechanowski z 6. X. przez obu rozmówców. Ciechanowski (p. 221) podaje słowa końcowe Hulla: „Jestem zdecydowany bronić sprawy Polski tak jakbym bronił sprawy własnego kraju”. Hull (p. 1273) pisze: „nie obiecałem nic więcej, jak tylko nalegać na Rząd sowiecki, z całą należytą powagą, aby wznowił dyplomatyczne stosunki z Polską”. Nie ma jednak żadnych danych, aby Hull tej przynajmniej obietnicy dotrzymał. Jego aż nadto dyskretny

dza to swoje zasadnicze stanowisko: nie miał nigdy zamiaru wchodzić w kwestię „słuszności” w tej sprawie; „polityką Prezydenta i moją było uniknąć rozciągnięcia Stanów Zj. na trybunę z pokrzyw”; „cierpliwość i przyjacielski nastrój” w stosunku do Rosji sowieckiej przeciwstawiał stale „drobnym incydentom”, „małym sprawom”, „atakami propagandy”, tak utrudniającym wejście w życie wielkich zasad i „światowej kooperacji”. W rzeczywistości, sprzedał Polskę — na miesiąc cały przed Teheranem.

Dygnitarz amerykański w swoich pamiętnikach opowiada prawdę — ale nie całą prawdę. Wtajemniczeni wiedzieli już wówczas, obecnie zaś nie ulega żadnej wątpliwości, iż ministrowie anglosascy jechali do Moskwy w panice. Eden nie wiedział, czy nie będzie zmuszony z drogi zawrócić. Kancelarie Londynu i Waszyngtonu wiedziały, może przez umyślną niedyskrecję, że ich wierny aliant w ciągu wiosny i lata 1943 prowadził najtajniejsze układy ze wspólnym nieprzyjacielem — z Niemcami. Sukces tych układów był zawisły, podobnie jak w 1939, jak w 1941, od decyzji Hitlera. Przeciwnie, na Zachodzie wyobrażano sobie, że decyzja zdrady zawisła wyłącznie od Stalina. Stalin, wciąż niepewny, czy mu się zdrada powiedzie, ciągle trzymając ją w zanadrzu, tymczasem użył całej tej sprawy jako korzystnego szantażu na swych sprzymierzonych. Prawdą tedy całkowitą, nie przesłoniętą szumnymi frazesami, jest, że alianci gotowi byli zapłacić Sowietom każdą cenę, sprzedać wszystkich i wszystko, byle tylko nie dopuścić do zawarcia przez Stalina odrębnego pokoju z Hitlerem. Toteż dopiero wtedy, gdy już uzyskał to czego chciał, dopiero na pożegnalnym bankiecie na Kremlu, 30 października, Stalin pogardliwie pomijając Edena, wprowadził Amerykanów do oddzielnego pokoju i tam, „w najbardziej sarkastycznych słowach”, odparł i potępił kursujące wieści o separatywnym pokoju. Szantaż był już wtenczas wygrany.

Drugą rzeczą, o jakiej Cordell Hull zamilcza, jest przebieg jednocześnie odbywającej się w Moskwie konferencji sztabów trzech państw. Można powiedzieć, że Konferencja Ministrów była fasadą, sztabowa zaś właściwą, wewnętrzną treścią międzysojuszniczych rokowań. Historycy przyszłości zadadzą sobie niemało trudu, aby oddzielić i krytycznie ocenić rozbieżne działania tych dwóch kategorii wojennych kierowników alianckich; polityków, którzy nie wtrącali się do żadnych postanowień wojskowych, a w gruncie rzeczy mieli pretensję do pełnego ich przesądzenia; i wojskowych, którzy jak diabeł od święconej wody odrzekali się od polityki, a tymczasem robili

opis sprawy polskiej na Konferencji (p. 1305 sq) obejmuje jedenaście wierszy; z opisu tego wynika, że Eden próbował już 24. X. skłonić Hulla do wywarcia presji na Molotowa: „uważałem to raczej za problem brytyjski, a to z powodu traktatowego stosunku W. Brytanii do Polski” — brzmiała odpowiedź Hulla; ograniczył się też tylko do wystąpienia w imię ogólnych zasad i „solidarności Narodów Zjednoczonych”.

ją⁸⁾ na każdym kroku. Oboje zapoznali starej i mądrej zasady Clausewitzta, że wojna jest dalszym ciągiem polityki; oboje nie zrozumieli, że zasadnicze decyzje wojskowe mają znaczenie polityczne i jako takie przez polityków muszą być strzeżone; że zaś polityczne postanowienia na wojnie mają znaczenie wojskowe i nie mogą być pobierane bez pełnego współudziału ekspertów z wojska⁹⁾. Na tle tej podwójnej konferencji moskiewskiej wytwarza się tedy obraz prawdziwego pomieszania pojęć. Oto Konferencja Ministrów uzgadnia — i Cordell Hull notuje tę wymianę zdań nie bez dumy — nie ustanawiając przez żaden z trzech rządów własnych sfer wpływu¹⁰⁾. Konferencja Ministrów postanawia również, do czego C. Hull zdaje się szczególną przywiązywać wagę, że trzy państwa „po zakończeniu działań wojennych nie będą używały swych wojsk na terytoriach państw innych”. Ale równocześnie z tymi teoretycznymi, nic nie kosztującymi i nigdy nie dotrzymanymi obietnicami, na konferencji sztabowej rozpatrywano praktyczną kwestię administracji obszarów obejmowanych przez armie trzech mocarstw oraz stosunku wzajemnego trzech dowództw naczelnych. Rejony działania tych dowództw musiały być rozgraniczone, zaś administracja „tymczasowa” winna była nosić charakter wojskowy, a więc podlegać dowództwom. W ten sposób, nie utworzono wprawdzie politycznych zon wpływu, ale rozgraniczono rejony władzy, co w praktyce wychodziło na jedno. Przy tym obszary obejmowane, czy „oswobodzone”, miały, dla poszczególnych mocarstw charakter i znaczenie odmienne: Anglia i Ameryka uznawały z góry i bez zastrzeżeń niepodległość i integralność państw przez nie wyzwalanych; Rosja sowiecka, przeciwnie, rościła do swych sąsiadów zaborcze pretensje. Administracja wojskowa była więc kwestią na wskroś polityczną, a podział rejonów dowództwa przesądzał o mocarstwowej supremacji. Decydując w tych sprawach, wojskowi robili politykę, z czego generałowie anglosascy nie zdawali so-

8) Klasyyczny przykład takiego robienia polityki przez wojsko podaje sam Cordell Hull (p. 1470), cytując „wyrażoną z naciskiem, w wielu okazjach, radę szefów wojskowych” utrzymania przyjaźni z Rosją jako „żywojnego interesu” Stanów Zj. Na podobnych sugestjach autorzytetów wojskowych oparł swą politykę prosowiecką H. Hopkins. Otóż, z punktu widzenia fachowo wojskowego każde obce państwo winno być uważane za potencjalnego nieprzyjaciela i rzeczą armii jest zabezpieczyć własne państwo na wypadek wojny z każdym możliwym przeciwnikiem. Dyktowanie, z kim utrzymywać „przyjaźń” i na czym polega „żywojny interes państwa”, jest sprawą czysto polityczną.

9) Za nieszczęśliwy przykład pobierania przez polityków decyzji czy sto wojskowych można uważać obietnice lekkomyślnie dane Sowietom poczynawszy od kwietnia 1942 przez kierowników państw anglosaskich w sprawie utworzenia „drugiego frontu”. Dały one Sowietom pretekst do stałego wtrącania się w decyzje wojenne na Zachodzie — bez żadnego przywileju wzajemności — oraz umożliwiły im ucieczkę zdrowych na ogół i przewidujących koncepcji strategicznych Churchilla, przewidyujących operację bałkańską.

10) Sir. 1298: Eden, w związku ze swą sugestią federacji mniejszych narodów, zaproponował, „aby trzy rządy wypowiedziały się za łączną odpowiedzialnością w Europie, w przeciwieństwie do odpowiedzialności za tery-

bie może sprawy. Rozgraniczając oddziały, określając odpowiedzialność dowódców, dzielili kraje, a narody odawali w niewolę¹¹⁾.

W rezultacie bilans Konferencji w Moskwie wypada dla mo-anglosaskich ujemnie. Sowiety przystąpiły na organizację światowego bezpieczeństwa po to, aby, jak się okazało później, umożliwić jej działanie. Zgodziły się na uczestnictwo Chin, gotowe zresztą każdej chwili do ich zdradzenia i gotujące im zza węgla mściwą komunistyczną penetrację¹²⁾. Cóż ich kosztowało proklamować w teorii „niepodległość Austrii”, kiedy jednocześnie w praktyce, między „niepolitycznymi” sztabowcami, pod pretekstem wojskowych wymogów, z tymi samymi sprzymierzeńcami, układali jej rozbiór? A wreszcie ostatnia, oszałamiająca koncesja sowiecka: Stalin obiecał wydać wojnę Japonii, „z chwilą, gdy Sprzymierzeni osiągną zwycięstwo nad Niemcami”. Znaczenie tej koncesji „spontanicznej, bez żądania niczego wzajem”, wyjaśniło się po niespełna dwóch latach: przez ten czas Rosja sowiecka najpierw postawiła swą cenę: dawne zdobycze carskie w Mandżurii i Liaotungu, wyspy Kurylskie; następnie zaś wydała spóźnioną „nic już dla Ameryki nie znaczącą wojnę po to, aby zabezpieczyć swe zyski, ograbić Mandżurię i stworzyć bazę dla podboju Chin. Obietnica okazała się oszustwem.

Wzamian za podpisanie tych głośnych a próżnych zasad i za udzielenie tych nic nie znaczących lub fałszywych obietnic, ministrowie anglosascy oddali Mołotowowi pół Europy: zrzekli się

toria oddzielone i do zon wpływu... (Hull oświadczył, że) Rząd St. Zjedn. żywi nadzieję, iż Konferencja nie poweźmie żadnych uchwał ustanawiających... zony wpływu... Mołotow oświadczył, że nie widzi żadnego powodu sądzić, aby Rząd sowiecki miał być zainteresowany zonami czy sferami wpływu... może zagwarantować, że Rząd jego nie ma zamiaru dzielić Europy na takie poszczególne zony...” W związku z tą decyzją Mołotow założył formalny piśmienny protest przeciwko wszelkim planom federacyjnym, mającym na celu zgrupowanie „mniejszych narodów”, określając te plany jako antysowieckie i zmierzające do utworzenia *cordon sanitaire* w okrag Rosji. Rzecz uderzająca: przeciw tym federacjom wypowiedział się również Hull, uzasadniając swój sprzeciw tym, że najpierw należy ustalić „szeroką bazę zasad, których zastosowanie poprowadzi trzy państwa do zastanowienia się nad odrębnymi i specjalnymi problemami”. Hull poparł więc stanowisko sowieckie i przyczynił się do obezwładnienia Europy środkowowschodniej w obliczu agresji imperializmu ZSRR.

11) W odróżnieniu od niechlujności z jaką prowadzone były obrady polityczne na konferencjach „trzech”, wszelkie dane przemawiają za tym, że obrady wojskowe były formalnie protokółowane i że istnieje ich pełna ewidencja. Dokumenty odnośne nie zostały jednak ogłoszone i wszystko co o nich dotychczas wiemy oparte jest na danych fragmentarycznych. Na tej podstawie, i z uwzględnieniem późniejszego przebiegu zdarzeń stwierdzić można, że Konferencja w Moskwie dała początek podziałowi stref czy zon administracji wojskowej i dowództw każdego z trzech państw. Ustalenie tych zasad przypisuje się na ogół tajnym układowi Jałty i Poczdamu, jednakże wprowadzone zostały w życie już w 1944, czego dowodem jest m. in. potraktowanie powstania warszawskiego, oraz w ogóle ruchu podziemnego w Polsce, por. Ciechanowski p. 2333.

12) Aby zrozumieć politykę Stalina w stosunku do Chin, należy się cofnąć do lat rewolucji (1925-27) i pamiętać, że Człang zastosował do Sowietów też samą taktykę, jaką później wydoskonalił sam Stalin: uzyskał korzyści i zapobiegł i uniknął wyciągnięcia korzyści przez partnera. Podobne podobki znamionują stosunek Stalina do Turcji.

Balkanów, poświęcili Polskę, uznali administrację sowiecką dla „oswabdzanych” narodów; aby zaś zamknąć Zachodowi całkowicie drogę do południowego wschodu, narzucili zasadę wzajemnego informowania o „mackach pokojowych”, uniemożliwiając tym sposobem jakiegokolwiek pertraktację odrębną z Węgrami, Bułgarią i Rumunią. Negocjacja ta będzie wzorem na przyszłość, jak za mniemane zasady uzyskać realne korzyści.

Takiej to negocjacji współodpowiedzialnym uczestnikiem był Cordell Hull: godny, szanowany, zawsze spokojny, olimpijski — rzecz można wyroczenia. Pięć lat później ogłasza swą obszerną księgę: pisze w niej z równą pewnością siebie; zdaje się nie rozumieć, do czego rękę przyłożył. W Moskwie widzi szczyt swojej kariery dyplomatycznej, nie dostrzega w niej załamania sprawy Zachodu. Wszak tam zapomniano po raz pierwszy o Karcie Atlantyckiej; tam podważono moralną zasadę wyzwolenia ludów; tamtejszymi uchwałami wdrożono podział Europy. Na próżno, w przededniu wyjazdu Sekretarza Stanu próbował ambasador Polski wdrożyć zasadę wspólnej administracji krajów obejmowanych przez trzy mocarstwa, łącznej odpowiedzialności alianckiej za przyszłość narodów wyzwolanych. Jawne nieakceptowanie tej zasady przez konferencję, mętność i niedopowiedzenia jej uchwał, obudziły słuszny niepokój opinii polskiej, stały się pierwszym alarmem, ostrzegającym przed niedotrzymaniem umów i nieposzanowaniem zasad ogłoszonych dotąd przez zachodnich aliantów¹³⁾. Ale Cordell Hull jeszcze w lata całe potem już po pełnym zdradzeniu i sponiewieraniu Polski, tchnie obrażoną godnością z powodu nieprzyłączenia się Polski do „wzbudzającego otuchę poklasku”, witającego rezultaty Moskwy. Toteż, według własnej relacji¹⁴⁾, przyjmując ambasadora Polski i „nie dając mu mówić”, wyraził „głębokie ubolewanie” — co w języku dyplomatycznym oznacza protest ustny lub nawet naganę niewłaściwego postępowania — z powodu polskich „napaści na Deklarację Czterech”. Nie po raz pierwszy w dziejach zgorznienie wywoływała ofiara, buntując się przeciw zadawanej jej krzywdzie.

Po Moskwie nastąpił zmierzch Cordella Hulla. Jak niegdyś, przed dwoma wiekami, gdy dyplomację regularną pokrzyżował „sekret Króla Jegomości”, intryga Ludwika XV-ego, tak, z chwili-

13) Równie zaniepokojenie wyrażała w tymże czasie opinia turecka. Komentatorzy angielscy notowali, że „Turcy obserwują sytuację rosyjsko-polską z trwożną uwagą” i że „ich ostateczna decyzja może być pod poważnym wpływem sposobu jej rozstrzygnięcia” Ph. Graves, *Record of the War XVII*. Już w listopadzie turecki Min. spraw zagr. zapytał formalnie Edena w Kairze, jaki los ma być udziałem narodów środk. i wschodniej Europy i oświadczył, że postępowanie wobec Polski stanowi dla Turcji próbiez do trzymywania sojusznicych zobowiązań.

14) P. 1315 sq. Istnieje znowu uderzająca sprzeczność wersji rozmowy u Hulla a sprawozdaniem z niej u Ciechanowskiego, p. 234-242. Rzekomy protest Sekretarza Stanu przeciw opinii publicznej polskiej jest w relacji ambasadora całkowicie pominięty. Natomiast uderza fakt, że książka Hulla, wydana przeszło rok cały po Ciechanowskim, ignoruje całkowicie dokumentację tego ostatniego i podane przezeń sprawozdania z rozmów, tak odmienne od jego własnych notatek.

lą Teheranu, na pierwszy plan międzynarodowej przewrotności wytoczyła się nieodpowiedzialna polityka osobista, wysunął się Roosevelt. Nadszedł czas, kiedy najwyżsi odpowiedzialni dygnitarze zaczęli być pomijani, kiedy, jak to opowiada Byrnes o podróży do Jałty, dokumentacja spraw spoczywała w zapomnianych skrzyniach, zaś układy między państwowe i nowe prawa dla świata, granice krajów i losy narodów całych załatwiane były w tajnych protokółach, w pokątnych targach, w rzucanych mimochodem, luźnych i dowolnych powiedzeniach. Hull nie przestał wprawdzie działać ze swej strony na rzecz złej sprawy: wypełniając co do joty moskiewskie zobowiązania, przeszkodził spotkaniu premiera Mikołajczyka z Prez. Rooseveltem przed konferencją w Teheranie, uważając, że „desperackie” usposobienie Rządu polskiego „mogłoby doprowadzić do niefortunnnych publicznych wyskoków”. Po Teheranie „zgodził się” z Prezydentem na półroczną zwłokę w przyjeździe polskiego Premiera do Waszyngtonu, obawiając się wywołać fałszywe wrażenie, „że Stany Zjednoczone popierają stanowisko Polski w stosunku do Rosji”. Ale już o teherańskich tajnych zobowiązaniach Roosevelta o granicach wschodnich Polski wydaje się nic nie wiedzieć¹⁵⁾, co jest tym dziwniejsze, że przed złożeniem urzędowania w dniu 25 listopada musiał się chyba zaznajomić ze sprawozdaniem Harrimana o oświadczeniu Mołotowa z 13 października, ujawniającym zobowiązanie Roosevelta. Wiele jeszcze ciemnych zagadek kryją międzynarodowe knieje. Dla obrazu tych stosunków niechaj wystarczy wiadomość, że aż o Departament Stanu oparła się kwestia, czy wypuścić do Moskwy w 1944 profesora Langego i „księdza” Orlemańskiego, i że to w końcu sam Prezydent, ponad głową Hulla, zdecydował o ich podróży, tylko jej kosztą pozostawiając Moskwie¹⁶⁾. W rozleglejszym zaś zakresie światowych zagadnień, Hull ze wszystkimi pożądanymi szczegółami opowiada, jak fatalnie podszedł go Roosevelt, nie zawiadamiając nawet, że zgodził się na targ Churchilla w Moskwie dotyczący podziału wpływów na Bałkanach: Rumunia dla Rosji wzamian za Grecję dla Anglii, 20 — 25% angielskich w Bułgarii i na Węgrzech, zaś fifty-fifty w Jugosławii...

Tu jednak znajdujemy się już u kresu naszego zainteresowania starym, schorzałym Sekretarzem Stanu. W końcu i jemu zaczyna się coś wydawać, „czy czasem Marszałek Stalin i jego

15) Oczywiście oszukuje go w tym przedmiocie Roosevelt: por. p. 1438: „Prezydent i ja, rozmawiając 31 stycznia (1944) zgodziliśmy się nie popierać żadnego definitywnego zalecenia w sprawie granic, podczas trwania wojny...” Było to zaledwie w dwa miesiące po daniu w Teheranie Stalinowi wiążącej obietnicy w sprawie granicy polskiej.

16) W konsekwencji i bardziej zwartej i celowej dyplomacji Sowietów każdy drobiazg posiada swe znaczenie. Jak się z pamiętników Hull'a okazuje, Mołotow w związku z wyjazdem Langego i Orlemańskiego do Moskwy sugerował (18 stycznia 1944) rekonstrukcję Rządu polskiego przez włączenie doń „Polaków ze Stanów Zjedn., W. Brytanii i Rosji”. Str. 1442. Ta sama propozycja w zmienionej formie wróciła w rok potem i znalazła pełne powodzenie w Jałcie.

Rząd nie zaczynają się odchyłać od polityki kooperacji, którą przyjęli sami i, z małymi wyjątkami, stosowali dotychczas...” Nie możemy pozwolić Rosji na jednostronne akty: wybucha przy jakiejś sposobności w 1944... Ale i wtedy jeszcze niewyczerpana jest jego cierpliwość. „Gdy byłem małym chłopcem, opowiada nam barwnie, miałem do czynienia z pewną liczbą osiołków na fermie mego ojca w Tennessee. Jeden z nich bić się umiał za trzy. Gdy czasem złożyłem go batem, wierzgał ze zdwojoną siłą. Musiałem wtedy zaprzestać i pozwolić by ostygł. W końcu wzięłem się na sposób: prowadziłem go do roboty pomału, pomału, aż zgodził się i zaczął pracować. Ale, gdy wierzgał znowu, i kiedy znów użyłem bata, jał zaraz wierzgać w dwójnasób...”

Nie zdaje się, aby metody, tak skutecznie stosowane do poczytych osiołków w Tennessee, odniosły jakikolwiek praktyczny skutek u wilków i szakali na Kremlu.

Michał SOKOLNICKI.
Ambasador R. P.

„POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym
tygodnikiem społeczno-religijnym

Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza 15 Frs.

Prenumerata kwartalna 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1^{er}

C.C.P. 4955-03

Współczesna filozofia europejska

W okresie między dwiema wojnami, w polskiej terminologii filozoficznej przyjęte było rozróżnienie między filozofią nowożytną i nowoczesną. Jego intencją nie było wprowadzenie podziału na dwie różne epoki, tak np. odmienne jak Średniowiecze i Renesans, lub nawet pozostające do siebie w stosunku analogicznym do tego, jaki łączył epokę helleńską i helenistyczną. Wspomniany podział miał charakter konwencjonalny. Filozofia nowożytna kończyła się na przełomie XIX i XX wieku, tzn. tam, dokąd doprowadzały najnowsze wówczas historie filozofii. Koniec filozofii nowożytnej przypadał więc na okres wyczerpania się siły żywotnej francuskiego pozytywizmu, angielskiego ewolucjonizmu i niemieckiego materializmu. Filozofia nowoczesna, wówczas nienapisana, rozpoczynali Moore, James, Bergson i Husserl. Pierwszymi „szkołami” nowoczesnymi były pragmatyzm, fenomenologia oraz zespół filozofów określanych później kolektywną nazwą analitycznej szkoły w Cambridge, z której z kolei wywodzi się neo-pozytywizm kontynentalny, najsilniejszy i najbardziej wpływowy ruch filozoficzny międzywojnia. Każda ze wspomnianych „szkół” posiadała swój rodowód sięgający daleko w wiek XIX i świadomość tej ciągłości była zbyt silna, by różnice między wiekiem XIX i XX urosnąć mogły do wymiarów dwóch różnych epok.

W książce „Współczesna Filozofia Europejska” O. Bocheński wychodzi z odmiennego założenia. W pewnym sensie wyrażenie „współczesny” jest także dla niego określeniem konwencjonalnym i w połączeniu uwidocznionym w tytule oznacza ono te wszystkie dzieła filozoficzne, które ukazały się po pierwszej wojnie światowej. Lecz przełom wieku XIX i XX nie jest dla niego jedynie określeniem chronologicznym. Filozofia nowoczesna, w szczególności gdy przechodzi w okres współczesności, jest dla niego nową epoką filozoficzną, bardziej zbliżoną do Starożytności i Średniowiecza aniżeli do filozofii XIX w. lub całego okresu filozofii nowożytnej (1600-1900). Temu założeniu, wraz z jego uzasadnieniem, poświęcić należy w dalszych rozważaniach więcej miejsca, ponieważ prowadzi ono do najgłębszych podstaw życia i myślenia współczesnego człowieka.

I. M. Bocheński, *Europäische Philosophie der Gegenwart*. Sammlung Dalp, Band 50. A. Francke Ag. Verlag Bern, 1947.

Oprócz wyrażenia „współczesny”, także wyrażenie „europejski” posiada w tytule książki O. Bocheńskiego odmienne znaczenie od powszechnie przyjętego. O. Bocheński ogranicza geograficznie Europę do trzech krajów — Niemiec (włączając Austrię), Francji i W. Brytanii. Od tej zasady czyni on niewiele wyjątków. Amerykę reprezentują James, Dewey i Santayana; Włochy — Croce; Rosję — Lenin i Stalin. W biografii znaleźć można więcej odstępstw i wśród nich jedno nazwisko polskie — Romana Ingårdena jako krytyka logicznego pozytywizmu.

Ograniczenie, o którym mowa, ma pewne uzasadnienie. Biorąc pod uwagę dostępność dzieł filozoficznych, zapewne tylko filozofowie, piszący w języku francuskim, niemieckim i angielskim są znani lub posiadają szanse stania się znanymi szerszej publiczności, dla której książka O. Bocheńskiego jest przeznaczona. Powtóre można twierdzić, iż przez uwzględnienie filozofów innych narodowości europejskich, książka O. Bocheńskiego rozrosłaby się objętościowo, nie wnosząc istotnie nowego materiału. Innymi słowy: w literaturze filozoficznej francuskiej, niemieckiej i anglo-saskiej istnieją wszystkie główne kierunki i prądy, które są charakterystyczne dla współczesnej filozofii. Przedstawienie poglądów myślicieli, posługujących się mniej znanymi językami, wzbogaciłoby obraz szczegółami, nie zmieniając natomiast jego zasadniczego układu.

Obydwa te względy, podyktowane planem i rozmiarami książki, powinny być jednak znaleźć mniej rygorystyczne zastosowanie. Tak np. niemal wszystkie wybitniejsze polskie dzieła filozoficzne ukazały się w jednym z języków światowych. Trudno nie być uderzonym faktem, iż podczas gdy Ayer, angielski eklektyczny pogrobowiec logicznego pozytywizmu, Rougier, Generał Vouillemin lub Boll doczekali się wzmianek, nazwiska Tarskiego, Chwistka, Kotarbińskiego lub Ajdukiewicza, których dorobek przez swą oryginalność i doniosłość jest równy dorobkowi filozofów uznanych za twórców neopozytywizmu, nie są nawet wymienione. Ingarden jest bardziej reprezentatywnym fenomenologiem niż wszyscy oprócz Schebera uczniowie Husserla. Zawirski uczynił wiele, by wykazać (słusznie lub błędnie) możliwość „naukowej” metafizyki. Kryterium pisania w jednym ze światowych języków jest w ich wypadku spełnione, a ich nieobecność w zestawieniu z dziesiątkami mniej znanych filozofów uprzywilejowanych narodowości — uderzająca. Podobnie zapytać się można, dlaczego wymieniony jest Bucharin a nie Lukacs, Becker a nie Brouwer, Mace lub Ryle a nie Penttilä, Menger a nie Skolem.

Ograniczona ważność drugiego ze wspomnianych względów — brak nowych, istotnie oryginalnych cech filozofii współczesnej, których nie można by odnaleźć w dziełach filozofów francuskich, niemieckich lub anglosaskich — jest w jednym wypadku szczególnie uderzająca. Odkrycie przez prof. Łukasiewi-

cza logik wielowartościowych (wspomniane w tablicy chronologicznej) było wydarzeniem równie doniosłym w logice, jak odkrycie geometrii nieeuklidesowych w matematyce. W obu wypadkach nie jest ono jedynie wydarzeniem ograniczonym do jednej z nauk — logiki lub matematyki, lecz posiada doniosłe konsekwencje filozoficzne, rewolucjonizując dwa pojęcia, z którymi filozof codziennie przebywa — pojęciami przestrzeni i prawdy. Chociaż O. Bocheński świadomie wyklucza logikę matematyczną z zakresu swego omówienia filozofii współczesnej, nie wydaje się, by pominięcie odkrycia prof. Łukasiewicza było ze wspomnianych przyczyn uzasadnione. Trudno jest bowiem dzisiaj analizować pojęcie prawdy, determinizmu, wolności woli, prawdopodobieństwa — bez uwzględnienia faktu istnienia systemów niesprzecznych, w których zasada wyłącznego środka nie obowiązuje.

2

Książka O. Bocheńskiego ukazała się pod koniec pierwszej połowy XX w. i gdy rok bieżący dobiegnie swego okresu, nadejdzie chwila oceny osiągnięć naszego półwiecza. Jesteśmy w nim świadomi zmian społecznych tak szybkich, nieraz gwałtownych, iż określenie ich nazwą rewolucji jest tylko nieco przesadne. Rewolucja ta posiada w sobie załóżki nowych form organizacji społeczno-gospodarczej, które, jeżeli wyjdą zwycięsko z okresu eksperymentalnego, wykażą się będą mogły osiągnięciami stawiającymi je ponad formami życia społecznego przeszłości. W dziedzinie nauki i techniki dokonaliśmy wspaniałych odkryć. W fizyce Einstein, Bohr, Planck, Heisenberg i wielu innych świetnych uczonych, którzy stworzyli i rozbudowali nowoczesną teorię atomu, dali początek nowej epoce, różniące się w tym samym stopniu od fizyki klasycznej, jak jej założyciele — Newton i Galileusz — różnili się od „fizyki” Średniowiecza. W matematyce teoria mnogości, opierając się na odkryciach osamotnionego i nieuznanego przez współczesnych geniusza — G. Cantora, dokonała podboju pojęcia nieskończoności, które Starożytność odrzuciła, a czasy nowożytne nie zdołały włączyć w zakres pojęć matematycznych. Powstała nowa nauka — logika matematyczna, która, będąc pierwszym krokiem naprzód od czasów Arystotelesa, stworzyła dla wszelkiego myślenia nowe wspaniałe odkrywcze narzędzie. W genetyce, biologii, psychologii, socjologii posunęliśmy się naprzód szybkimi krokami, i zbliżyliśmy się znacznie do tajemnic, jakimi do niedawna była otoczona materia organiczna, prawa dziedziczności, życie psychiczne i współzycie społeczne. Technika przekształciła otoczenie człowieka i dała mu kontrolę nad nim w granicach, do jakich nie sięgała wyobraźnia Bacona (dopiero wiek XX urzeczywistnił zadania, jakie myśliciel ten wyznaczył nauce i okres współczesny może się z uzasadnieniem posługiwać jego nazwiskiem). Uwolnienie energii atomowej,

dzisiaj, jak każde wielkie odkrycie, lub wynalazek, budzące grozę przez swe możliwości pogrążenia świata w chaosie i zniszczeniu — otwiera nowe drogi szybkiego postępu cywilizacji i całkowitej przebudowy stosunków międzynarodowych. Czy w filozofii, zapytać się należy z kolei, poszczycić się możemy różnymi osiągnięciami? Czy wytrzymujemy porównanie z XVII w., który stworzył podwaliny całej filozofii nowożytnej i ukształtował światopogląd nowożytnego człowieka?

Na to pytanie nie ma być może odpowiedzi, gdyż jak nie ma miary, którą porównać możemy Fidiasza i Michała Anioła, Corbusier i budowniczych katedr gotyckich, Dantego i Eliota, tak nie ma także miary dla porównania Descartes'a i Russella, Pascala i Heideggera, Locke'a i Schlicka. O. Bocheński jest jednak w swej ocenie optymistyczny. Nasza epoka, twierdzi on, jest jedna z najbardziej twórczych w nowszych czasach, zarówno liczbą wybitnych myślicieli i dzieł, jak i różnorodnością kierunków i rozwiązań. Filozofię nowoczesną cechuje rzeczowość, niezwykła produktywność i większe niż kiedykolwiek powiązanie poszczególnych szkół. „Z pewnością jest rzeczą trudną cokolwiek powiedzieć o trwałej wartości filozofii współczesnej, lecz jeżeli wszystkie widoczne znaki nie są mylne, pewna liczba filozofów naszej epoki pozostawi trwałe ślady w historii filozoficznego myślenia”.

3

Współczesne systemy i kierunki filozoficzne dzieli O. Bocheński na sześć zasadniczych grup — empiryków, idealistów, metafizyków, filozofów życia, fenomenologów i egzystencjalistów. Każdą z nich charakteryzuje przedstawieniem poglądów najbardziej reprezentatywnych dla niej myślicieli. Bertrand Russell, szkoła wiedeńska i dialektyczny materializm (Lenin i Stalin) reprezentują więc „filozofię materii”; Benedetto Croce, Brunschvicg, szkoła magdeburska (Cohen, Natorp, Cassirer) i badeńska (Windelband, Rickert, Bauch) — „filozofię idei”; Bergson, pragmatyści, Dilthey, Klages — filozofię życia; Husserl i Scheler — fenomenologię; Heidegger, Marcel, Jaspers, Sartre — egzystencjalizm; Alexander, Whitehead, Hartmann i tomiści — „filozofię bytu” (metafizykę). Podobny podział nie jest pozbawiony dowolności i uproszczeń, które przyczyniają się znacznie do nadania obrazowi filozofii współczesnej złudnie wyraźnych konturów. Dilthey posiada więcej cech wspólnych z Schelerem aniżeli z którymkolwiek z myślicieli ze swej własnej grupy. „Marksiści” są w rzeczywistości metafizykami, czego w żadnym razie nie można powiedzieć ani o Russellu, ani o neopozytywistach. Ich połączenia w jednej grupie dokonać można jedynie za cenę wieloznaczności terminu „materializm”. Przez swój dogmatyzm „marksiści” najbliżsi są tomistom, a w swych poglądach socjologicznych posiadają niejednokrotnie cechy wspólne z pragmatystami. Whitehead w swych wcześniejszych

dzielach winien znaleźć się koło Russella. Podobnych zastrzeżeń zgłosić można bardzo wiele i O. Bocheński jest ich świadomy. Podział na wymienione grupy nie ma na celu zatarcia różnic, nieraz głębokich i istotnych, między myślicielami opatrzonymi tą samą generyczną nazwą oraz pominięcie faktu, iż niektórzy z nich stoją na pograniczu nie tylko dwu lecz nawet więcej grup. Lecz trudno zgodzić się z O. Bocheńskim, iż podobne świadomie wprowadzone uproszczenia są nieuniknione w każdym przedstawieniu rozwoju myśli filozoficznej. Różnica stopnia dowolności, chociaż obiektywnie niemierzalna, posiada istotne znaczenie. W schemacie O. Bocheńskiego ten stopień dowolności jest znaczny, a nawet uderzający. Nasuwa to z kolei podejrzenie, iż bądź zasada klasyfikacji, obrona przez niego, jest błędna, bądź, iż bardziej „naturalnej” zasady w odniesieniu do myślicieli współczesnych znaleźć nie można. Wyciągnąć by można stąd wniosek, iż nie posiadamy jeszcze perspektywy, która pozwoliłaby ją dostrzec, lub też stanąć na stanowisku bardziej radykalnym i jak się zdaje bardziej prawdopodobnym, a mianowicie, iż filozofia współczesna nie tworzy nowej epoki (o czym O. Bocheński stara się nas przekonać).

Dla oceny względnej ważności poszczególnych współczesnych systemów O. Bocheński obiera dwa różne punkty widzenia — laika zainteresowanego rozwojem myśli filozoficznej w tej mierze, w jakim szuka ona rozwiązania życiowo-ważnych problemów każdego człowieka, oraz „fachowego” filozofa. Stosownie do punktu widzenia uzyskujemy różne uporządkowania współczesnych systemów. W kołach „niefachowych” filozofów, „filozofia materii” i egzystencjalizm zaścianają pozostałe systemy, wśród których kierunek metafizyczny posiada stosunkowo największy wpływ, a idealizm jest go niemal całkowicie pozbawiony. W kołach filozofów pierwsze miejsce przypada metafizyce i egzystencjalizmowi. „Filozofia materii” jako system dialektycznego materializmu nie posiada na uniwersytetach zachodnich żadnego oparcia, natomiast logiczny pozytywizm panował nad nimi niemal wszechwładnie w ostatnim dziesięcioleciu przed drugą wojną światową. Znaczenie filozofii życia i fenomenologii ma charakter pośredni, mianowicie jako kierunki, które przygotowały, stanowią punkt wyjścia i odniesienia dla egzystencjalizmu. Wreszcie idealizm przechodzi wśród filozofów, podobnie jak wśród laików, okres niemal całkowitego zmięczenia.

4

To hierarchiczne uporządkowanie wymaga pewnych komentarzy, które dadzą zarys nieco odmiennej klasyfikacji głównych prądów współczesnej filozofii. Nie ulega wątpliwości, iż egzystencjalizm przestał być doktryną ograniczoną do grupk niemieckich profesorów i paryskich artystów oraz, iż zapanował on nad umysłowością europejską po drugiej wojnie światowej

(z wykluczeniem W. Brytanii). Jest on jednocześnie czymś więcej niż filozofią „szkolną”, ograniczoną do uniwersytetów. Odmienny stan rzeczy ma w rzeczywistości miejsce — egzystencjalizm jest filozofią posiadającą więcej przedstawicieli i wyznawców poza murami uniwersyteckimi aniżeli w ich obrębie. Za pośrednictwem dzieł literackich, sztuki i filmów zakres jego wpływu ogarnął miliony. Pod tym względem egzystencjalizm przypomina szkoły hellenistyczne — stoicką i epikurejską. Lecz w jakiej mierze należy on do filozofii? Bogactwo poetyckich przenośni oraz literacka i hermeneutyczna forma wystawiania stawia egzystencjalizm poza granicą dostępną filozoficznej analizie. Dzieła egzystencjalistów noszą piętno osobistych przeżyć, które są tworzonym literackim i artystycznym. Heidegger, Jasper lub Sartre mówią przeważnie o sobie, o swym lęku i trosce, samotności i pustce świata, w którym żyją. Opis nastrojów i emocjonalnych napięć wyrastających z tych indywidualnych nastawień może posiadać większy niż jednostkowy zakres odniesienia, z czego jeszcze nie zawsze wynika, iż dzieła egzystencjalistów są czymś więcej niż dziełami artystycznym, „filozoficznym” dziennikiem intymnych przeżyć.

Faktu odradzania się „filozofii bytu” (metafizyki) nie można zaprzeczyć, lecz według piszącego te słowa, O. Bocheński przypisuje renesansowi metafizyki nadmierne znaczenie. W szczególności dotyczy to filozofii tomistycznej, której dogmatyzm jest sprzeczny z duchem już nie tylko nowoczesnej, lecz całej nowożytnej filozofii. Pewien renesans metafizyki nosi, jak się zdaje, charakter reakcji przeciw minimalizmowi logicznego pozytywizmu, który zacieśnił filozofię do analizy logicznej poszczególnych nauk. Przeprowadzenie tego programu do końca dało całkowicie nieoczekiwane rezultaty. Pozornie i łącznie z krytyką poznania naukowego (Poincaré, Duhem, Meyerson), która ujawniła, iż obiektywność i pewność przypisywane przez uczonych nauce nie są wcale tak oczywiste, jakby się to wydawać mogło, rezultaty te stanowią uzasadnienie uprawnienia spekulacji metafizycznych. Lecz było to uzasadnienie negatywne, które wykazało, iż zarówno metafizyka jak i nauka posługują się niesprawdzalnymi (w wypadku nauki — w bardzo technicznym tego słowa znaczeniu) zdaniem. Tej zbieżności przypisuje się zazwyczaj nadmierne znaczenie, ponieważ w rzeczywistości między niesprawdzalnością pewnych zdań naukowych i niesprawdzalnością zdań metafizycznych istnieje głęboka różnica. Krytyka poznania naukowego oraz metodologiczny kryzys filozofii, jak ją pojmował logiczny pozytywizm, nie stanowią argumentu, który by uzasadniał równouprawnienie nauki i metafizyki. Jest rzeczą uderzającą, chociaż nie pozbawioną wyjątków, iż największej liczby metafizyków dostarczyli uczeni, którzy uprawiają filozofię bez jej znajomości, oraz filozofowie, którzy bez znajomości nauki dawali jej filozoficzną interpretację.

Logiczny pozytywizm w szczególnej postaci, jaką mu nadała

Koło Wiedeńskie, należy do przeszłości. Trudno to natomiast powiedzieć o pojęciu filozofii, które Koło Wiedeńskie dzieliło z licznymi filozofami europejskimi nie należącymi do Koła. Przeciwstawienie filozofii naukowej i filozofii tradycyjnej posiada cechę trwałości, której fakt zamarcia jednej ze szkół naukowej filozofii nie powinien przysłonić. Wniosła ona nową metodę, nową problematykę, nowe zadania. Posiadają one określony zakres zastosowania i tym samym umożliwiają przeprowadzenie podziału między zagadnieniami filozoficznymi (w tradycyjnym tego słowa znaczeniu), które dają się rozwiązywać naukowo i tymi, które takich rozwiązań nie dopuszczają. Trudno jest dzisiaj analizować pojęcia czasu, przestrzeni, nieskończoności, powszechnego determinizmu itp., posługując się środkami właściwymi tradycyjnej filozofii. Z drugiej jednak strony trudno jest odmawiać nazwy filozofii rozważaniom, które metod filozofii naukowej nie dopuszczają wcale lub tylko w nikłym zakresie. Pytania: Jak winienem żyć, jakie jest moje przeznaczenie, jakie moje miejsce w społeczeństwie lub wszechświecie, są pytaniami, których wagi nie unicestwia fakt, iż nie posiadają one naukowych odpowiedzi. Odpowiedzi te są w mniejszym lub większym stopniu nieistotne dla rozwoju naukowej teorii człowieka, społeczeństwa, wszechświata. Są one jednak życiowo ważne, ponieważ rodzaj odpowiedzi kształtuje życie człowieka. Dlatego są one poszukiwane i formułowane niezależnie od faktu, iż wspomniane pytania są nierozstrzygalne i dopuszczają przeto najróżnorodniejsze, równie nieuzasadnione odpowiedzi. Stanowią one przedmiot nauki o światopoglądach, których opis, analiza i klasyfikacja jest doniosłym zadaniem dla filozofów naszych czasów. „Filozofia życia” w jej różnorodnych postaciach jest jedną z jej gałęzi. Należą do niej jednak w równej mierze różnorodne systemy psychologicznej i socjologicznej typologii tak rozpowszechnione w ostatnich trzech lub czterech dziesiątkach lat.

Zbierając powyższe uwagi, dochodzimy do następujących wniosków: w filozofii współczesnej rozróżnić możemy trzy główne prądy: filozofię naukową, filozofię tradycyjną i naukę o światopoglądach. Pierwszą (w terminologii O. Bocheńskiego) egzemplifikuje „filozofia materii”, z wykluczeniem dialektycznego materializmu, który łącznie z „filozofią idei” i „filozofią bytu” należy do filozofii tradycyjnej. Egzystencjalizm i „filozofię życia” zaliczymy do nauki o światopoglądach, którą należy uzupełnić przyczynkami wniesionymi przez socjologię i psychologię. Wydaje się wreszcie, że żyjemy w okresie, gdy nauka o światopoglądach wysuwa się na czoło zainteresowań „filozoficznych”. Wyrastają one z szerszego kontekstu faktów aniżeli te, którymi dzieje myśli filozoficznej zwykły się zajmować.

5

Na podstawie odmiennego uporządkowania prądów współczesnej

snej filozofii możemy przystąpić do krytycznego rozpatrzenia zasadniczej tezy O. Bocheńskiego, a mianowicie, iż filozofia współczesna otwiera nową epokę w dziejach myśli filozoficznej. Filozofia nowożytna, twierdzi O. Bocheński, opierała się na mechanistycznej koncepcji świata i subiektywistycznej teorii poznania. Nowoczesne teorie fizyczne, zapoczątkowane przez Bohra i Plancka, unicestwiły mechanistyczną koncepcję świata. Jednocześnie neorealizm przewyciężył subiektywizm w teorii poznania. Po tym oczyszczeniu gruntu wyrastać zaczęła nowa filozofia, którą cechuje antypozytywistyczne nastawienie w ogólności, realizm w teorii poznania, pluralizm i aktualizm w metafizyce, personalizm w pojmowaniu człowieka. Tak w największym skrócie opisać się dają cechy charakterystyczne nowoczesnej filozofii, które odróżniają ją od filozofii czasów nowożytnych.

Wśród przesłanek tego rozumowania zastrzeżenie przede wszystkim budzi teza o przewyciężeniu mechanistycznej koncepcji świata. Dyskusja, której nowe teorie fizyczne dały początek, nie jest żadną miarą zakończona. O. Bocheński twierdzi, że fizyka kwantowa ujawniła w fizyce prawa „podobne” do praw materii żywej (organizm); iż statystyczny charakter praw fizycznych wyklucza determinizm; iż skomplikowane, nieprzedstawialne modele matematyczne, którymi posługują się nauki przyrodnicze, wykluczają materializm. Wszystkie te twierdzenia, być może na skutek zwięzłości wykładu, są wysoce popularną interpretacją filozoficznych konsekwencji nowoczesnych teorii fizycznych.

Przez subiektywistyczną teorię poznania, która cechować miała filozofię nowożytną, O. Bocheński rozumie, jak się zdaje, przekonanie, iż wszelkie poznanie pochodzi bądź z doświadczenia, bądź z rozumowania. Jeżeli ta interpretacja jest słuszna neorealizm w teorii poznania nie stanowi przewyciężenia subiektywizmu. Dopiero przyjęcie odmiennego od doświadczenia i rozumowania źródła poznania — intuicji lub objawienia — przekracza subiektywistyczne ramy. Uznanie intuicji lub objawienia za źródła poznania łączy się bowiem zazwyczaj z metafizycznym realizmem. To zapewne O. Bocheński ma na myśli, ponieważ przewyciężenie teoriopoznawczego subiektywizmu łączy on z Brentano, Husserlem i tomistami. W konsekwencji drugą z przesłanek O. Bocheńskiego można tak sformułować: filozofia nowożytna odrzuciła metafizyczny realizm, filozofia współczesna przyjęła go na nowo. Wystarczy tezę O. Bocheńskiego w ten sposób sformułować, aby przekonać się o jej ograniczonej ważności.

Jak się zdaje, nie jest rzeczą uzasadnioną twierdzić, iż współczesna fizyka odrzuciła mechanistyczną koncepcję świata, jakkolwiek prawdą jest, iż odrzuciła pewną jej postać, mianowicie tę, którą Laplace sformułował w „Théorie analytique des probabilités”. Laplace rozpatrywał obecny stan wszechświata jako skutek stanu poprzedzającego i-przyczynę stanu następującego.

Absolutny umysł, znając w danym momencie wszystkie siły naturalne oraz położenie rzeczy, z których świat się składa, byłby w stanie ująć w „jednym prawie” ruch największego i najmniejszego ciała w wszechświecie. Jeśli się założy, że absolutny umysł zdolny jest objąć wszystkie dane dotyczące ciała w wszechświecie, umysł ten byłby zdolny „ogłądać” jednocześnie przeszłość i przyszłość. Każde bowiem wydarzenie, przeszłe lub przyszłe, byłoby dla niego jednoznacznie wyznaczone.

Klasyczna fizyka opierała się na wizji Laplace'a. Jej podstawowym założeniem było twierdzenie, iż jeżeli znany jest stan początkowy pewnego układu oraz prawa jego zachowania się, wówczas można przewidzieć stan tego układu w jakimkolwiek innym momencie i przewidywanie to sprawdzić przez pomiar. W nowoczesnej fizyce założenie to obowiązuje nadal jedynie w makrofizyce. Teoria Kwantów doprowadziła bowiem do ujawnienia dwóch faktów. Po pierwsze w zjawiskach podatomowych nie istnieją prawa określające przejście elektronów z jednego stanu do następnego; (istnieją jednak prawa statystyczne, określające zachowanie się dla jakiejś grupy elektronów). Po wtóre, jest rzeczą zasadniczo niemożliwą wyznaczyć dokładnie stan początkowy, ponieważ w fizyce atomowej występują tzw. cechy ilościowe zespolone, tzn. takie, które nie mogą być jednocześnie mierzone z całkowitą dokładnością.

Czy wolno stąd wyprowadzić wniosek, jak uczynił to Jeans a za nim wielu filozofów, iż „natura unika ponad wszystko dokładności i precyzji”? Prawdą jest wprawdzie, iż „zasada nieokreśloności” Heisenberga pozwala nam określić stan początkowy tylko z przybliżoną dokładnością, nigdy nie przekraczającą rzędu h (stałej Plancka). Zakładając tę przesłankę możemy jednak twierdzić, iż prawdopodobieństwo wszystkich następných stanów jest wyznaczone, według „dokładnych praw”. Sam fakt, iż posługujemy się w tym celu prawami prawdopodobieństwa — a nie przyczynowymi — jest świadectwem, iż odrzucić trzeba dawną wizję świata materialnego jako olbrzymiej maszyny. Porównanie to nigdy w rzeczywistości nieprzemysłane do końca, pobudzało raczej wyobraźnię aniżeli stanowiło wyjaśnienie konkretnych zjawisk fizycznych. Lecz odrzucenie wizji świata, w którym wszystko dzieje się na wzór maszyny, nie jest równoznaczne z odrzuceniem zasady powszechnego determinizmu. Planck, jeden z „winowajców” kryzysu tradycyjnych pojęć fizykalnych, równoznaczność tę odrzuca, jakkolwiek przyznaje, iż zasada powszechnego determinizmu wymaga odmiennego sformułowania. Jeżeli przez mechanistyczną koncepcję świata rozumie się pogląd o powszechnej ważności zasady determinizmu, zarówno model Laplace'a jak i Bohra-Plancka jest mechanistyczny.

Celem rzucenia rozwoju współczesnej myśli filozoficznej na szersze tło, musimy cofnąć się do okresu, w którym O. Bocheński widzi początek nowej epoki. Tym punktem zwrotnym, według jego oceny, jest filozoficzna krytyka nauki oraz załamanie

się podstaw matematycznego przyrodoznawstwa pod naporem nowych teorii fizykalnych. Takie uzasadnienie wspomnianego poglądu wyrasta, jak się zdaje, z postawy charakteryzującej wiek XIX, wiek nauki, naukowo zorientowanej filozofii i popularnego scientyzmu. Wiek ten nagromadził i usystematyzował olbrzymią ilość faktów o świecie i człowieku. Były one wspólną własnością wszystkich wykształconych ludzi, ostatecznym i nie dającym się pominąć residuum, w stosunku do którego zająć musiał stanowisko każdy myśliciel, niezależnie jakie głosił poglądy o zasadniczych zagadnieniach filozoficznych. Jedni utożsamiali filozofię z obrazem świata i człowieka, jaki wylaniał się z faktów odkrytych przez nauki przyrodnicze; inni — odrzucali go i zwalczali; inni wreszcie — liczyli się z nim, nie przypisując mu jednak nadrzędnego stanowiska w stosunku do innych możliwych światopoglądów. Nie mniej zbiór faktów i teorii naukowych był dla różnych myślicieli i różnych szkół układem odniesienia, który określał ich miejsce w rozwoju myśli filozoficznej.

Nauka XIX w. była nauką rewolucyjną. Z jednej strony usuwała ona podstawy teologicznego antropocentryzmu, z drugiej — podcinała korzenie romantycznej wiary w nieograniczone możliwości rozwoju człowieka i wielkość jego przeznaczenia. Tradycyjny system wartości i obyczajów, który swą racjonalność i wzniosłość czerpał z ich transcendentnego uzasadnienia, nie mógł się ostać pod naporem faktów ujawnianych każdego dnia przez geologię, antropologię, biologię, fizykę, astronomię. Rewolucyjny charakter nauki XIX w. sprawił, iż ostatecznym problemem, do którego sprowadzało się filozoficzne myślenie, był konflikt między wiarą i nową nauką. Zadaniem filozofów była obrona wiary przed nauką, lub stworzenie podwalin „wiar” nowej, którymi nauka nie mogłaby zachwiać. W bardzo szerokim, nie-technicznym, tego słowa znaczeniu, problem religijny był podstawowym problemem filozofii XIX w. Była to w rzeczywistości przebudowa całej tradycyjnej kultury, próba pogodzenia nieustępliwych faktów nauk przyrodniczych z aspiracjami człowieka, sięgającymi dalej niż wiedza o strukturze materii, prawach dziedziczności, ewolucji materii organicznej, kosmologii układu słonecznego. Olbrzymia większość tych prób kończyła się jawnym niepowodzeniem, co z kolei znajdowało wyraz w emocjonalnej reakcji oscylującej między dwoma biegunami — optymistycznej wiary w rozwiązalność wszelkich problemów człowieka w miarę postępu nauki, oraz pesymistycznego przekonania o daremności wysiłków znalezienia sensu i celu życia ludzkiego w wszechświecie odkrytym przez nową naukę. Na przełomie XIX i XX w. pesymizm był nutą dominującą, która w „Jardin d'Epicure” Anatola France'a, „A Free Man's Worship” Bertranda Russella i „Foundations of Belief” Arthura Balfoura znalazła nieprześcigniony wyraz. „Człowiek”, pisał A. Balfour, „przestał być ostateczną przyczyną wszechświata, z nieba zesłanym dziedzicem wszystkich wieków. Nawet

jego istnienie jest przypadkiem, jego dzieje krótkim i przelotnym epizodem w życiu jednej z najbardziej niepozornych planet". Z materii organicznej, której początków nauka nie zdołała wykryć, wyrosła „rasa na tyle obdarzona sumieniem, by mieć świadomość, iż jest nikczemna i na tyle inteligentna, by wiedzieć, że jest pozbawiona znaczenia. Gdy patrzymy w przeszłość widzimy, iż na historię gatunku ludzkiego składają się łyzy i krew, bezradne błędzenie, nieokiełznany opór, głupie pogodzenie się z losem, daremne pragnienia. Badamy przyszłość i dowiadujemy się wówczas, iż po pewnym okresie, długim w stosunku do życia jednostki, lecz krótkim w perspektywie czasu otwierającej się wówczas przed nami, energia naszego systemu zaniknie, świetność słońca ulegnie zamgleniu, a ziemia nie znośić będzie dłużej gatunku, który na chwilę zakłócił jej samotność. Człowiek wstąpi w ciemności, a myśli jego zaginą. Niepokojna świadomość, która w tym ciemnym zakątku przerwała na krótko zadowolone z siebie milczenie wszechświata, zagna spokoju... Nic z tego, co istnieje, nie będzie przez to lepsze lub gorsze, pomimo wszystkiego co wysiłek, geniusz, poświęcenie i cierpienie człowieka starały się dokonać poprzez niezliczone wieki".

Trudno jest twierdzić, iż słowa Balfoura są czymś więcej niż wyrazem filozoficznego nastroju. Lecz rzeczą istotną dla minionego wieku jest fakt, iż nauki przyrodnicze nastrój ten stworzyły i potęgowały każdym nowym odkryciem. Przeciw niemu ostać się mogła tylko wiara heroiczna, wiara silniejsza niż rozum i wiedza (wiara pozbawiona rozumu i wiedzy, twierdził ten, kto jej nie posiadał). Dla człowieka pozbawionego wiary heroicznej powstawało pytanie, co ma począć z własnym życiem, które nauka pozbawiła sensu i celu. Problem Sokratesa — jak mam żyć i co jest życiem dobrym — było nadal pytaniem sensownym nawet jeżeli człowiek jest przemijającym epizodem o niezbadanym początku i nieuniknionym kresie.

Historia filozofii notuje różnorodne rozwiązania, jakie znalazł współczesny problem Sokratesa. Nie o te jednak szczególne rozwiązania w tej chwili chodzi, lecz o zasadniczą przemianę postawy człowieka i jego problematyki w świecie odkrytym przez naukę XIX w. Filozoficzny pesymizm France'a, Roussella i Balfoura nie dominuje bowiem nadal nad umysłowością współczesnego człowieka, który w miarę upływu czasu zżył się z naukowym obrazem świata, bądź zapominając bądź kontrolując reakcję rozpacz, jakiej dawał on przed laty początek. Zasadnicza przemiana postawy człowieka współczesnego, daje się, jak się zdaje, tak scharakteryzować. Nie znamy przeznaczenia człowieka. Być może człowiek jest przelotnym epizodem w historii wszechświata. Tak dalece, jak to wiedzieć jesteśmy w stanie, a wiedza jest dobrowolnie przyjętym ograniczeniem naszych dążeń i aspiracji, nasze życie kształtować możemy tylko w tym świecie i takimi środkami, jakie on nam ofiarowuje.

Zbawienie wieczne pozostaje zakładem Pascala, który można wygrać tylko przez zbawienie w tym świecie.

Jeżeli powyższa charakterystyka jest przynajmniej w swej intencji trafna, jasną jest rzeczą, iż filozoficzne systemy wyrastające z postawy współczesnego człowieka będą antytranscendentne, zorientowane na problemy osobowości i jej miejsce w społeczności, zagadnienie społecznej organizacji i możliwości „dobrego” życia, jakie ona ofiarowuje. Będzie to innymi słowy filozofia humanistyczna i socjologiczna, w przeciwieństwie do religijnie zorientowanej filozofii XIX w. Nie mniej, jak w wieku XIX, fakty i teorie naukowe stanowią układ odniesienia i ostateczne residuum myślenia filozoficznego. Zmieniły się istotne zagadnienia filozoficzne, lecz w obu wypadkach są one zdeterminowane rozwojem naukowego obrazu świata, nieusuwalnego ze świadomości współczesnego człowieka w równej mierze, jak to miało miejsce w XIX wieku. Tworzą one łącznie etapy jednego procesu rozwojowego, który dopuszcza zróżnicowanie, lecz nie rozdział na dwie różne epoki. Pozostaje rzeczą przyszłości, czy stworzą one nową tradycję kulturalną, opartą w tej samej mierze na supremacji naukowego obrazu świata, jak średniowiecze opierało się na supremacji nadprzyrodzonej religii, a czasy nowożytne na „paralelizmie” i równouprawnieniu nauki i religii.

Powyższy zarys interpretacji czyni zrozumiałym pojawienie się nauki o światopoglądach jako ważnego kierunku we współczesnym filozoficznym myśleniu oraz jego istnienie równoległe do potężnego prądu filozofii naukowej. Z drugiej strony interpretacja ta wyjaśnia, dlaczego zagadnienia osobowości wysuwają się na czoło zainteresowań filozoficznych. Tylko w oderwaniu od szerszego kontekstu faktów traktowane być one mogą jako znaki nowej filozoficznej epoki.

Z. JORDAN.

NAJTANIEJ ● NAJLEPIEJ ● NAJSPRAWNIEJ

obsługuje swoich klientów

«LIBELLA»

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue Saint-Louis en l'Île — Paris IV^e.

Katalogi bezpłatnie na żądanie

Shaw o sobie

Bernard Shaw ogłosił świeżo u Constable'a nową książkę, tom szkiców autobiograficznych **Sixteen Self Sketches**. Nie wszystkie co prawda szkice, zebrane w tym tomie, są nowe. Jeden z nich pochodzi nawet jeszcze z końca XIX wieku. Większość z nich w innym układzie i pod innym tytułem **Shaw Gives Himself Away** ukazała się w r. 1939, ale w wydaniu bibliofilskim, coś w trzystu egzemplarzach. Jeden zresztą z tych niedrukowanych szkiców nosi datę roku 1948, to znaczy, że Shaw napisał go, mając lat 91. Niespożyty staruch.

Szkicom z ostatnich lat brak co prawda tej werwy, jaka bije z odpowiedzi na ankietę 45-letniego Shawa „Kim jestem i co myślę”, wszystkie one jednak są nie tylko czytelne, lecz napisane żywo, dowcipnie, z nerwem. Wszystkie one są dobrą prozą.

„Nie jestem wcale interesujący biograficznie” — napisał Shaw we wstępnym szkicu. Rzecz prosta, napisał tak tylko dlatego, bo uważa, że to zabawny paradoks. W rzeczywistości bowiem Shaw jest niesłychanie zainteresowany swoją osobą i uważa się za niezwykle interesujący okaz gatunku ludzkiego. I ma rację. Jest na pewno bardzo niebanalną indywidualnością. Ale rodzaj i źródła tej niebanalności nie ze wszystkim znajdują się tam, gdzie on by je chciał widzieć. I jego książka autobiograficzna dlatego jest tak niezwykle ciekawa, że daje nam dobry wgląd w człowieka nie tylko przez to, co Shaw sam o sobie mówi, ale i przez to, czego nie dopowiada.

Książka mówi nam trochę o poglądach Shawa i dużo więcej o warunkach jego dzieciństwa i młodości. Z poglądami Shawa łatwo można załatwić się powiedzeniem, że to tylko pyrotechnika frazesów, akrobatyka myślowa. Kto by tak sądził, byłby jednak w grubym błędzie. Shaw daje się nieraz ponieść zamięłowaniu do paradoksów, ale w gruncie rzeczy jest w nim dużo z nauczyciela, reformatora społecznego, nawet misjonarza. Jest to jednak nauczyciel, który uważa, że przyszło mu uczyć klasę beznadziejnych durniów, misjonarz, który ma prowadzić na drogę zbawienia nie owieczki, ale barany. Zdaje się mówić: — jeśli w nauce mojej tak wszystko do góry nogami jest powywracane, to nie dlatego, że ja jestem błazen, ale dlatego, że świat jest zwariowany.

Inna rzecz, że doprowadzić do ładu jego poglądy nie jest

łatwo. Deklaruje się jako komunista. Jako młody chłopak, opowiada, wkrótce po przybyciu do Londynu przeczytał w przekładzie francuskim **Kapitał** Marksa w British Museum (w którym prawdopodobnie Marks równocześnie wtedy pracował, zbierając materiały do dalszych tomów **Kapitału**) i odtąd na całe życie został marksistą. Jest to jednak swoisty marksizm. Marksista ten bowiem jest równocześnie wyznawcą Siły Życia — Life Force. Ta Life Force to bergsonowski élan vital. Nazwisko Bergsona dwa razy wymienione jest w książce jako nazwisko mistrza Shawa. Ale to jeszcze nie wszystko. W książce mamy także świetną diatribę przeciwko sycyntyzmowi, w szczególności przeciwko darwinistom, którzy uważają, że darwinizm załatwił się „naukowo” z tradycyjnymi normami moralności i którzy widzą w swoim darwinizmie nowy substrat religii. Dla oceny całej pikanterii tej diatriby trzeba pamiętać, że to Marks uważał, iż nauka jego rozprawia się z tradycyjnymi normami moralności, i potwierdzenie słuszności swoich poglądów widział właśnie u Darwina, którego dlatego wysoko cenił. Ale i to jeszcze nie wszystko. Na innym bowiem miejscu marksista nasz wydziwiał: ładnie by nasza kultura wyglądała, gdyby ciemnego chłopca pozbawić jego religii.

Jeżeli tak, to que diable allait-il faire dans cette galère? Po kiego licha został „marksistą”? Książka przynosi nam odpowiedź na to pytanie: „Prawdziwym sekretem fascynacji Marksa — czytamy tam — był jego apel do nienawiści, nierozpoznanej namiętności: nienawiści w szlachetniejszych duszach, wywodzących się z szanowanego i wykształconego środowiska, dla burżuazyjnych instytucji, które od kolebki duchowo je dławili, głodziły, sprowadzały na manowce i korumpowały”.

A zatem Shaw został „marksistą” po prostu dlatego, że Marks przynosił mu wyzwolenie z jego urazów, tych, których się nabawił w czasie swego nie najszcześliwszego dzieciństwa w Dublinie. Dzięki książce jesteśmy wcale nieźle zorientowani w tym dzieciństwie.

W legendzie rodzinnej — jak się o tym dowiadujemy z niezamieszczanego tu autobiograficznego wstępu do powieści **Immaturity** — Shawowie wywodzili się od Macduffa (tego samego który zabił Macbeta). W rodzinie był kuzyn z tytułem baroneta. Ale ojcu pisarza, George'owi Carrowi Shaw daleko było do takich splendorów. Należał w rodzinie do ubogich krewnych, był niedojdą życiowym, nie miał żadnego fachu. Bez wielkiego powodzenia próbował w Dublinie handlu zbożem. Odznaczał się dużym zmysłem humoru i pociąganiem do kieliszka. Matka, Elizabeth Gurdy, pochodziła z rodziny ziemiańskiej. Wysłała za niego zamąż nie tyle z miłości, co z desperacji. Ponieważ w domu rodzicielskim warunki życia układały się jej niepomysłnie i chciała z tego domu za wszelką cenę uciec, postanowiła wyjść zamąż za pierwszego lepszego człowieka, który jej się nadarzy. Skwitowała go pogardą, kiedy się okazało, że ten pierwszy lepszy jest pijakiem i że nie po-

trafi zapracować na utrzymanie rodziny. Co gorsza, pijaństwo Shawa przybrało takie formy, iż zrobiło go towarzysko niemożliwym nawet dla rodziny. W rezultacie tego wszystkiego rodzice Shawa znaleźli się w towarzyskiej pustce. Ci, których uważali za ludzi swojej klasy, nie utrzymywali z nimi stosunków. Byli bardzo drażliwi — mamy na to w książce sporo dowodów — na punkcie swojej pozycji społecznej, chcieli się utrzymać w „swojej” klasie, a warunki materialne nie bardzo na to pozwalały. Z pieniędzmi w domu było stale krucho. Chłopca nie można było utrzymać w eleganckiej „public school”, która odpowiadałaby aspiracjom jego rodziców. Trzeba go było posłać do pospolitej, plebejskiej szkoły; chodzenie do niej — przyznał się do tego dopiero w starości — było dlań męką upokorzenia.

Dzieci było w rodzinie troje: on i jeszcze dwie córki. Matka puściła je samopas, nie interesowała się nimi, podobnie jak nie interesowała się prowadzeniem domu, gospodarstwem. Miała jedną pasję: muzykę. Uwielbianego nauczyciela znalazła w dyrygencie orkiestry i nauczycielu śpiewu George'u Johnie Vandaleur Lee. Lee z czasem zamieszkał w domu Shawów, — co naszemu pisarzowi umożliwiło zdobycie w młodych latach solidnej kultury muzycznej, — i w domu tym zepchnął George'a Carra Shawa zupełnie w cień. Kiedy zaś postanowił spróbować kariery londyńskiej, matka zabrała córki i, porzucając męża, pojechała za nim do Londynu. Przyszły autor „Pigmaliona”, który tymczasem pracował w biurze, najpierw jako popychadło, a potem jako kasjer, także w dwudziestym roku życia przeniósł się do nich do Londynu.

Ocena charakteru stosunków pani Shaw z Lee dała z czasem powód do awantury, o której w książce sporo się mówi, a którą warto tutaj wspomnieć, bo jest i zabawna, i charakterystyczna. Jakieś z górą trzydzieści lat temu amerykański profesor O'Bognor postanowił napisać biografię Shawa. Po informacje biograficzne zwrócił się też i do samego Shawa, który mu ich w szeregu listów dostarczył. Kiedy jednak prof. O'Bognor posłał pisarzowi przed oddaniem do druku tekst swojej książki, wybuchł skandał. Poszło o to, że amerykański biograf, pozostawiawszy dane, udzielone mu przez Shawa, doszedł do wniosku, że pani Shaw miała romans z Lee i zdradzała z nim męża. Shaw uznał to za oszczerstwo i zagroził, w razie, gdyby książka wyszła drukiem, procesem. Matka jego, dowodzi, entuzjasmowała się Lee tylko jako muzykiem i znakomitym nauczycielem śpiewu. Ostatecznie książka drukiem nie wyszła, prof. O'Bognor zdążył tymczasem umrzeć, ale rękopis jego biografii jest w egzekutorów testamentu, którzy z wydaniem jej czekają znowu na śmierć Shawa. Shaw wie o tym, i aby z góry sparować wnioski tej jeszcze niewydanej książki, w szkicu, w którym koryguje błędy swych biografów (m. in. Winstona Churchilla), przedrukowuje tekst listu, jaki wysłał do prof. O'Bognora w r. 1919, zaraz po zapoznaniu się z treścią

jego książki. List polemizuje z tym, co Shaw uważa za błędy i nieścisłości książki. Ma do O'Bognora pretensje m. in. i o to, że ojca jego przedstawił w zbyt korzystnym świetle, a Lee — w zbyt złym. List utrzymany jest w niezwykle ostrym tonie. O'Bognor był synem inspektora policji, i Shaw dowodzi, że książka jego jest typowym tworem policjanta, w każdym uczciwym wieku wężącego możliwego przestępcę. „Trzeba mieć idiotyczną baranią głowę profesora uniwersytetu, na wpół sfiksowanego od poprawiania wypracowań egzaminacyjnych”... oto próbka stylu, w jakim list ten jest utrzymany.

Wszystko to jest mocno zabawne, trochę donkiszoteryjne, i przez to w gruncie rzeczy sympatyczne, bo bardzo ludzkie.

Ale gdzie indziej, pod sam koniec książki, Shaw opowiada o tym, jak się zachowywał na pogrzebie swojej matki. Pisze tu o sobie w trzeciej osobie, essay bowiem, zatytułowany: „Jak Frank powinien był to zrobić”, napisany jest w formie studium Franka Harrisa o Bernardzie Shaw. Zmarła niedawno pisarka amerykańska Gertrude Stein, kiedy chciała rozpisać się o tym, jaką to ona jest znakomitością, napisała o sobie pod postacią — autobiografii uwielbiającej ją przyjaciółki i damy do towarzystwa, Alicji Toklas. Otóż Shaw uciekł się do analogicznego tricku: napisał o sobie jako Frank Harris, którego, rzecz prosta, żadne względy powściągliwości nie muszą krępować, kiedy chce pochwalić Shawa. Chwali się też zdrowo. A o stosunku Shawa do matki ów „Frank Harris” pisze tam tak:

„Nikt nie oskarżył go o to, że jest złym synem. Jego stosunki z matką były najwidoczniej tak doskonałe, jak tylko stosunki tego rodzaju być mogą. Ale kiedy matka ta miała zostać spalona w krematorium, Granville-Braker, którego wybrał sobie jako jedynego towarzysza żaloby na uroczystość spalenia zwłok, nie mógł mu nic innego powiedzieć, jak tylko „Shaw, ale też z ciebie wesolek!”. Shaw wyobrażał sobie, że jego matka patrzy przez ramię i podziela jego wesołość, obserwując, jak dwóch ludzi, ubranych jak kucharze, wybiera z jej popiołów kawałki metalu. Zwykł on mawiać, że ludzie, którym umarł ktoś bliski, potrzebują trochę komicznej rozrywki, i że dlatego właśnie pogrzeby są taką farsą”.

Jeszcze bardziej nieludzki jest jego stosunek do ojca. Nie można powiedzieć, żeby Shaw nienawidził swojego ojca. Taki stosunek ostatecznie mogły być i bardzo ludzki. Nieludzkie jest to, że w jego pogardzie, lekceważeniu ojca jest tyle uczuciowego dystansu. „W ostatnich latach — pisze — żona i dzieci pozostawiły go samego w Dublinie dla tego solidnego powodu, że nie potrafił ich utrzymać i że życie razem z nim nie otwierało przed nimi absolutnie żadnych perspektyw. Czyniąc tak, zdjeli oni z jego bark ciężar, do którego noszenia był niezdolny i którego chętnie się pozbył, chociaż z chwilą kiedy przestał pić, stał się najbardziej nieszkodliwym ze śmiertelników. To co mógł dla nich zrobić, to robił, tzn. posyłał im aż do śmierci co tydzień funta. Żył mu się wtedy bardzo wy-

godnie w kwaterze na Appian Way (w bardzo przyzwoitej podmiejskiej dzielnicy rezydencyjnej), był bardzo szanowany przez swoją gospodynię, a we właściwym czasie połączył się ze swoimi przodkami na cmentarzu Mount Jerome w najlepszym shawowskim stylu. Sądzę, że były to najszczęśliwsze lata jego życia: żadnego Lee, żadnej żony, żadnych dorosłych dzieci”.

Oczywista, jest w tym trochę pozy. Ale przecież to, jaką pozę przybiera, również jest dla człowieka charakterystyczne.

Może to jednak tylko postawa człowieka, który cierpiął na atrofie uczuć rodzinnych, ale gdzie indziej żył po ludzku, pełnią życia. Jak wyglądało np. jego życie erotyczne? Książka daje na to pytanie odpowiedź rzeczową. Do dwudziestego dziewiątego roku życia — nic. Później za to przygody były częste i z licznymi kobietami. Cenił je sobie nawet, ponieważ przynosiły „tę niebiańską falę emocji i egzaltacji”, która kiedyś, w doskonałej ludzkości, będzie „normalnym stanem świadomej działalności intelektualnej”. Nigdy jednak nie cenił ich tak dalece, żeby dla spotkania z kobietą opuścić jakieś posiedzenie czy wiec (a był wtedy zawodowym agitatorom socjalistycznym). Mając lat 43 ożenił się. „Stosunek nasz męża i żony był nowym stosunkiem, w którym pieć nie grała żadnej roli”. Mimo to wraz z małżeństwem kobiety, okres flirtów, galanterii — wszystko to skończyło się w jego życiu. Cóż dziwnego, że potem, w szkicu o swoim życiu erotycznym, dał wyraz przekonaniu, że „stosunki seksualne to nie są stosunki osobiste”.

Czasem co prawda natrafiamy w tej książce na ślady czegoś, co może być głębszym życiem emocjonalnym. Ale ślady te zawsze się zacierają. Tam gdzie — możemy podejrzewać — Shaw przeżył coś silniej, staje się małomówny, nieskłonny do wyznań. W essayu, w którym opisuje swoje życie erotyczne, jest też zdanie, że w gruncie rzeczy to związki z kobietami, które nigdy nie zostały erotycznie skonsumowane, pozostawiły „najserdeczniejsze i najdłuższe wspomnienia”. O związkach tych jednak poza tym zdaniem ani słówkiem nie wspomina.

Z prawdziwym szacunkiem pisze jedynie o dwóch ludziach: o Stalinie, wizyte u którego w r. 1931 na Kremlu dokładnie opisał, i o swoim przyjacielu, znakomitym teoretyku fabiańskiego socjalizmu, Sidney’u Webbie. Stosunki między nimi musiały być bardzo bliskie, jak się domyślamy na podstawie tego, co się w książce o Webbie mówi. Ale tylko domyślamy... Podobnie, od pisania o swoim małżeństwie i swojej żonie wykreślił się kawałek, iż małżeństwo jego jest do tego stopnia własnością publiczną, że biografowie jego będą mogli o nim zebrać dużo więcej szczegółów, niż on byłby ich w stanie zapamiętać.

Taka powściągliwość w odsłanianiu swoich rezerw emocjonalnych, jest normalnie rysem bardzo sympatycznym. Ale w wypadku Shawa wygląda ona trochę podejrzanie. Przede wszystkim wygląda ona podejrzanie u człowieka, który tak

bardzo lubi mówić o sobie. A jeszcze bardziej podejrzane jest to, że Shaw nigdy nie zdradza się ze swymi uczuciami. Można podejrzewać, że nie bardzo się zdradza z nimi dlatego, że nie bardzo jest się z czym zdradzać.

Z tych reform społecznych, które propagował w swoich sztukach, wiele stało się już dzisiaj prozą codziennego życia. Stąd też niejeden z jego paradoksów brzmi dzisiaj jak truizm. Ale przy tym wszystkim sztuki jego po dziś dzień błyszczą pierwszorzędnym dowcipem, w bohaterach jego nadal podziwiamy znakomitych dialektyków, mistrzów w sztuce starć słownych. Toteż tak długo, jak długo siedzą przy kominku, dyskutują, kłócą się, konfrontują swoje stanowiska, słuchamy ich z zaciekawieniem i rozbawieniem. Ale niech tylko zostaną postawieni wobec sytuacji, w których oczekiwaliśmy żywych ludzkich reakcji, a zaraz okazuje się, że to nie żywi ludzie, a rezonerzy, że wszyscy noszą tę samą długą siwą brodę. Tylko w dwóch sztukach można się dopatrzeć żywego nurtu emocjonalnego: w **Kandydzie** i w **Świętej Joannie**, która jest prawdziwym cudem w twórczości Shawa, jedyną sztuką, która go potrafi odkupić jako poetę.

Wszystkie inne sztuki można traktować na serio tylko tak długo, jak długo one nie stawiają nas wobec sytuacji na serio. Przypomnijmy sobie tylko **Ucznia diabła**. Jest to sztuka żywa i interesująca dopóty, dopóki Shaw nie zdecydował się postawić swojego bohatera u stóp szubienicy. Z tą chwilą sztuka przekształca się w tani i nieznośny melodramat. Orwell za takie właśnie sceny, jak zakończenie **Ucznia diabła** oskarżył raz Shawa o sadyzm. Jest to nieporozumienie. Shaw mógłby równie dobrze przedstawić na scenie swego bohatera, krajanego żywcem piłą przez oprawców. Zależnie od dialogu, scena taka mogłaby być albo nudna, albo zabawna. Dreszczu przeżalenia na pewno w nikim nie mogłaby wzbudzić. A jaki nudny potrafi być Shaw, kiedy opuszcza go jego kpiarsko-paradoksalna wena, i kiedy chce nas pouczyć na serio. Próbowano z okazji dziewięćdziesięciolecia wystawić taką jego wielką chryję na serio **Z powrotem do Matuzalema**, chryję, którą w dodatku uważa on za swoje magum opus, swojego „Fausta”. Trudno było na tym wysiedzieć do końca.

Długowiecznością swoją Shaw przypomina w literaturze francuskiej Fontenelle’a, który dożył setnego roku życia. Był to dobry stylista, pisarz dowcipny, cięty, mający swoją wcale poważną pozycję we francuskiej historii intelektualnej. Mimo to wszystko trudno go uważać za wielkiego pisarza. Odstępuje swoją oschłością. Biografowie jego tą oschłością m. in. starają się tłumaczyć jego długowieczność: nie wzruszał się, niczym się nie przejmował, nie „zużywał” się emocjonalnie. Jeśli to prawda, można i Shawowi wróżyć, że dożyje w pełni sił umysłowych setnego roku życia.

Czy meteor?

Zacniemy od pochwał. Janusz Laskowski jest dobrym dziennikarzem i zdolnym pisarzem. Długie miesiące procesu norymberskiego wyzyskał sumiennie dla poznania i w pewnym stopniu zrozumienia polityki „narodowych socjalistów” w ogólności, a w Polsce w szczególności.

Najwięcej uwagi poświęca sylwetce gubernatora generalnego Hansa Franka; cytaty z jego słynnego dziennika oraz wyjątki z przemówień zajmują sporą część książki. W toku procesu miał się w głównym bohaterze „narodzić człowiek”. Laskowski wierzy w szczerą jego nawrócenia i ostatnich dwu słów, wypowiedzianych przez prowadzonego na stracenie: **Christus erbarme**, Chryste, bądź miłościwi.

Może to prawda, że Frank naprawdę się nawrócił. Ale na pewno nie jest prawdą, że narodowy socjalizm w Niemczech był „błędny meteorem”. W ogóle nie był meteorem.

Laskowski pisze (str. 43), że narodowi socjaliści „zdolali narzucić zbrodnię, jako metodę postępowania narodowi niemieckiemu, znanemu powszechnie ze swoich wybitnych wartości zarówno umysłowych, jak i charakteru”. Ten motyw powtarza się kilkakrotnie (str. 16 i inne). Hitlerizm miał być przejściowym triumfem materializmu nad „idealizmem”.

Zagadnienie wcale nie jest takie proste, a zjawisko narodowego socjalizmu nie jest wcale tak jednorazowe i przypadkowe, jak to autor przedstawia. Wystarczyłoby zapoznanie się, w ciągu dwu lat, jakie upłynęły od zakończenia procesu do wydrukowania książki, choćby z tak podstawową, przez Niemca napisaną książką, jak „Europa und die deutsche Frage” prof. Zygmunta Förstera, by zrozumieć genezę narodowego socjalizmu, która sięga i bardzo odległej przeszłości i czasów Lutra, i... idealizmu niemieckiego w sensie filozoficznym, a nie w sensie szablonowych artykułków popularnej prasy. Rzecz charakterystyczna, że wspomniana książka prof. Förstera została potwornie okaleczona w wydaniu polskim z 1939 roku („Nasza księgarnia” — znamy to wydawnictwo, któremu była na rękę krytyka hitlerizmu, ale nie jej pogłębienie przez wykazanie dróg odchodzenia Niemiec od chrześcijaństwa), rze-

como „ze względów technicznych”, co ma chyba znaczyć, że w Polsce nie było drukarni, zdolnej do wydrukowania książki, liczącej 500 stron druku!

Oczywiście nie ma sensu powtarzanie w kółko, że każdy Niemiec jest zbrodniarzem, nie ma sensu niedostrzeżenie drugiego oblicza Niemiec, ale nie można tego pierwszego oblicza Niemiec, ujawnionego w czasie wojny, uważać za przejściowe i jednorazowe. Nie sięgając dalej wstecz, np. do rzezi Gdańska, trzeba przypomnieć, że Fryderyk Wielki też umiał kolonizować, a w czasie wojen napoleońskich też urządzano „łapanki” robotników, potrzebnych do kopalń i hut na Śląsku.

Laskowski przyznaje się uczciwie, że z dziennika Franka zna tylko cytaty, które wyciągnęli polscy pomocnicy oskarżycieli. Może szkoda, że nie wyzyskał możliwości pobieżnego choćby przejrzania oryginału, która nie wiadomo kiedy się powtórzy. Sposobność ta polegała na tym, że Laskowski, jako „przybyły z zachodu” był uważany za człowieka niemal równego np. Anglosasom, Francuzom czy Rosjanom i w przeciwieństwie do nas „D. P.” mógł się o te rzeczy starać.

Na ogół tam, gdzie autor omawia życie G. G. nie robi większych omyłek, ale czasem chciałoby się jakiś szczegół sprostować czy wyjaśnić. Np. wspomniano o mowie Franka „w Reichshof”, a to chodzi o nasz Rzeszów. Albo, gdy mowa o rozlepieniu plakatów 10 listopada 1939 roku ma się ochotę przypomnieć ich treść (w myśl zasady *sum cuique*):

„Być zwyciężonym, a nie ulec — to zwycięstwo

Józef Piłsudski”.

Laskowski wyraźnie nie chciał ograniczać się do reportażu z procesu, czy też do komentowania jego dokumentów. Chciał dać „biographiè romançée”... narodowego socjalizmu w czasie wojny.

Książki tego typu wymagają, jak mi się zdaje, spełnienia dwu warunków: solidnej podstawy faktów, wymagającej pracy, pracy i jeszcze raz pracy, oraz dużego umiaru w stosowaniu efektów literackich. Ekonomia frazesu bywa najsilniejszym sposobem ekspresji, tam gdzie sama rzeczywistość przemawia z taką siłą, że każde zbędne słowo tylko osłabia i zamazuje obraz.

Nie można powiedzieć, że Laskowski stosował umiar słowa. Na nas, którzy patrzyliśmy na to wszystko z innej strony (i wbrew pozorom wciąż pozostajemy jeszcze po innej stronie) niektóre frazesy działają wręcz irytująco. Na przykład: „jedynego świadka, zdolnego wyjaśnić światu... szczegóły burzenia Warszawy i zdolnego wskazać zbrodniarzy, ponoszących odpowiedzialność, nie zapytano ani jednym pytaniem o przemienienie w stos gruzów milionowego miasta stołecznego, którego imię ze czcią wypowiedane jest przez całą ludzkość cywilizowaną”. Wydaje się nam mianowicie, że „ludzkość” cywili-

zowana z większą czcią i częściej wymawia imiona np. ponie-
których gwiazd filmowych lub bokserów.

Nie chcę jednak twierdzić, by autor wszędzie nadużywał
frazesu. Tam, gdzie potrafił się opanować dał obrazy na praw-
dę wstrząsające. A nie łatwo jest pisać o tym wszystkim!

Mimo pewnych usterek (i mimo fatalnej korekty!) warto
tę książkę przeczytać. Tym, którzy byli na zachodzie da ona
pewien obraz „rzeczywistości G. G.”, nam da wiele wyjaśnień
faktów dobrze znanych od strony Wawelu. Ówczesnego —
Burgu.

Wojciech ZALESKI.

UNIVERSUM

miesięcznik Ruchu Chrześcijańsko-Społecznego

R. C. S.

Redakcja i administracja: Monachium-Allach, Wald-
hornstr. 25, oraz 18, Penywern Road, London SW 5.

Nr 2 zawiera m. in. wywiady z gen. Lvem Prchalą i
min. Karolem Sidorem, art. M. Brzezińskiego o «Sprawie
Gomułki», poezje M. Czuchnowskiego, omówienia nowych
książek *Bez Ostatniego Rozdziału* Gen. W. Andersa (Olech-
nowski), *Spowiedź Pokolenia J. Katelbacha* (W. Zaleski),
Wracam z Polski A. Janty (W. Zaleski).

CENA EGZEMPLARZA w sprzedaży i w prenumeracie wraz z prze-
syłką pocztową wynosi w Anglii 1 sh.; w Niemczech 80 fn.; w Belgii
(przedst. Librairie Polonaise, 42, rue Defacqz, Bruxelles); we Francji
30 fr.fr. (przedst. Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris
IV); w Holandii 80 centów (tylko w prenum. przedst. Poolsch Aamoe-
zenier, Gasthuistr. 45, Heerlen — Limburg); w Kanadzie 25 cent. z
przesyłką lotniczą 70 cent. (przedst. H.R. Radomski, 107, Givins str.
Toronto, Ont.); w Stanach Zjednoczonych cena jak w Kanadzie, przedst.
L. Dudarew-Ossetyński, «Wilno», Ventoura Boulevard, Agoura, P.O.
Box 113, California; w Szwajcarii 60 cent, przedst. «Pod Prąd»,
Fribourg 2, case postale 10; we Włoszech 80 lir, przedst. J. Gro-
chowski, via della Croce 81/8, Roma.

(Prosimy wypełnić i wysłać)

Do :

„GRYF” PUBLICATIONS, LTD.

59/61, Hatton Garden, London E. C. 1.

Zamawiam niniejszym prenumeratę „KULTURY” na okres

pół roku — za cenę sh. 16.

jednego roku — za cenę £ 1. 10. 0.

(Prosimy oznaczyć krzyżykiem wybraną prenumeratę).

Proszę o wysyłanie do mnie pisma, poczynając od wydania
za miesiąc

O każdorazowej zmianie swego adresu będę Panów zawczasu
powiadamiał, dołączając 1 sh. na koszty sporządzenia nowej
matrycy adresowej.

Imię, nazwisko, dokładny adres:
(drukowanymi literami)

(Prosimy wypełnić i wysłać)

Do :

LIBRAIRIE „LIBELLA”

12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e.

Zamawiam niniejszym prenumeratę „KULTURY” na okres

pół roku — za cenę 650 frs. plus 120 frs. na porto.

jednego roku — za cenę 1200 frs. plus 240 frs. na porto.

(Prosimy oznaczyć krzyżykiem wybraną prenumeratę).

Proszę o wysyłanie do mnie pisma, poczynając od wydania
za miesiąc

Imię, nazwisko, dokładny adres:
(drukowanymi literami)

"ORZEŁ BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

Redakcja i Administracja
186a, Av. Rogier, BRUXELLES (Schaerbeek)

Przedstawicielstwa w Austrii, W. Brytanii, Francji
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce
w Stanach Zjednoczonych.

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● Prenumerata:

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W WIELKIEJ BRYTANII: *Gryf Publications*, 59/61, Hatton
Garden, London E.C.1.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)
przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma
BERRY Co, 43, Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egzempl. pojed.	Prenumerata	
		½ roczna	Roczna
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IVe	120 fr.	650 fr.	1200 fr.
W. BRYTANIA: «GRYF» Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, London E.C. 1.	3 sh.	16 sh.	30 sh.
WŁOCHY: Jan Grochowski, 81, via della Croce, Roma.	200 lir	1200 lir	2000 lir
SZWECJA: «Wiadomości Polskie», Riddaregatan 25/1 ö. g., Stockholm	2,50 kr.	12 kor.	22 kor.
NIEMCY: Wydawn. «Kronika», (16) Eppstein (Taunus), Hotel Bienberg, U. S. Zone ...	2,50 DM	15 DM.	25 DM.
SZWAJCARIA: Redakcja «Pod Prąd», Fribourg 1, case 155.	1,80 sfr.	10 sfr.	18 sfr.
ARGENTYNA: Jan Miecznikowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires	2,50 peso	15 peso	25 peso
KANADA: Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 400, Palmerstone Blvd., Toronto/Ont., tel. ME 0609	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Zamówienia i wpłaty kierować: «Harvard Trust Company», Harvard Square, Cambridge, Mass., na konto M. K. Dzierżanowski	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BELGIA: Imprimerie «La Colonne» S.P.R.L., 22, rue de la Braie, Bruxelles (Bourse) ..	20 bfr.	100 bfr.	180 bfr.

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr. przy prenumeracie rocznej — 240 fr. fr.; przy półrocznej — 120 fr. fr.

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

WYDAWNICTWA

INSTYTUTU LITERACKIEGO

ADAM MICKIEWICZ

KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA

HENRYK SIENKIEWICZ

LEGIONY

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

PROMETEUSZE

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

MIASTO MOJEJ MATKI

LEON BLUM

NA MIARĘ CZŁOWIEKA

PAWEŁ HOSTOWIEC

DZIENNIK PODRÓŻY DO AUSTRII I NIEMIEC

STANISŁAWA KUŚZELEWSKA

KOBIETY

JÓZEF CHAŁASIŃSKI I JAN ULATOWSKI

PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ INTELIGENCJI POLSKIEJ

SERGIUSZ PIASECKI

JABŁUSZKO

NIKT NIE DA NAM ZBAWIENIA

SPOJRZĘ JA W OKNO...

TADEUSZ FELSZTYN

ENERGIA ATOMOWA

WACŁAW SIEROSZEWSKI

BENIOWSKI

ARTHUR KOESTLER

KRUCJATA BEZ KRZYŻA

ANTOLOGIA NOWELI WOJENNEJ (1939-45)

W OCZACH PISARZY

BOLESŁAW MICIŃSKI

PORTRET KANTA I TRZY ESSAYE O WOJNIE

JAN BIELATOWICZ

BRYGADA KARPACKA ..

PASSEGGIATA

STANISŁAW GRZYIEWICZ

ŚRODKI POLITYKI GOSPODARCZEJ

WERONIKA HORT

TUŁACZE DZIECI

JÓZEF CZAPSKI

NA NIELUDZKIEJ ZIEMI